SIECI

ANGLIA PŁONIE
CZY BĘDZIE Z TEGO WOJNA DOMOWA?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
33 (611) 2024
12–18 sierpnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

SZPIEG MOSKWY

PABLO GONZALEZ

BRONIŁY GO ELITY III RP, ON ATAKOWAŁ RZĄDY PiS

TO JUŻ PEWNE:
ROSJA INSPIROWAŁA I WZMACNIAŁA KAMPANIE POLITYCZNE WYMIERZONE W POLSKI OBÓZ NIEPODLEGŁOŚCIOWY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 19 VIII 2024 r.

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl 3e36963638

Dlaczego Ukraina zaatakowała tereny Federacji Rosyjskiej

W połowie ub. tygodnia siły ukraińskie rozpoczęły brawurową operację, atakując obwód kurski. Po dwóch dniach trwania udało się dokonać wyłomu o głębokości 25 km, co warto porównać z rosyjskimi zdobyczami wiosną br. pod Charkowem, kiedy Moskalom udało się zdobyć i utrzymać 8-kilometrowy pas nadgraniczny.

Obserwatorzy podkreślają kilka aspektów ukraińskiej operacji. Jest ona większa niż poprzednie tego typu działania. Mówi się o zaangażowaniu kilku batalionów, niektórzy nawet wspominają o brygadach i znaczących siłach obrony przeciwlotniczej, co stanowi duży potencjał, zwłaszcza w sytuacji, w której Ukraińskie Siły Zbrojne muszą się mierzyć z ciągłymi rosyjskimi atakami na froncie donieckim. Przesunięcie kilku doświadczonych brygad na północny-wschód jest działaniem niekonwencjonalnym, a także w opinii obserwatorów bardzo ryzykownym. Po trzech dniach ciągłego natarcia siły ukraińskie będą się musiały zatrzymać albo do walki wejdą wojska drugiego rzutu. A to zmieni wymiar całej operacji, spowoduje nie tylko wzrost jej skali i wyzwań logistycznych, lecz także zmusi do postawienia pytań o celowość ukraińskiego ataku.

Interpretacji jest co najmniej kilka. W wymiarze taktycznym może chodzić o zmuszenie Rosjan do przerzucenia części ich sił, dziś zaangażowanych w ataki na kierunku kupiańskim, pod Charkowem czy nawet w Donbasie. Mike Ryan, emerytowany australijski admirał, dziś komentujący na bieżąco przebieg wojny, uważa, że jedyną opcją, którą mają Rosjanie, może być wycofanie części sił z Chersońszczyzny, co być może otwierałoby Ukrainie możliwość uderzenia na kierunku krymskim. Co bardziej optymistyczni komentatorzy są zdania, że siły ukraińskie mogą chcieć zaatakować Kurczatow, miasto, w którym znajduje się rosyjska elektrownia atomowa. Leży ono jednak 60 km w linii prostej od granicy, a biorąc pod uwagę wielkość sił ukraińskich zaangażowanych w operację, taki scenariusz wydaje się mniej prawdopodobny. Równie mało realny jest ten, według którego Ukraińcy będą chcieli, okopując się na zdobytych terenach, dokonać później ich wymiany, np. na zajęte przez Moskali ziemie w okolicach Charkowa. Dziś niewiele na to wskazuje, tym bardziej że rosyjski kontratak jest kwestią czasu.

Po co zatem Ukraińcy uderzyli na Rosję? W grę mogą wchodzić motywacje związane z sytuacją wewnętrzną i sojuszniczymi relacjami Ukrainy. W tym pierwszym obszarze może chodzić o pokazanie obywatelom, że zwycięstwo jest możliwe, co ma duże znaczenie w obliczu narastającej fali sprzeciwu wobec mobilizacji, o czym mówią korespondenci zagranicznych mediów. Niedawno w Łucku miała miejsce próba odbicia zmobilizowanych rekrutów, sporo jest też doniesień o ucieczkach przez zieloną granicę. Pokazanie sojusznikom, że Ukraina może wygrać wojnę z Rosją, a nie jest skazana wyłącznie na obronę, ma też znaczenie, jeśli chodzi o szanse na wzrost dostaw broni. Przede wszystkim jednak to, co się dzieje, osłabia wiarygodność strategii Białego Domu, który od początku wojny obawia się jej eskalacji i w związku z tym ogranicza skalę pomocy wojskowej. Jeśli mimo zaatakowania swojego terytorium Rosjanie nie zdecydują się odwołać do nowych rodzajów broni, w tym masowego rażenia, czym straszą od dawna, to Kijów udowodni w ten sposób, że pomoc może i powinna wzrosnąć, bo eskalacja jest mniej prawdopodobna, niż się myśli. Jeśli jednak Rosjanie zrealizują swe pogróżki, to Ukraina, niemająca już nic do stracenia, też może na tym wygrać, bo wówczas wzrośnie szansa na wzrost pomocy i polityczną izolację Putina.

Wreszcie warto pamiętać, że politycy w Kijowie, wywodzący się w gruncie rzeczy z tej samej szkoły myślenia strategicznego co Rosjanie, mogą uważać, że przed zbliżającymi się negocjacjami pokojowymi, o czym Zełenski mówi ostatnio bardzo często, dobrze jest podbić stawkę, aby podczas rozmów mieć z czego ustąpić.

Marek Budzisz

Autopromocja

eprasa.pl 3e36963038

SIECI

spis treści

30 Zlecenie na Giertycha
Stanisław Janecki

37 Z Jerzym Kaliną
rozmawia Goran Andrijanić

60 Tajemniczy bałtycki archipelag
Piotr Ostrowski

NA POCZĄTEK

5 **EUROPEJSKA WOJNA DOMOWA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KOŃ, LIS I STONOGA**
Krzysztof Feusette

9 **WŚCIEKNIE SIĘ?**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **„POKÓJ JEST WAŻNIEJSZY NIŻ POLSKA"...**
Jan Pietrzak

13 **INŻYNIERIA FAŁSZU I NIEWIEDZY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ALEKSANDRY KOWALSKIEJ**
Michał Korsun

16 **KRÓL OD DAWNA JEST NAGI**
Samuel Pereira

17 **REWOLUCJA HYBRYDOWA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **FRONT OBRONY SZPIEGA**
Marek Pyza

21 **KULISY WYMIANY WIĘŹNIÓW**
Marek Budzisz

KRAJ

24 **NIEMCY SZUKAJĄ POLSKIEGO QUISLINGA**
Jakub Augustyn Maciejewski

27 **OGRANY KRÓL EUROPY**
Konrad Kołodziejski

30 **ZLECENIE NA GIERTYCHA**
Stanisław Janecki

32 **MEN NA WOJNIE RELIGIJNEJ**
Dorota Łosiewicz

34 **NIE WSZYSTKO, CO CHCETA**
Piotr Gursztyn

37 **Z JERZYM KALINĄ**
rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

41 **ANARCHIA W ANGLII**
Jan Rokita

44 **SWOJSKI, POSTĘPOWY TIM**
Aleksandra Rybińska

47 **NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

50 **PUŁAPKA ŚREDNIEJ SUWERENNOŚCI**
Dariusz Matuszak

54 **JAKA CYWILIZACJA, TAKIE IGRZYSKA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

57 **JAK JEDNO ZDJĘCIE ZAKOŃCZYŁO PUBLICZNE EGZEKUCJE W POLSCE**
Stanisław Płużański

NA WAKACJE

60 **TAJEMNICZY BAŁTYCKI ARCHIPELAG**
Piotr Ostrowski

SIECI KULTURY

63 **GWIAZDY NA PLANECIE PANDORA**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **RACJONALIZM CIEMNOGRODU**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: MAŁGORZATA SOCHA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **OLIMPIJSKIE SKANDALE (SĘDZIOWSKIE)**
Ryszard Czarnecki

74 **ZRUJNOWANA OCZYWISTOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | xxx

eprasa.pl 3e36963038

BRONISŁAW WILDSTEIN

Europejska wojna domowa

Nie wiem, jak intensywne będą zamieszki w Wielkiej Brytanii, kiedy opublikowany zostanie ten numer „Sieci". Nazywanie ich wojną domową, do czego posuwają się niektórzy komentatorzy, jest grubą przesadą. Nie jest natomiast przesadą wskazywanie, że do wojny domowej prowadzić może zjawisko, które jest podłożem obecnych rozruchów. Chodzi o masową muzułmańską imigrację, która spowodować może upadek Europy Zachodniej.

Bezpośrednią przyczyną eksplozji było zabójstwo 3 dziewczynek i poranienie 13, w większości dzieci, przez młodocianego psychopatę w miasteczku Southpark. Wszystko wskazuje, że jego rwandyjskie pochodzenie nie miało z tym związku. Fałszywa informacja, że morderca był muzułmaninem, spowodowała jednak eksplozję. Rozmiar protestów pokazał, jak mocno zdążył zakorzenić się w brytyjskim społeczeństwie lęk przed niekontrolowaną imigracją i nieufność wobec politycznego establishmentu. Bo chociaż tragedia, która stała się zapłonem obecnych wydarzeń, nie miała z cywilizacyjnym konfliktem nic wspólnego, to Brytyjczycy mają aż nadto powodów, aby oskarżać swoje władze i cały establishment nie tylko o nieradzenie sobie z nim, ale wręcz jego ignorowanie.

Przykład. W Rotherham w latach 1997–2013 gangi imigrantów z Azji i Bliskiego Wschodu systematycznie gwałciły oraz zmuszały do nierządu nieletnie dziewczynki w wieku nawet 10 lat. Stwierdzono blisko 1,4 tys. ofiar tego procederu. Policja i władze miasta nie zajmowały się sprawą, obawiając się oskarżenia o rasizm. Podobne gangi zidentyfikowane zostały w wielu angielskich miastach.

W całej Europie Zachodniej religijno-narodowościowa tożsamość przestępców jest przemilczana. Na pierwszy rzut oka sprawa jawi się jako ze wszech miar zasadna. Za przestępstwo odpowiada jego sprawca, a nie grupa etniczna czy religijna. Jednakowoż podejście takie uniemożliwia rozpoznanie zjawiska w skali społecznej i zastosowanie właściwych środków zaradczych. Władze w Rotherham odmawiały szerzej zakrojonego śledztwa w społeczności imigranckiej, a media nie próbowały analizować danych, aby nie stygmatyzować muzułmanów.

Rząd Wielkiej Brytanii oraz media zgodnym chórem potępiają obecne rozruchy. Jakże inne są reakcje na wystąpienia grup mniejszościowych w przypadku realnych czy domniemanych krzywd, które spotykają ich przedstawicieli. Dotyczy to zwłaszcza protestów przeciw działaniom sił porządkowych, nawet jeśli nie sposób dopatrzeć się w nich rasizmu.

Ośrodki opiniotwórcze piętnują brutalność policji bez śladu refleksji nad tym, że jest ona odpowiedzią na narastającą barbaryzację postaw coraz większych grup imigrantów. Jako winni rozruchów bez zbadania sprawy wskazywani są przedstawiciele organów ścigania. We Francji w 2005 r. wielkie zaburzenia spowodowało śmiertelne porażenie dwóch nastolatków, którzy uciekając przed policją, schronili się w stacji transformatorowej. Rok temu długotrwałe zamieszki w tym kraju wywołane zostały przez zabicie młodocianego przestępcy przez policjanta, który strzelał w samoobronie. Według dominujących ośrodków opiniotwórczych wszystkie problemy z muzułmanami spowodowane są ksenofobią Europejczyków.

Słyszymy, że zajścia w Anglii organizowane są przez skrajną prawicę, czyli faszystów i trzeba się z nimi rozprawić w sposób jak najbardziej zdecydowany. Oczywiście wykorzystują je ekstremiści z obu stron, czy jednak zmienia to ujawniający się przy ich okazji problem?

Co by się działo, gdyby to biały napastnik zasztyletował trzy dziewczynki w muzułmańskiej szkole? Jaka byłaby reakcja polityków i mediów na nieuniknione wystąpienia tej społeczności?

Nie chodzi mi o skądinąd ewidentną hipokryzję i podwójne standardy. Chodzi o samobójczą postawę elit europejskich, które, ideologicznie motywowane, nie chcą dostrzegać narastającego niebezpieczeństwa. To, że obecny wybuch sprowokowała fałszywa informacja, pokazuje, po jak podminowanym gruncie się poruszamy. Ideologiczną ślepotę europejskiego establishmentu pogłębia jego postępująca alienacja. Żyjący w wydzielonych i dobrze strzeżonych dzielnicach nie konfrontuje się na co dzień z kłopotami, które obca kulturowo imigracja przysparza zwykłym mieszkańcom. Nieprzypadkowo ofiary przestępstw seksualnych dokonywanych przez muzułmanów pochodzą z warstwy biedniejszej.

Liberalna ideologia uniemożliwia dostrzeżenie konfliktów, które powoduje masowa, obca cywilizacyjnie imigracja. Sprzeczna wewnętrznie idea wielokulturowego społeczeństwa jest w rzeczywistości receptą na wojnę domową.

Obecne wystąpienia wywołane były nieporozumieniem, co wyjątkowo kontrastuje z ich gwałtownością. Spowodował to jednak nie straszny spisek prawicy i populistycznych liderów, ale narastająca frustracja zwykłych Brytyjczyków, których środowisko kulturowe, a więc i poczucie bezpieczeństwa są systematycznie dewastowane.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3e36963038

Sygnalista nadaje

Prokurator Katarzyna Kwiatkowska została zapytana, co czuje ona i jej koledzy, gdy słyszą określenie „bodnarowcy". W odpowiedzi stwierdziła: „Słowo »bodnarowcy« jest używane, uważam, w bardzo złym kontekście. I jest to wywoływanie mowy nienawiści i porównywanie do banderowców". Alternatywnego określenia nie zaproponowała. Może „bodnarewszczyzna"? Pozostaje czekać na pierwszy proces w tej sprawie, co tylko wzmocni wrażenie, że to jednak naprawdę bodnarowcy.

Po powrocie ***Donalda Tuska*** do władzy do polskich mediów wróciła znana wrzutka pod tytułem „Tusk się wściekł". Symbolizuje ona pozorowaną reakcję centrum politycznego na sprawy niekorzystne wizerunkowo, za które owo centrum najczęściej odpowiada. Ale okazuje się, że Tusk czasem wścieka się naprawdę. Jak czytamy na portalu Gazeta.pl: „Panująca w politycznych kuluarach opinia o pracy ministrów rządu Tuska nie jest dobra. Jak można usłyszeć, zdarzało się, że kobiety wchodzące w skład rządu wychodziły z posiedzeń Komitetu Stałego Rady Ministrów lub Rady Ministrów z płaczem". Płacze Polska, płaczą ministrowie, cieszą się tylko nasi sąsiedzi. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

Czy stoimy na progu kolejnego ciężkiego kryzysu gospodarczego? Wiele na to wskazuje. Coraz mniej stabilizacji, coraz większa nerwowość rynków. Tymczasem koalicja 13 grudnia nie patrzy na podstawowy interes naszego państwa i dalej ściga prezesa Narodowego Banku Polskiego. „Myślę, że dalsze procedowanie wniosku o usunięcie prezesa NBP to najgłupsze, co można teraz zrobić w sytuacji rosnącej niepewności na rynkach, wybuchowych wyborów w Ameryce, napięć na Bliskim Wschodzie, zawirowań w Wielkiej Brytanii, zapaści gospodarczej Niemiec i rykoszetowego uderzenia w Polskę" – ocenia Tomasz Wróblewski, prezes Warsaw Enterprise Institute. Nie przesądzajmy. Możemy się założyć, że zrobią coś jeszcze głupszego.

Michał Kamiński, *wicemarszałek Senatu, nie jest zadowolony z pracy ministra Bodnara, co ubiera w czytelną ironię: „Jak czegoś nie rozumiemy, wydaje nam się, że ktoś nas oszukuje, że jest nieudacznikiem, gdy okazuje się, że ktoś dużo gadał, a za cholerę nic nie potrafi, to nam się po prostu źle wydaje. Wszystko jest super. Prokuratura działa re-we-la-cyj-nie. A ci, którzy się teraz śmieją z tej prokuratury, wkrótce przestaną się śmiać i będą płakać. I jestem głęboko przekonany, że tak się stanie". Zgadzamy się z intuicją senatora Kamińskiego: upadek Bodnara jest już bliski.*

Demolują także Lasy Państwowe, nasz narodowy skarb. Paweł Sałek, poseł PiS, były wiceminister środowiska, doradca prezydenta Andrzeja Dudy: „Leśnicy są przerażeni tym, co się wyrabia w polskim leśnictwie i ochronie przyrody. Mamy »lasy społeczne«, kolejną formę instytucjonalną, która ma być wprowadzona. Mamy moratorium o wyłączeniu z gospodarki leśnej blisko 100 tys. ha, mamy następne konsultacje społeczne, które skończyły się wczoraj w ramach kolejnych wyłączeń gospodarki leśnej. Mamy też zmianę kodeksu dobrych praktyk leśnych, które idą w kierunku odchodzącym od polskiego modelu leśnictwa. Mamy również zmianę zarządzenia Dyrektora Generalnego w sprawie tzw. rębni zupełnych, czyli normalnego pozyskania drewna i prócz tego mamy niezatwierdzane plany urządzania lasów, które decydują o tym, w jaki sposób dane nadleśnictwo ma funkcjonować i jak się utrzymywać". Jeśli tak jest, to widocznie tak ma być. Bo to naprawdę jest najazd.

Po wyborach parlamentarnych kierownictwo kancelarii premiera Donalda Tuska zwolniło 39 osób z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Rzeko-

eprasa.pl 3e36963038

mym powodem takiej decyzji był przerost zatrudnienia i brak środków na wynagrodzenia. Tymczasem pół roku później na ich miejsce zatrudniono... 95 nowych osób! A więc najpierw wyrzucono osoby zatrudnione tam za PiS albo podejrzewane o lojalność wobec starego rządu, a chwilę później przyjęto swoich. Dziś widać, jak wielką falę histerii i paniki moralnej uruchomiono przeciw Prawu i Sprawiedliwości. Przykre, że tak wielu ludzi prawicy też dało się w ten sposób zmanipulować.

Ministerstwo Zdrowia nie planuje wycofania się z obowiązku wpisywania danych o ciąży do rejestru zdarzeń medycznych. Resort wyjaśnił, że informacje te służą dostosowaniu terapii do stanu pacjentki np. wtedy, gdy jest ona nieprzytomna. Przypomnijmy: przepisy rozszerzające katalog danych medycznych m.in. o ciążę weszły w życie w 2022 r. Wywołały wielką histerię całej ówczesnej opozycji oraz jej mediów; ukuto pojęcie „rejestru ciąż", snuto wizję iranizacji Polski. Tłumaczenia rządu Prawa i Sprawiedliwości, który wskazywał, że celem jest ochrona kobiet w ciąży, celowo ignorowano i przemilczano. Świadomie posłużono się kłamstwem – w tej sprawie i w tysiącu innych. To był prawdziwy przemysł kłamstwa.

Czy Tusk zdecyduje się na walkę o prezydenturę? Marek Sawicki z PSL uważa, że tak: „Nie będzie kandydatem Rafał Trzaskowski, wszyscy doskonale już o tym wiedzą, coraz bardziej ta świadomość dociera do polityków PO, a także publicystów. Kandydatem będzie Donald Tusk i stąd dzisiaj cała aktywność Donalda Tuska jest bardziej skierowana na przygotowanie wyborów prezydenckich niż na kierowanie rządem". Może coś w tym jest, a może nie. W każdym razie my trzymamy kciuki, by Tusk stanął na ringu. To będzie wielka szansa dla polskiej niepodległości.

Ale ***Rafał Trzaskowski*** też marzy o pałacu prezydenckim. Dowodów nie trzeba daleko szukać. W odpowiedzi na petycję Instytutu Ordo Iuris władze stolicy złagodziły swoje stanowisko w sprawie symboli religijnych. „Każda osoba pracująca w urzędzie ma prawo używać symboli religijnych zgodnie ze swoimi przekonaniami, m.in. mieć symbole religijne, np. w formie medalika, tatuażu, opaski na ręce, jak również umieszczać na swoim biurku symbole religijne" – czytamy w stanowisku. Światowi przełożeni musieli wytłumaczyć Trzaskowskiemu, że rewolucję – czy to komunistyczną, czy to tęczową – też trzeba umieć robić. Chcieć to za mało.

Polski internauta podpisujący się jako Bad Bat zamieścił opis sytuacji w Wielkiej Brytanii:

„Od siedemnastu lat mieszkam w UK i pierwszy raz mam pomysł, żeby stąd wyjechać. To, co tu się dzieje, przerasta moje pojmowanie przyzwoitości i sprawiedliwości. Hordy Afrykańczyków i Azjatów uzbrojonych w pały, noże, maczety i kamienie atakują białych, rdzennych mieszkańców i pozostają... bezkarni. Nawet atak na policjanta nie skutkuje aresztowaniem. Rząd (labour) nie robi nic, grozi jedynie autochtonom, którzy nie zgadzają się na terror przybyszów i biorą sprawy w swoje ręce. Powie ktoś »samosąd nie rozwiązuje problemu«, tak, wiem, ale jeśli nie rozwiązuje ich rząd, to kto ma to zrobić?". Celny opis, ważne pytania. Na naszych oczach umiera multi-kulti. I albo społeczeństwa wymuszą radykalną zmianę polityki, albo po znanej nam Europie pozostaną wspomnienia.

Ten sam internauta przy okazji październikowych wyborów pisał tak: „Wszyscy pójdziemy do lokali, oddamy głosy na opozycję, olejemy kacze referendum. Spakują do pudełek swoje klamoty i wyjdą? Z ministerstw, z SSP, z sądów, z prokuratur? Jedni pójdą na bezrobocie, inni wrócą do wyuczonych zawodów (będą piec bułki, kopać groby, robić peruki), jeszcze inni będą rozmawiać ze swoimi obrońcami o tym, czy iść w zaparte, czy w sześćdziesiątkę?". A w dniu głosowania się cieszył, że w Bedford „prawie nikt nie bierze karty do referendum" i życzył wszystkim spotkania „w bezpisiej Polsce". I co teraz, skoro i w Polsce też nie ma już rządu, który będzie chciał i umiał bronić Polaków przed masową imigracją? Narodzie, czas zmądrzeć, to ostatni dzwonek.

Zamieszki w Wielkiej Brytanii tak opisał publicysta Wiktor Świetlik: „Na szczęście jest rozwiązanie, które podchwyciła duża część świata politycznego i medialnego, także w Polsce. Wystarczy tych protestujących nazwać »faszystami, radykałami, chuliganami«. W ten sposób sprawa się rozwiązuje. A jeśli demonstracje i zamieszki będą się rozszerzać, to będzie oznaczało, że faszystów jest coraz więcej, więc jeszcze bardziej należy przyspieszyć proces wzmacniania multikulturalnego charakteru społeczeństwa, by siłę tę osłabić. Zaś każdy, kto choćby wyrazi wątpliwość, czy tego rodzaju działanie nie jest prostą drogą do wojny domowej, staje się człowiekiem stojącym po stronie »faszystów i fanatyków«". Felieton spodobał się ***Leszkowi Millerowi***, który uznał, że „Świetlik trafnie pisze o niepokojach w Wielkiej Brytanii". Przykro nam, ale takiej opcji nie ma. Nie da się popierać rządów Brukseli, demolki państw narodowych, niszczenia chrześcijaństwa i jednocześnie sprzeciwiać się masowej imigracji. To wszystko robi jedna i ta sama globalna władza.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 3e36963038

Koń, Lis i Stonoga

Krzysztof Feusette

Giertych: Proszę, żeby się panowie przedstawili. Jesteście elitą dziennikarstwa, więc...
Lis: Arystokracją. Gen. Jaruzelski tak mi mówił. Jaki to był wspaniały człowiek, patriota, jeden z ojców okrągłego stołu...
Bąk: Bąk Maciej...
Giertych: Z tych Bąków?
Bąk: To znaczy?
Giertych: No, o pokrewieństwo z Józefem pytam. Pan jest kuzynem?
Bąk: Nie, dziennikarzem. Z „Newsweeka".
Giertych: Aha. Czyli nie powinienem pana wpuszczać po tej waszej ostatniej okładce. Co to ma być? „Roman Barbarzyńca"? Macie szczęście, że mam legendarne poczucie humoru, bo bym pomyślał, że też jesteście z PiS. Teraz każdy, kto nie z nami, ten z PiS, a kto nie skacze, ten będzie siedział. Ale moim zdaniem zdjęcie na okładce zbyt skromne. Następnym razem dajcie na koniu.
Bąk: Tylko jak to będzie wyglądało?
Giertych: W jakim sensie?
Bąk: No, „Koń" na koniu?
Giertych: Nie pozwalaj sobie, redaktorku, bo ja już zmieniałem poglądy, jak tobie zmieniali pampersa. A pan to kto?
Wit: Wit Radomir, cała prawda całą dobę, 24, TVN...
Giertych: A czemu tak odwrotnie mówisz, chłopcze?
Wit: Samo mi się tak mówi. Ja się jeszcze uczę, chociaż już jestem doskonały.
Giertych: W czym konkretnie?
Wit: W Sejmie. Nie widział mnie pan poseł?
Giertych: Za wysoki jestem. Musiałbym usiąść, a nie po to do Włoch pogalopowałem, żeby teraz siedzieć. Kto jeszcze jest z nami?
Schwertner: Janusz Schwertner. Laureat laurów dziennikarskich, zdobywca grand pressów, szkoła Onetu, obecnie goniec...
Giertych: Oj, to nisko kolega upadł...
Schwertner: Goniec.pl. Portal taki. Mam tyle nagród, że już nawet nie muszę sprawdzać informacji. Zresztą nigdy nie sprawdzałem. Żeby nie zapeszyć.
Giertych: Bardzo dobrze, to się przyda. Winny jestem...
Lis: A jednak!
Giertych: Winny jestem panom wyjaśnienie, po co was wezwałem do tej stajni Augiasza, to znaczy Donalda. Otóż jest afera. Mamy do czynienia z gigantycznym przekroczeniem wszelkich zasad! I chciałem zapytać, co panowie o tym sądzą.
Wit: Skandal!
Czuchnowski: Ale co?
Giertych: Spóźnił się pan, redaktorze. Pozwólcie, że przestawię: „Gazeta Wyborcza", arystokracja dziennikarstwa...
Lis: Tobie też tak Jaruzelski mówił?
Czuchnowski: Nie pamiętam. Pewnie tak, ale dowodów nie mam.
Lis: Koń by się uśmiał.
Giertych: Niby z czego?
Lis: Że Czuchnowski to arystokracja. Nie spóźniałby się.
Czuchnowski: O przepraszam, ale prowadziłem akurat pilne dziennikarskie śledztwo. Sprawa jest cuchnąca. Mój serdeczny przyjaciel Stonoga dysponuje taśmą z nagraniem...
Giertych: Właśnie zacząłem opowiadać...
Czuchnowski: ...na której niejaki Stanowski, szef Kanału Zero, zakazuje swoim podwładnym mówić źle o Ziobrze!
Giertych: Ogarniacie panowie?
Wit: Ja pie...dzielę!
Schwertner: A to jest pewne?
Czuchnowski: Masz, oglądaj...
Schwertner: Ja pie...dzielę.
Bąk: Można zerknąć?
Czuchnowski: Proszę bardzo, mam dziesięć kopii.
Bąk: O k...a. O ja cię...
Giertych: Jak mówiłem, sprawa jest gruba. Trzeba to potępić, oczywiście w imię wolnych mediów i wolności słowa.
Czuchnowski: Tak czy siak, mamy go. Nie wywinie się. Jest skończony. Za dużo się temu chłopakowi wydawało. Co on wie o profesjonalnym dziennikarstwie? O warsztacie? Rzetelności?
Wit: Tak jest. Za młody jest, po prostu. Wiele, oj, wiele musi się jeszcze nauczyć...
Giertych: Przepraszam, tylko telefon odbiorę... Halo? Mecenas przy telefonie. Tak, ten mecenas, trollu giertychowy! Już pani poznaje?! Słucham zatem... Że co?! Przecież Stonoga... Aha. Bez odbioru.
Lis: Co się stało?
Giertych: Tragedia. Dał się podejść.
Czuchnowski: No i super! Przecież o to chodziło!
Giertych: Stonoga dał się podejść. Wkręcili go.
Czuchnowski: Zbyszka? Niemożliwe. On mi tyle informacji sprzedawał! Wszystkie były wiarygodne!
Giertych: Sprawdzałeś?
Czuchnowski: Ja? Przy mojej pozycji?
Giertych: A widzisz. Okazuje się, że to sam Stanowski...
Wit: A on nie jest Krzysztof? Na drugie ma Sam? Podejrzane trochę...
Giertych: ...sam spreparował to nagranie. Scenkę odegrali i podesłali. Jeszcze samochodu od Stonogi żądają, bo miał nim płacić za kwity na Stanowskiego.
Schwertner: To co teraz będzie?
Wit: My już komentarze w internecie napisaliśmy...
Giertych: Bo tacy z was dziennikarze, jak z koziej d...py trąba. Trzeba było poczekać. Redaktor Czuchnowski potrafił się powstrzymać.
Czuchnowski: Nie potrafiłem.
Bąk: To co teraz będzie? Co z naszą wiarygodnością?
Czuchnowski: Trzeba w to brnąć. Powie się, że nagranie może i ustawka, ale skoro wszyscy się nabrali, to znaczy, że coś jest na rzeczy.
Wit: Ale tylko my się nabraliśmy!
Lis: Zamknij się! Wszyscy jesteście pisiory! Wszyscy!

eprasa.pl 3e36963038

Wścieknie się?

Muszę panią minister zmartwić. Jest człowiek, który twierdził, że w sprawie wieku emerytalnego nic się nie zmieni

W ub. tygodniu niemałą burzę medialną wywołały wypowiedzi Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, minister funduszy i polityki regionalnej, dotyczące wieku emerytalnego. W rozmowie z Onet.pl stwierdziła ona, że nie można wykluczyć podniesienia wieku emerytalnego.

Temat rozwinęła w Polsat News: „Nie mówię, że jutro, pojutrze czy za rok będzie ta reforma. Tak nie będzie, ale to jest wielki znak zapytania, to jest ta rozmowa, którą z Polakami trzeba prowadzić – powiedziała Pełczyńska-Nałęcz w „Graffiti". – Mamy bardzo poważny kryzys demograficzny. 15 lat temu na jedną osobę w wieku emerytalnym pracowały cztery osoby, teraz są to niespełna trzy, a w 2050 r. to będą mniej niż dwie" – dodała szefowa resortu. Zadała też pytanie: „Czy w obliczu danych, które przedstawiłam, jakikolwiek poważny i odpowiedzialny człowiek może powiedzieć, że nigdy, przenigdy w Polsce do końca świata i do końca wieku nikt nie pochyli się i nie będzie potrzebował myśleć nad decyzją, że ten wiek emerytalny jakoś trzeba będzie zmienić?".

I tu muszę panią minister zmartwić. Jest człowiek, który twierdził, że w sprawie wieku emerytalnego nic się nie zmieni. Mam wątpliwości, czy jest on odpowiedzialny za swoje słowa, ale to Donald Tusk. „Chcę powiedzieć bardzo wyraźnie. Nikt w Polsce w tej chwili, nie znam żadnej siły politycznej, która zamierza podnieść wiek emerytalny. Mówiłem to pierwszego dnia po powrocie do polskiej polityki" – deklarował lider PO w październiku 2023 r. podczas konferencji prasowej w Zgierzu. I oświadczył: „Wróciłem do polskiej polityki nie po to, by zmieniać wiek emerytalny. Dowiedziałem się czegoś bardzo istotnego. Polki i Polacy dość jednoznacznie powiedzieli, że chcą pracować tak długo, jak oni chcą, a nie, że to wynika z jakiegoś przymusu". I podkreślał: „Niech nikt nawet nie próbuje wmawiać komukolwiek, że ktoś chce podnieść wiek emerytalny. Ja na pewno nie". Zdaniem lidera PO każda Polka i każdy Polak mają pracować tak długo, jak długo będą chcieli. „Od tego oczywiście zależy później trochę wysokość emerytury, to wiemy, ale niech to będzie wolna decyzja Polek i Polaków. Jeśli będę miał wpływ na przyszłe rządy w Polsce, na pewno nikt przez chwilę nie będzie zastanawiał się nad taką ewentualnością. Nie podniesiemy wieku emerytalnego, sprawa jest definitywnie zamknięta" – zapewniał.

No to minister Pełczyńska-Nałęcz właśnie tę dyskusję otworzyła. Być może jest tak, jak sugerował Marek Sawicki z PSL, że Donald Tusk nie pilnuje już ministrów jak kiedyś. Marszałek senior jest przekonany, że kandydatem KO na prezydenta będzie nie Rafał Trzaskowski, tylko obecny premier, o czym mówi przy każdej nadarzającej się okazji. „I stąd cała aktywność Donalda Tuska jest bardziej skierowana na przygotowanie wyborów prezydenckich, niż na kierowanie rządem – mówił polityk PSL w Polsat News. – Donald Tusk jest dziś takim rozgrywającym pomiędzy środowiskami koalicyjnymi, żeby mieć jak najlepszą pozycję do startu w wyborach prezydenckich" – wyjaśniał Sawicki.

A ministrowie robią, co chcą. Jeśli tak, to nie chciałabym się znaleźć w skórze minister Pełczyńskiej-Nałęcz podczas najbliższego posiedzeniu rządu (o ile jej wypowiedzi nie były skonsultowane z szefem gabinetu i nie są zwykłym testowaniem opinii publicznej). Jak podała Gazeta.pl, słynne określenie „Tusk się wściekł" dotyczy także kobiet w jego rządzie. „Panująca w politycznych kuluarach opinia o pracy ministrów rządu Tuska nie jest dobra. Jak można usłyszeć, zdarzało się, że kobiety wchodzące w skład rządu wychodziły z posiedzeń Komitetu Stałego RM lub Rady Ministrów z płaczem" – czytamy na portalu.

A przecież podniesienie wieku emerytalnego uważa się za jedną z przyczyn porażki Platformy w wyborach 2015 r. Teraz tego typu zapowiedzi mogą zniechęcić Polaków do udziału w wyborach prezydenckich, a tego przecież premier chyba by nie chciał. Zwłaszcza jeśli to on będzie kandydował.

Dorota Łosiewicz

Konserwatywna lewica, lewicowy konserwatyzm

Rządząca na Słowacji partia SMER Roberta Ficy ma problem, żeby odnaleźć się w nowym europarlamencie. Liderzy ugrupowania mówią, że reprezentuje ono „konserwatywną lewicę", a z takimi poglądami trudno zająć właściwe dla siebie miejsce w Brukseli.

Formacja opuściła już frakcję Europejskich Socjalistów i Demokratów, która okazała się dla Słowaków zbyt liberalna obyczajowo, progenderowa i proimigrancka. Wydawało się, że SMER dołączy do grupy Patrioci dla Europy stworzonej przez Viktora Orbána, jednak jest ona zbyt prawicowa w sprawach gospodarczych i społecznych.

W tej sytuacji osamotniona partia premiera Ficy posiadająca pięciu europosłów postanowiła szukać alternatywy. Sprzymierzeńca znalazła w niemieckim Sojuszu Sahry Wagenknecht, który w 2023 r. oddzielił się od komunistycznej Die Linke i ma sześć mandatów w europarlamencie. Oba ugrupowania łączy wiele: sprzeciw wobec pomocy zbrojnej dla Ukrainy, niechęć do zacieśniania relacji transatlantyckich między UE a USA, odrzucenie polityki klimatycznej Brukseli oraz połączenie lewicowości w gospodarce z konserwatyzmem obyczajowym.

Żeby stworzyć odrębną frakcję w europarlamencie, potrzeba minimum 23 posłów z co najmniej 7 krajów członkowskich. Niemcy i Słowacy zaczęli więc poszukiwania chętnych wśród politycznego planktonu, czyli ugrupowań mających od jednego do trzech europosłów, takich jak m.in. hiszpański ruch Se Acabó La Fiesta, belgijska Partia Pracy, Komunistyczna Partii Czech i Moraw, Portugalska Partia Komunistyczna, Komunistyczna Partia Grecji czy grecka Plefsi Eleftherias. Największym sukcesem byłoby wciągnięcie do inicjatywy innych osamotnionych, lecz znaczących formacji, takich jak Francja Niepokorna (dziewięć mandatów) i włoski Ruch Pięciu Gwiazd (osiem mandatów). Te starania przypominają jednak bardziej łapankę niż budowanie porozumienia na bazie wspólnego programu. Przyszłość projektu politycznego tworzonego przez SMER pokaże jednak, czy w Europie jest w ogóle miejsce dla tak rozumianej „konserwatywnej lewicy".

Grzegorz Górny

Europa na celowniku

Dowódca rebelianckiej Libijskiej Armii Narodowej Chalifa Haftar wydał rozkaz zamknięcia pola naftowego El Sharara. To jedno z największych złóż ropy naftowej w Libii, które zaopatrywało w surowiec głównie rynki zachodnie.

Decyzja Haftara ma mieć związek z zatrzymaniem we Włoszech jego syna Saddama, oskarżonego przez Hiszpanię o przemyt broni. Nakaz aresztowania wydano w związku z przejęciem przez hiszpańską policję rok temu sprzętu wojskowego i broni przeznaczonej rzekomo dla Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Jak twierdzą hiszpańskie władze, w rzeczywistości przechwycona broń miała trafić do wschodniej Libii, którą kontrolują wojska Chalify Haftara.

Od czasu upadku reżimu Muammara Kaddafiego i wojny domowej Libia jest faktycznie podzielona na dwa zwalczające się państwa. W części zachodniej władzę sprawuje uznawany przez ONZ i większość społeczności międzynarodowej rząd w Trypolisie. Z kolei kontrolę nad wschodem i południem kraju sprawuje tytułujący się feldmarszałkiem rebeliancki dowódca Chalifa Haftar, wspierany m.in. przez Egipt i Rosję.

Na obszarze kontrolowanym przez Haftara znajduje się większość libijskich złóż ropy naftowej. Pole naftowe El Sharara, które zostało zamknięte na początku sierpnia, jest w stanie wyprodukować 300 tys. baryłek ropy dziennie. Ograniczając eksport tego surowca, Haftar mści się nie tylko za zatrzymanie swojego syna w Neapolu, lecz także chce wywrzeć polityczny nacisk na unijne rządy wspierające legalne władze Libii w Trypolisie.

Ropa naftowa to zresztą niejedyny instrument w rękach rebelianckiego dowódcy. Przez terytorium Libii napływają do Europy tysiące imigrantów z głębi Afryki. Haftar ma kontrolę nad tą falą migracyjną i może sterować jej nasileniem. Obszary pod jego władzą są – według słów specjalnego wysłannika ONZ Abdoulaye Bathily'ego – „państwem mafijnym zdominowanym przez gangi zaangażowane w operacje przemytnicze". Chodzi nie tylko o przemyt imigrantów, lecz także o broń.

Na destabilizacji Libii zyskuje przede wszystkim Rosja. Zdaniem Amerykanów kontrolowane przez Haftara terytorium stanowi bramę do rosyjskich operacji w Sudanie, Czadzie, Nigrze oraz innych krajach Sahelu i Afryki Środkowej. Stamtąd działają rosyjscy najemnicy, a w Tobruku ma powstać baza dla rosyjskich okrętów podwodnych. Jak ocenia brytyjski konserwatywny polityk Nicholas Soames, „przypomina to scenariusz kryzysu kubańskiego, tyle że tym razem to Europa jest na celowniku, a potencjalnym nowym polem bitwy jest Morze Śródziemne".

Konrad Kołodziejski

Fot. Anjo Kan/Shutterstock.com

eprasa.pl 3e36963038

Wielka Brytania

Mleczna supremacja

Muzeum Historii Nauki w Oksfordzie będzie badać „polityczną naturę" mleka. Chodzi o ustalenie powiązań między mlekiem a...kolonializmem.

„Politycznej naturze" mleka przyjrzą się profesorowie akademiccy, których prace są finansowane przez Radę ds. Badań nad Sztuką i Naukami Humanistycznymi w Wielkiej Brytanii. Przed dwoma laty dr Johanna Zetterstrom-Sharp, na co dzień adiunkt w Instytucie Archeologii na University College London, przy okazji wystawy Wellcome Trust wygłosiła wykład pt. „Mleko i biel". Jej zdaniem „północnoeuropejska obsesja na punkcie mleka" doprowadziła do powstania koncepcji, że jest ono niezbędnym składnikiem diety każdego człowieka, a w konsekwencji, że powinno być ono produkowane na masową skalę. Dlatego, jak stwierdziła, założenie, iż mleko stanowi kluczowy składnik diety człowieka może być rozumiane jako przejaw supremacji białej rasy narzucanej innym kulturom, ponieważ wiele populacji spoza Europy i Ameryki Północnej wykazuje wysoki poziom nietolerancji laktozy.

„Mleczny" projekt badawczy pod nazwą: „Dojenie mleka: kolonializm, dziedzictwo i codzienne zaangażowanie w produkcję mleka" będzie realizowany w Muzeum Historii Nauki, które już otrzymało dofinansowanie na jego realizację. Wielkość dotacji nie została jeszcze ujawniona. Wiadomo jednak, że Rada jest finansowana przez rząd za pośrednictwem Ministerstwa Biznesu, Energetyki i Strategii Przemysłowej, które przyznaje ok. 110 mln funtów w formie grantów badaczom z uniwersytetów i niezależnych organizacji. Samo Muzeum oświadczyło, że projekt ma na celu zrozumienie, w jaki sposób dziedzictwo kolonialne wpływa na współczesne problemy i życie ludzi. „Projekt będzie kwestionował zarówno wyobrażone, jak i rzeczywiste aspekty mleka, ujawniając intymną i polityczną naturę tej codziennej substancji" – oświadczono.

Jak można interpretować tego rodzaju rewelacje? Wygląda na to, że podobnie jak niegdyś dyspozycyjnym klimatologom, tak teraz badaczom z innych dyscyplin zlecono przygotowanie „naukowej" podstawy dla realizacji polityki ograniczającej hodowlę krów i produkcję nabiału na świecie. Już jakiś czas temu bydło zostało obciążone odpowiedzialnością za wzrost stężenia gazów cieplarnianych w atmosferze. Okazuje się, że teraz ponosi również część odpowiedzialności za kolonializm. Poza tym według nowej wykładni „prawdy" mleko przestało być zdrowe.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

Fot. Mamunur Rashid/Shutterstock.com

Bangladesz

Rewolucja aspirujących

Stojąca na czele rządu Bangladeszu Sheikh Hasina opuściła kraj i zrezygnowała z urzędu, uciekając wojskowym śmigłowcem z ogarniętej zamieszkami stolicy. Niedługo później demonstranci wdarli się do jej siedziby, która została doszczętnie rozgrabiona, oraz zajęli budynek parlamentu. Władzę prawdopodobnie obejmie wojsko, bo jak oświadczył szef sztabu Waker-uz-Zaman, ma on zamiar sformować gabinet przejściowy, do którego wejdą przedstawiciele opozycji.

Powodem protestów, które wybuchły 1 lipca i pochłonęły życie, jak się szacuje, co najmniej 300 osób, była ustawa wprowadzająca preferencje w zatrudnianiu przez administrację publiczną krewnych weteranów biorących udział w walce o niepodległość, którą Bangladesz uzyskał w 1971 r. Sheikh Hasina, prywatnie córka Mujibura Rahmana, określanego mianem „ojca narodu", gorąco popierała nowe regulacje.

Demonstranci uważali, że w liczącym 170 mln mieszkańców i borykającym się z 16-proc. bezrobociem kraju zagwarantowanie jednej trzeciej miejsc pracy w administracji publicznej dla rodzin weteranów było nie tylko posunięciem niesprawiedliwym, lecz także próbą instytucjonalnego uprzywilejowania rządzącej elity.

Hasina rządziła Bangladeszem od 2009 r., ale rekordowa skala ostatniego zwycięstwa wyborczego w styczniu br., w którym jej partia zdobyła 200 miejsc w 300-osobowym parlamencie, wynikała przede wszystkim z bojkotu wyborów przez większość opozycji. W kraju narastało bowiem niezadowolenie wywołane represjami i pogarszającą się sytuacją gospodarczą.

Co ciekawe, do niedawna Bangladesz był uznawany za przykład kraju, który osiągnął znaczące sukcesy ekonomiczne. W ostatnim dziesięcioleciu PKB rosło średnio o 6,5 proc. rocznie, liczba ubogich w społeczeństwie spadła z 11,8 do 5 proc., a dochód narodowy liczony na głowę prześcignął sąsiednie Indie. Upadek Sheikh Hasiny jest więc dowodem na to, że tłumienie rozbudzonych aspiracji społeczeństwa może być bardzo niebezpieczne.

Marek Budzisz

3e36963038

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

„Pokój jest ważniejszy niż Polska”...

Jan Pietrzak

...Przypomniał szanowany niemiecki polityk słowa innego niemieckiego polityka sprzed trzydziestu paru lat, kiedy Rosjanie uśmierzali bunt Solidarności. Sami jeszcze nie wiedzieli – wejdą czy nie wejdą? Zachodni politycy również debatowali, co z tym fantem zrobić. Jak usprawiedliwić swoją obojętność wobec Polaków „obalających komunę” i swoich społeczeństw, które w znacznym stopniu kibicowały polskim robotnikom.

Dramatyczny dylemat, co jest ważniejsze: Polska czy pokój, nurtował wcześniej naszych wojennych aliantów – Churchilla i Roosevelta. Bezspornie wpłynął na ich postawę w Jałcie, kiedy oddawali nasz kraj na pożarcie Stalinowi. Zapomnieli o krwi przelanej wspólnie z Polakami za wolność narodów, demokrację, prawa ludzkie i boskie podeptane przez Hitlera. Zapomnieli o żołnierskiej lojalności wobec towarzyszy broni. Bo pokój, ich pokój, był ważniejszy niż wykrwawiona, zrujnowana Polska.

Faktem jest jednak to, że czwarty rozbiór Polski, zadekretowany paktem Ribbentrop–Mołotow, powiódł się połowicznie i nie na stale. Na początku lat 90. ub.w. Polacy samodzielnie przegonili ostatnie wojska okupacyjne II wojny światowej. Można powiedzieć, że od 1989 r. formalnie nareszcie jesteśmy na swoim. Z tym że to „swoje” niezupełnie jest nasze. III Rzeczpospolita to długie pasmo błędów i wypaczeń. Np. trwająca w ostatnich kilku miesiącach „implementacja” coraz bardziej absurdalnych poleceń Unii Europejskiej prowadzi nas do ruiny. Z tamtej strony nie jest to działanie absurdalne, lecz celowe niszczenie możliwości rozwojowych Polski. Drożyzna, inflacja, zaorane rolnictwo, wstrzymane inwestycje, upodlona edukacja, potłuczona praworządność, wykolejone PKP itd. Trwa realizacja planu „Polska w ruinie”.

W tym samym czasie odwiedza nas niemiecki prezydent i z okazji 80. rocznicy powstania warszawskiego żarliwie przeprasza za krzywdy wyrządzone przez Niemców, za imperializm, nacjonalizm i rasizm. Byłoby godne, zbawienne, słuszne i sprawiedliwe, żeby powstrzymał swoich znajomych w polskim rządzie przed robieniem nam krzywdy aktualnie!

Co mamy robić? Znowu musimy się buntować, jak tyle razy od pierwszego rozbioru, przez 2,5 wieku? Znowu sąsiedzi uważają, że mogą coś ugrać „po trupie pańskiej Polski”? Polacy nie uznają pokoju za każdą cenę, a zwłaszcza za cenę wolności.

PS. Zapraszam na koncert „Polskie Sierpnie” 16 i 27 sierpnia w sali Stygmat, pl. Grzybowski 3/5. Dolny kościół Wszystkich Świętych, godz. 19.00.

Poznaję siebie, poznaję świat

Z aktorką Sandrą Drzymalską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. AKPA

Góry i las nie mają już przed panią tajemnic?

Sandra Drzymalska: Doświadczenie każdej roli uczy mnie czegoś nowego oraz daje zupełnie inną perspektywę, a wraz z nią szansę nie tylko zawodowego, lecz także osobistego rozwoju. Czy w filmach „IO” i „Biała odwaga”, czy w serialu „Sexify”, czy teraz moja kochana Simonka... Te postaci osobiście mnie rozwijają.

Czego doświadczyła dziewczyna z Wejherowa, przygotowując się do roli góralki?

Po przeczytaniu scenariusza „Białej odwagi” (filmu, który podobnie jak „Simona Kossak” będzie walczył o tegoroczne Złote Lwy) od razu zobaczyłam Bronkę, poczułam z nią więź. Bardzo chciałam stworzyć tę postać. Uczenie się gwary i góralskich tańców było wpisane w tę kreację, ale nie było najważniejsze. W życiu Bronki dzieje się bardzo dużo w krótkim czasie. Z beztroskiej nastolatki staje się coraz bardziej zamkniętą młodą kobietą. Musi podejmować dramatyczne decyzje, a jednocześnie zachować szlachetność, lojalność, człowieczeństwo.

A co przyniosła tytułowa „Simona Kossak”?

To bardzo pojemna i piękna postać. Dzięki niej dostałam szansę m.in. na odkrycie świata natury, który jest wielką wartością naszego życia. Często go nie doceniamy, a co gorsza – nie szanujemy. To są niesamowite doświadczenia. Dają mi siłę i natchnienie do dalszych działań.

A co pani robi między kolejnymi ważnymi filmowymi projektami?

Spędzam czas z moim psem, wielorasowym, z Podlasia. To moja najwspanialsza towarzyszka. Jeśli mam więcej dni, podróżuję. Poznaję siebie, poznaję świat. Teraz chciałabym polecieć do Australii.

eprasa.pl 3e36963038

Inżynieria fałszu i niewiedzy

Marta Kaczyńska-Zielińska

Niemiecki nazizm był ideologią, która miała stworzyć nową, ponadnarodową cywilizację europejską, bez demokracji i praw człowieka. W ramach realizacji swojego planu Niemcy zamordowali ok. 6 mln obywateli Polski. Według raportu opracowanego za rządów Zjednoczonej Prawicy starty materialne stanowią równowartość 6 bln 220 mld 609 mln zł. Polska, kraj najbardziej poszkodowany pod względem strat ludzkich i materialnych, otrzymała 2–3 proc. odszkodowań wypłaconych po wojnie przez Niemcy.

W ostatnich tygodniach w niemieckich księgarniach pojawiła się publikacja zatytułowana „Polscy burmistrzowie" autorstwa Grzegorza Rossolińskiego-Liebe. Jej autor opisuje rzekomą współpracę polskich urzędników z niemieckimi oprawcami, usiłując w ten sposób zakodować obraz Polaków jako współodpowiedzialnych za niemieckie zbrodnie i przesiąkniętych antysemityzmem. Według prof. Musiała wskazana pozycja nie posiada wartości merytorycznej, zawiera bowiem twarde tezy uderzające w naszych rodaków, ale jest pozbawiona dowodów na ich prawdziwość. Wyraźnie widać, że mamy do czynienia z kolejnym zabiegiem z dziedziny inżynierii społecznej mającym na celu przerzucenie odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie na Polaków. Analogicznie jak to ma miejsce w przypadku systematycznie pojawiających się w mediach wrzutkach o polskich obozach koncentracyjnych, nagłośniona przed laty opowieść o rzekomej zbrodni dokonanej przez Polaków w Jedwabnem czy też liczne publikacje wydawane jako naukowe przedstawiające jednoznacznie negatywy obraz Polaków niepoparty dowodami o walorach spełniających kryteria pracy naukowej.

Świadomość historyczna zarówno w Polsce, jak i w Niemczech jest stosunkowo niska, więc opowieść o polskich zbrodniach przenika przez kolejne dekady, kreując fałszywy obraz zdarzeń z czasów II wojny światowej. Według badań Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Niemczech z czerwca 2023 r. świadomość Niemców dotycząca zbrodni dokonanych przez ich przodków na Polakach jest niewielka. Poza tym wśród naszych zachodnich sąsiadów coraz wyraźniej dominuje przekonanie, że zaszłości z okresu wojny i okupacji są odległe, a sprawa rozliczeń została zamknięta.

Zatrważające dane z punktu widzenia Polski przynoszą ustalenia raportu, wedle których tylko 16 proc. Niemców zdaje sobie sprawę z tego, że okupacja naszego kraju była szczególnie brutalna i że poniósł on największą liczbę ofiar w stosunku do liczby ludności. Co drugi obywatel Niemiec (49 proc.) jest przynajmniej świadomy faktu, że niemiecka polityka okupacyjna w państwach Europy Wschodniej była znacznie gorsza niż na Zachodzie, ale nie zdaje sobie sprawy z różnic pomiędzy poszczególnymi państwami.

64 proc. Niemców uważa, że nie ma podstaw do dyskusji na temat reparacji, bo minęło już zbyt wiele czasu albo dlatego, że po wojnie przyznano Polsce część niemieckich ziem, co jak wiadomo odbyło się na mocy wielostronnych porozumień międzynarodowych, a nie było inicjatywą władz niemieckich mającą na celu odkupienie niemieckich win. Kłania się więc nieznajomość historii, która pozwala na wysuwanie opisanych wyżej, całkowicie bezpodstawnych argumentów.

Zdaniem tylko jednej czwartej badanych wszystkie dzieła sztuki zrabowane przez Niemcy powinny zostać zwrócone Polsce bez warunków wstępnych. 44 proc. uważa, że nie powinno się dłużej podnosić tej kwestii albo nie ma na ten temat żadnego zdania. Jedna trzecia Niemców dopuszcza natomiast możliwość restytucji polskich dóbr kultury jedynie pod warunkiem, że Polska zwróci Niemcom utracone przez nie dzieła sztuki i dobra kultury z terenów włączonych do naszego kraju.

Jednocześnie ustalenia raportu wskazują, że niemieckie społeczeństwo prezentuje pozytywny lub neutralny stosunek do Polski. Co drugi Niemiec (49 proc.) jest przekonany, że Polska ma raczej pozytywny stosunek do ich państwa. Opowieść o jednoznacznie negatywnym wpływie rządów Zjednoczonej Prawicy na relacje Polski z Niemcami można zatem uznać za co najmniej nieuprawnione.

REKLAMA

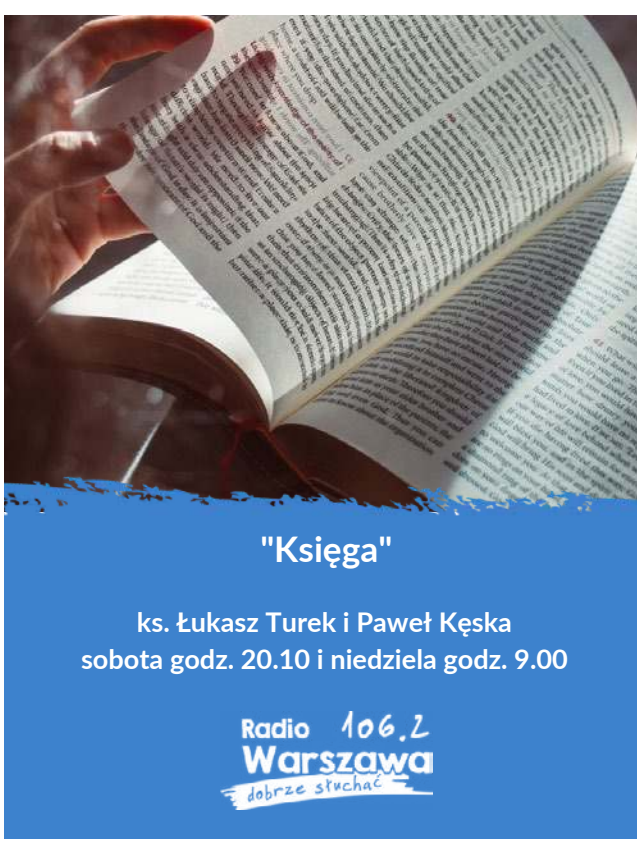

15/0724/F

eprasa.pl 3e36963038

Walizka Aleksandry Kowalskiej

właścicielki najstarszego zakładu grawerskiego w Warszawie

Grawerska podróż rodziny Kowalskich trwa już 160 lat. Zaczęła się w 1864 r., gdy Andrzej Kowalski założył skromny warsztat grawerski na rogu Elektoralnej i Orlej. Jego talent, precyzja i pasja przyciągały klientów, a firma szybko zyskała reputację oferującej wyjątkowe i starannie wykonane grawerunki na różnych przedmiotach. Po śmierci Andrzeja Kowalskiego zakład przeszedł w ręce jego syna. Frumencjusz Kowalski przeniósł go na ul. Leszno, rozwinął zakres usług i powiększył zespół, kierując przedsiębiorstwo na nowe ścieżki rozwoju. Po wybuchu II wojny światowej firma musiała na krótko przerwać działalność, jednak już w 1940 r. Roman Roch Kowalski wraz z Frumencjuszem wznowili pracę, tym razem na ul. Senatorskiej. Oficjalnie zajmowali się tam grawerstwem, lecz potajemnie wytwarzali też metalowe pieczątki do produkcji podrabianych dokumentów dla podziemia. Po powstaniu warszawskim zakład ponownie zawiesił działalność, ale zaraz po wyzwoleniu stolicy nasza rodzina wynajęła lokal przy ul. Bagatela 11. Mam zaszczyt prowadzić zakład od 2022 r. po nagłym odejściu mojej mamy. Oczywiście czasy się zmieniają, technika idzie do przodu i wszystko wokół nas się digitalizuje, ale ponadczasowe są tradycja, rodzina oraz serce, które wkładamy w każdą wykonaną pracę. Aby kontynuować tradycję, przy obecnych kosztach działalności z pewnością potrzebujemy więcej klientów i zamówień.

MATRYCA

Tradycyjna, ręcznie wykonana. Służyła do wybijania medalu pamiątkowego z okazji IV papieskiej pielgrzymki do ojczyzny.

PIECZĄTKI

W naszym zakładzie pieczątki przeszły największą metamorfozę technologiczną, ponieważ mój dziadek Maksymilian Kowalski postanowił zdigitalizować zakład. Kiedy zakupiono komputery, specjalne oprogramowanie i laserowo wycinający ploter, nie było już potrzeby ręcznego składania czcionek.

eprasa.pl 3e36963038

Zbliżenia
Pieczątka od dyrektora
DYPLOM
CECH ZEGARMISTRZÓW, GRAWERÓW I OPTYKÓW I BRĄZOWNIKÓW

DZIADEK MAKSYMILIAN

Mój dziadek był bardzo ciekawą postacią. Dużo czasu spędził na zachodzie Polski jako dyrektor jednego z motoryzacyjnych zakładów produkcyjnych. Później uczył się od swojego ojca grawerstwa i stemplarstwa. Finalnie przejął Bagatelę 11 i wraz z bratem Jurkiem rozwijał zakład. Dziadek był bardzo zdecydowanym człowiekiem, ale miał gołębie serce, o czym przekonało się dużo osób, którym pomógł. U nas to zresztą rodzinne, bo często angażujemy lub organizujemy różne akcje pomocowe.

LEKARSKIE PIECZĄTKI

Upodobania części klientów pozostają niezmienne i te słynne pieczątki w metalowych pudełkach, tzw. lekarskie, nadal cieszą się dużym powodzeniem.

MAMA

Po śmierci braci warsztat przy Bagateli przejęła synowa Maksymiliana, moja mama Ewa Kowalska. Godnie i sumiennie kontynuowała rodzinną tradycję. Była niezwykle empatyczną, ciepłą osobą, wielu klientów ją uwielbiało i wspomina do dziś. Zawsze na pierwszym miejscu stawiała dobro firmy i pracowników.

DREWNIANE PIECZĄTKI

W brew pozorom są jeszcze instytucje, które zamawiają pieczątki z drewnianym uchwytem, np. poczty i urzędy. Zdarzają się także firmy wykonujące opakowania ręcznie i chcąc je ozdobić stemplem, zamawiają u nas drewnianą pieczątkę.

BELWEDER I TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY

Wykonane metodą wytłaczania. Na początku grawer zrobił matrycę z fasadami budynków, które zostały odciśnięte w posrebrzanej blasze. To zamówienie dostaliśmy z pałacu prezydenckiego, a miniatury były wręczane jako prezenty zagranicznym delegacjom.

MASZT

W Warszawie jest wiele miejsc, w których ludzie mogą zobaczyć nasze prace. To szyldy firmowe, tabliczki na drzwiach, np. adwokatów, papierowe wizytówki czy odznaczenia. Jednym z takich akcentów jest wygrawerowana tabliczka przymocowana do masztu z flagą narodową znajdującego się na rondzie Radosława.

ORZEŁ DLA ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

Orzełki wykonane w naszym zakładzie dla Zamku Królewskiego od kilku dekad zdobią czapki i mundury straży Zamku.

PAPETERIA

Tłoczymy też w papierze. Przykładem jest wykonanie papeterii dla Stałej Delegacji RP przy NATO. Zlecenia dla instytucji rządowych są dla nas dowodem uznania naszej solidności.

TŁOK PIECZĘTNY

W Muzeum Warszawy można zobaczyć tłok pieczętny Zarządu Miejskiego w Warszawie. Został wykonany w 1939 r. w Zakładzie Grawerskim Roch Kowalski.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Michał Korsun, archiwum Aleksandry Kowalskiej, archiwum Muzeum Warszawy, Shutterstock

eprasa.pl 3e36963038

Król od dawna jest nagi

Samuel Pereira

Po tym, jak przetoczyła się salwa śmiechu po akcji Krzysztofa Stanowskiego, której „ofiarami" razem ze Zbigniewem Stonogą padli wszyscy ci, którzy niczym szczury ruszyli za flecistą z Hameln, myślałem, że nic mnie nie zdziwi. Okazało się jednak, że najsmakowitsze, co było w tym wszystkim, przyszło niczym dobre wino z Kany Galilejskiej – na końcu. Mam na myśli wyjątkową w swej bezczelności próbę odwrócenia ogonem całej sprawy.

Zamiast skruchy czy drobnego nawet uderzenia się w piersi ze strony mediów antypis dostaliśmy smutne kawałki od tej resztki, która nie dała się nabrać Stonodze (być może przespała, może była na plaży i miała szczęście), i niektórych komentatorów, którzy wspólnie wymyślili sposób, żeby wyciągnąć do trzódki przedsiębiorcy pomocną dłoń. Wymyślili oni – mam na myśli Biankę Mikołajewską (nowa pracownica TVP) i dr. Marcina Kędzierskiego (główny Ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego) – że winnym całej sytuacji jest ten, który ujawnił, iż „król jest nagi", czyli sam Stanowski. Dlaczego? Ponieważ uderzył w wiarygodność „wszystkich mediów", czytaj: lewicowo-liberalnych, a w ogóle to miał złe intencje i może pokazał prawdę o tych mediach, ale zabrakło mu w tym wszystkim miłości i łagodności.

Najbardziej poruszyły mnie przemyślenia dr. Kędzierskiego, który w tzw. wątku na platformie X (d. Twitter) do poparcia swoich tez zaprzągł naukę katolicką (tak jak on ją rozumie), ks. Jerzego Popiełuszkę i św. Ignacego. Wszystko po to, by sprytnie odwrócić kota ogonem i ze sprawców spustoszenia w głowach ludzi zrobić ofiary. I tak złe słowa trafiły do ogródka Stanowskiego („W gruncie rzeczy gardzi innymi dziennikarzami i ma głęboko w nosie, czy oni się zmienią"; „System, który do perfekcji opanował, to struktura zła"), a nie było ani słowa krytyki wobec tych, którzy latami sieją nienawiść do prawicy i Kościoła katolickiego, oszukują i manipulują ludźmi w swoich mediach, kierując się cynicznymi polityczno-ideologicznymi pobudkami. Oni wiedzą, co robią, ale czy wiedzą to ci, którzy organizują im ładnie opakowaną osłonę retoryczną, utrzymując *status quo*?

eprasa.pl 3e36963038

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: MICHAŁ WOŹNIAK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, SPLASHNEWS.COM/EAST NEWS, LIUDMYLA KAZAKOVA, PULLBEAR/WIKIPEDIA, X.COM SHUTTERSTOCK/MUSIN, ZODYAKUZ, AJDIN KAMBER, DROP OF LIGHT

Rewolucja hybrydowa

Za nami rocznica wybuchu powstania warszawskiego, przed nami świętowanie zwycięskiej Bitwy Warszawskiej. Te ważne w naszej historii epizody obfitowały w niezliczone akty heroizmu i poświęcenia rodaków.

Zadałem sobie pytanie: w obronie jakich wartości współcześni Polacy gotowi by byli ponieść największe nawet ofiary, wyrzeczenia? Pobieżny research nie pozostawił cienia nadziei. Postępująca laicyzacja, wynaturzenia, promowanie egoizmu, ojkofobii, głupoty i zanik więzów rodzinnych sprawiają, że walka za wiarę, ojczyznę i swych najbliższych staje się dziś passé.

Jako niepoprawny optymista uparłem się, by odnaleźć w naszych rodakach choćby namiastkę gotowości do znoszenia cierpień, upokorzeń czy wyrzeczeń w imię realizacji jakiegoś ważnego celu. Szukam, myślę, kombinuję. Nic. I nagle – eureka! Mam! Wielu Polaków bez wahania oddałoby dziś naszą suwerenność, względny dobrobyt, bezpieczeństwo na ulicach, również swe „nieekologiczne" samochody, mieszkania, domy, kotlety schabowe, nawet prawo do puszczania bąków za... satysfakcję z dokopania „ciemnogrodzkim moherom"! Poddanie walkowerem rozwoju kraju, wyprzedaż gospodarki, otwarcie granic na wędrówki ludów, zdanie się na łaskę i niełaskę wrogich nam od wieków sąsiadów – toż to poświęcenie niemające równych sobie w całej historii Polski! I to nie w imię miłości, braterstwa, szczytnych ideałów, lecz ze szczerej i bezinteresownej nienawiści do politycznych oponentów.

Czy idealny Polak przyszłości uformowany według „Imagine" Lennona (bez majątku, narodowości, religii, reguł prawa naturalnego, za to z tacką pożywnych robaków w dłoni i głową pustą po reformie edukacji) będzie w stanie pojąć głębię przesłania Wyspiańskiego: „Miałeś chamie złoty róg..."?

PS Komuna to krwawe rewolucje i zniewolenie mas. Polacy bronili swej niepodległości powstaniami. Dziś lewacki marsz przez instytucje wygenerował rewolucję hybrydową. Czy odpowiedzią na nią będzie hybrydowe powstanie?

Lech Makowiecki

Autopromocja

eprasa.pl 3e36963038

Front obrony szpiega

Polityczna wojna z PiS zaślepia naszych „demokratów" tak bardzo, że w jej imię gotowi są nawet do obrony rosyjskich szpionów. Nie zauważają własnej kompromitacji, igrają z bezpieczeństwem państwa. Moskwa ma tu na kogo liczyć

MAREK PYZA

Przez kilka lat działał w Polsce niezwykle groźny szpieg i wysoki oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego. Nasz kraj nie był jedynym, w którym zbierał on informacje i raportował je do Moskwy. Legenda dziennikarza, jaką przyjął pod tożsamością Pabla Gonzaleza ppłk Paweł Rubcow, była idealna do realizacji stawianych mu zadań. Mógł jeździć w miejsca konfliktów zbrojnych (zawsze tam, gdzie wysyłała wojska bądź miała swoje interesy Rosja) i prowadzić działalność wywiadowczą. Spotykał się z wpływowymi ludźmi, pozyskiwał ekskluzywną wiedzę.

Jak bardzo był cenny dla Putina, okazało się na początku sierpnia, gdy stał się najważniejszym aktywem, które morderca z Kremla chciał uratować z Polski.

Po jego zatrzymaniu w lutym 2022 r. polskie władze co rusz były atakowane za przetrzymywanie rzekomo niewinnego hiszpańskiego dziennikarza. Lista osób i środowisk, które stawały w jego obronie, wręcz przeraża. Są na niej dziennikarze, aktywiści, obrońcy praw człowieka, eksperci ds. bezpieczeństwa.

Dziś powinni przeprosić i zamilknąć. A najlepiej zmienić zajęcie, bo bezpodstawna obrona rosyjskiego szpiega jest kompromitacją, której nie da się wymazać.

PODATNY GRUNT

Rubcow urodził się w 1982 r. w ZSRR jako potomek Rosjanina (menedżer w koncernie medialnym RBC) i córki hiszpańskich komunistów, którzy wyemigrowali do Sowietów. Gdy miał dziewięć lat, wrócił z matką na Półwysep Iberyjski. Dziś wiemy, że choć mieszkał w Kraju Basków, utrzymywał kontakty z ludźmi zaangażowanymi w działania separatystyczne w Katalonii. Śledztwo, które toczy się w sprawie rosyjskiego zaangażowania w destabilizację Hiszpanii, obejmuje m.in. Gonzala Boyego, Chilijczyka, który był pełnomocnikiem Rubcowa po zatrzymaniu.

Co ciekawe, m.in. Jan Piński, zaufany żołnierz Romana Giertycha lubiący pozować na specjalistę w obszarze służb specjalnych, krzyczał, że Gonzalez jest pozbawiony w Polsce prawa do adwokata. Miał na myśli właśnie Boyego, którego hiszpańskie służby podejrzewają o współdziałanie z Moskwą w dezintegracji iberyjskiego królestwa.

Piotr Niemczyk to kolejny polski obrońca ruskiego szpiega. Tu sprawa jest wyjątkowo kłopotliwa, bo Niemczyk to współtwórca polskich służb specjalnych (w latach 1993–1994 wicesszef wywiadu w Urzędzie Ochrony Państwa, członek komisji weryfikacyjnej w UOP), były doradca ministra spraw wewnętrznych i administracji Marka Biernackiego oraz ekspert komisji ds. służb specjalnych. On też najwyraźniej uwierzył w historię o prześladowanym hiszpańskim dziennikarzu i na łamach „Gazety Wyborczej" antycypował, że ta sprawa skończy się kompromitacją Polski przez służby Mariusza Kamińskiego.

Kto jak kto, ale Niemczyk powinien doskonale wiedzieć, że w tym czasie Polska była (i jest) w orbicie szczególnego zainteresowania służb Rosji, a nasze zatrzymują szpiegów tylko wtedy, gdy ich działalność jest zbyt niebezpieczna dla państwa i nie można ryzykować ich pozostawania na wolności, choć pod obserwacją. Tak właśnie było w tym przypadku.

Mniej można się dziwić Bartoszowi Staszewskiemu, aktywiście LGBT+, który podobnie do wielu innych lewackich działaczy korzystał z Gonzaleza jako międzynarodowego pasa transmisyjnego do uderzania w prawicowy rząd. Za jego pośrednictwem kolportował więc swoje brednie o rzekomym istnieniu w Polsce „stref wolnych od LGBT+".

Mariusz Kowalczyk z branżowego miesięcznika „Press" (też wyraźnie antypisowskiego) po zatrzymaniu Gonzaleza niepokoił się: „Śmierdząca sprawa. Hiszpańskie media publiczne twierdzą, że facet jest niewinny. A to nie są prorosyjskie media". A właśnie, że są.

Rubcow *vel* Gonzalez przez kilka lat inwigilował rosyjską opozycję. Udało mu się nawiązać kontakt z córką zastrzelonego pod murami Kremla Borisa Niemcowa, współpracował z Fundacją Niemcowa, uczestniczył w berlińskim zjeździe rosyjskiej opozycji w 2017 r. Był wówczas od trzech lat „dziennikarzem", mając na koncie relacje m.in. z aneksji Krymu, walk w Donbasie czy Górskim Karabachu. W Hiszpanii bacznie obserwował pojawiających się na wymianach międzynarodowych młodych dziennikarzy z Ukrainy i USA, po czym raportował swoje obserwacje Moskwie.

Oficjalnie był freelancerem, czyli dziennikarzem bez stałego zatrudnienia. Współpracował z dużymi mediami hiszpańskimi, a także niemieckimi czy Głosem Ameryki. Holenderski reporter Jaap Arriens opisał Rubcowa jako

eprasa.pl 3e36963038

Putin wita na lotnisku w Moskwie uwolnionych więźniów.
Kółkiem zaznaczony ppłk Paweł Rubcow, przedstawiający się jako dziennikarz Pablo Gonzalez

Fot. KIRILL ZYKOV/AFP/East News

wesołego i bezpośredniego człowieka, który dobrze odnajdował się w otoczeniu. Zwrócił jednak uwagę na zamożność Hiszpana – zawsze miał przy sobie sporo gotówki, używał najnowocześniejszych i najdroższych telefonów oraz komputerów. „Kiedyś Gonzalez powiedział: »Życie układa się dobrze, nawet prawie zbyt dobrze«". Pomyślałem: »Człowieku, życie freelancera nigdy nie jest zbyt dobre, o czym ty mówisz?«" – wspomina Arriens.

GŁOS ROSJI Z ZACHODU

Za Gonzalezem *vel* Rubcowem wstawali się hiszpański Rzecznik Praw Obywatelskich, Międzynarodowa i Europejska Federacja Dziennikarzy, hiszpańska Federacja Związków Dziennikarskich, organizacja Reporterzy Bez Granic czy Amnesty International. 14 lewicowych europosłów występowało w jego obronie. W lutym 2024 r. szef MSZ Hiszpanii José Manuel Albares domagał się natychmiastowego publicznego procesu Gonzaleza i ujawnienia dowodów, które polskie służby zebrały przeciwko niemu. I wreszcie crème de la crème tej międzynarodowej hucpy – Komisja Europejska w raporcie z lipca 2023 r. o wyimaginowanym łamaniu praworządności w Polsce jako jeden z dowodów swoich tez wskazała zatrzymanie Hiszpana z podwójnym paszportem.

Wróćmy jednak do polskich reakcji, skoro lwią część zachodnich (a zwłaszcza hiszpańskich) ośrodków opiniotwórczych możemy uznać za straconą. Nawet oddaleniem od Rosji nie da się wytłumaczyć faktu, że już po wylądowaniu Rubcowa w Moskwie, powitaniu go przez Putina i ogłoszeniu przez rzecznika Kremla Pieskowa, że to wysoki oficer GRU, niejedno hiszpańskie medium wątpiło, czy to rzeczywiście szpieg (sic!).

Apel Albaresa wykorzystała do uderzenia w poprzednie polskie władze Anna Mierzyńska, kiedyś pracownica biura PO, dziś przedstawiana jako ekspert ds. wojen informacyjnych, która bierze pieniądze za szkolenia dotyczące dezinformacji w sieci. Tyle że sama nie potrafi jej rozpoznać, łapie się nań i upowszechnia narracje naszykowane na Kremlu. W marcu napisała w OKO.press sążnisty tekst o zamordystycznym państwie polskim, które za długo przetrzymuje ludzi w aresztach śledczych. Posłużyła się tu przykładami Mateusza Piskorskiego, Janusza N. i właśnie Gonzaleza. Wszyscy zostali zatrzymani pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji. Podważała materiał dowodowy zebrany przez polskie służby przeciw Rubcowowi, naiwnie tłumaczyła dwa paszporty szpiega – hiszpański i rosyjski (to zaalarmowało ABW) tym, że nasz bohater urodził się w ZSRR. Wbrew faktom pisała też, że Gonzalez siedział w areszcie bez postawienia mu zarzutów, co jest nieprawdą i niemożliwością w polskim systemie.

Ciężko tylko zrozumieć, dlaczego Mierzyńska nie poświęciła ani słowa na wątpliwości co do przetrzymywania „dziennikarza" w areszcie przez służby podległe Donaldowi Tuskowi. Skoro „pisowski reżim" miał kompromitować Polskę tym zatrzymaniem, to „uśmiechnięta Polska" koalicji 13 grudnia powinna Gonzaleza wypuścić, czyż nie?

Po 2,5 roku okazało się, że służby nadzorowane przez Mariusza Kamińskiego wykonały perfekcyjną robotę, zatrzymując groźnego rosyjskiego szpiega. A co by było, gdyby go jednak wypuściły, uginając się pod krajową i międzynarodową presją? Mielibyśmy (i słusznie) festiwal jeżdżenia po ministrach rządu ZP, którzy nie potrafią realnie ocenić zagrożenia. Znów okazało się jednak, że pisowscy nominaci dbali o polskie bezpieczeństwo, a próbowali je podkopywać lewicowo-liberalni eksperci, dziennikarze czy aktywiści.

eprasa.pl 3e36963038

OSTATNIA MISJA

Ostatnie wpisy Gonzaleza *vel* Rubcowa w mediach społecznościowych dotyczą wojny na Ukrainie. Reporter teoretycznie trzyma się z boku, nie wspiera Rosji. Lecz to tylko pozory. A to dziwi się, że ukraiński prezydent z ministrem obrony uśmiechają się na jakimś zdjęciu i zarzuca im brak powagi w trudnym okresie dla kraju. A to nagłaśnia doniesienia o tym, że jeden z bloków mieszkalnych w Kijowie został trafiony nie rosyjską rakietą, lecz ukraińskim pociskiem przeciwrakietowym. Podaje też dalej pseudosatyryczny rysunek wskazujący, że to USA i UE popchnęły Ukrainę do prowokacji przeciwko Rosji. Drugiego dnia wojny podkreśla, że Siergiej Szojgu nakazał traktowanie jeńców z szacunkiem (były to pierwsze godziny gwałtów, tortur i mordów Moskali na ukraińskich żołnierzach i ludności cywilnej).

W przeddzień inwazji dzielił się ze światem grafiką, na której wypisano naloty bombowe wojsk amerykańskich w trakcie różnorakich konfliktów. W ten sposób przygotowywał grunt pod medialną obronę ataków Rosji. A przecież nie pojechał na Wschód, by relacjonować konflikt. Realizował nie tylko zadania związane z wojną informacyjną (25 stycznia, miesiąc przed inwazją, twierdził, że nazistowska symbolika w Rosji jest mocno zwalczana, a na Ukrainie nikt się nią nie przejmuje – miesiąc później Putin ogłaszając wojnę, użyje m.in. właśnie argumentu *ad Hitlerum*), lecz *stricte* wojskowo-wywiadowcze. Jest zainteresowany transportami wojskowymi na Ukrainę, przemieszczaniem się wojsk, infrastrukturą krytyczną. Klasyczna szpiegowska robota.

Kilkanaście dni przed wojną Rubcow został wydalony z Ukrainy, bo bez akredytacji jeździł po terenach kontrolowanych przez ukraińską armię. 28 lutego ABW zatrzymała go w Przemyślu pod zarzutem współpracy z GRU. Już po tym fakcie Unia Dziennikarzy Walencji przyznała Gonzalezowi Nagrodę Wolności Słowa. To wręcz wisienka na torcie głupoty i służenia złej sprawie przez środowiska lewicowo-liberalne.

Pięknoduchy z hiszpańskich redakcji do dziś nie potrafią pogodzić się z faktem, że życie czasem przerasta filmowe scenariusze.

Przed kilku laty mogliśmy oglądać znakomity serial „Zawód: Amerykanin" o parze rosyjskich nielegałów mieszkających na przedmieściach Waszyngtonu vis-à-vis oficera kontrwywiadu FBI, z którym zresztą się zaprzyjaźniają. Są perfekcyjnie wyszkolonymi szpiegami sięgającymi po cały arsenał środków stosowanych przez KGB, z łóżkiem i morderstwami włącznie. Ich dzieci oczywiście nie mają pojęcia, że tak naprawdę są Rosjanami. Amerykańska produkcja zyskała ogromną popularność, bo jak mało która tak drobiazgowo pokazuje kuchnię działania kremlowskich służb, a powstawała w konsultacji z oficerami CIA. I choć jest fikcją, to dziś nie mamy wątpliwości, że niezwykle prawdopodobną. Wszak bliźniaczą historię opisywały przed kilkoma dniami media na całym świecie – w samolocie z Ankary do Moskwy znalazła się bowiem argentyńska rodzina aresztowana w 2022 r. na Słowenii. Kilkuletnie dzieci dopiero na pokładzie dowiedziały się, że są Rosjanami, a kompletnie im nieznany Władimir Putin przywitał ich po hiszpańsku, zaś obdarowaną bukietem kwiatów dziewczynkę nawet figlarnie musnął po nosku.

LINIA RUBCOWA

Ze sprawy Pawła Rubcowa powinniśmy wyciągać dalej idące wnioski niż tylko o tym, jak aktywne są rosyjskie służby w Polsce i jak łatwo przedstawiciele „elit" stają się ich wspólnikami w atakach na nasz kraj. Warto zwrócić uwagę na to, jaką narrację rozpowszechniał Rubcow *vel* Pablo Gonzalez w kluczowych tematach naszej debaty publicznej. Już w grudniu 2015 r. kibicował protestom „w obronie demokracji" w Polsce. Po elekcji prezydenckiej w lipcu 2020 r. komentował: „Analiza tego, co pozostawiają nam polskie wybory po zwycięstwie Dudy: populizm i korzystanie z dobrodziejstw UE bez przyjmowania wartości, tolerancji i integracji, jakie powinni wyznawać jej członkowie, a do tego polaryzacja polskiego społeczeństwa".

Jesienią 2020 r. wspierał zadymy Strajku Kobiet, podając przy okazji kłamliwe informacje o rzekomych skutkach wyroku Trybunału Konstytucyjnego. W październiku 2021 r. krytykował premiera Morawieckiego za obronę polskiej suwerenności w sporze z Brukselą. Rubcow atakował Polskę: „Kraj, który jak nikt inny wykorzystał UE do rozwoju i modernizacji, nie chce przyjmować minimalnych wartości, które mają wyznawać wszyscy członkowie Unii". W listopadzie 2021 r. kolportował fake newsy o zaatakowaniu przez polskich mundurowych trójki fotoreporterów. Wspierał manifestacje proimigranckie, jeździł na pogranicze, do ośrodków recepcyjnych, regularnie podgrzewał atmosferę w sprawie sytuacji na granicy.

Jest oczywistością, że to, co głosił w przebraniu dziennikarza podpułkownik GRU, leżało w interesie Kremla, a zatem było niekorzystne dla Polski. Jak więc zmierzymy się z faktem, że jego narracja w znacznej większości pokrywała się z tym, co na co dzień przekazują wiodące media lewicowo-liberalne?

Przecież narracja Rubcowa była jednocześnie linią redakcyjną OKO.press czy „Gazety Wyborczej".

Trzeba podkreślić jeszcze jedną kwestię. Nie było wcześniej w Polsce władzy, która byłaby tak atakowana jak rządy Zjednoczonej Prawicy. Dotyczyło to również obszaru bezpieczeństwa państwa. Podważano niemal każdą decyzję, nawet wtedy, gdy większość społeczeństwa nie miała wątpliwości, że władza czyni słusznie – *vide* wszystko, co wiąże się z obroną granic. W każdym działaniu dopatrywano się łamania demokracji i wprowadzania dyktatury.

A to przecież jawne występowanie przeciw interesowi ojczyzny, dywersja służąca wrogowi. Czy tylko w imię politycznej wojenki i niszczenia wewnętrznego przeciwnika, czy też intencjonalnie, z zamiarem zaszkodzenia Polsce? Najkorzystniejsza dla naszych antypisowskich „elit" wersja ich postępowania jest taka, że nie zapaliła im się czerwona lampka, bo są tak zaślepione nienawiścią do formacji Jarosława Kaczyńskiego. Lecz czy to na pewno okoliczność łagodząca?

Historia z Gonzalezem pokazuje, że absolutnie nie jesteśmy zwolnieni z pytań fundamentalnych: jakie naprawdę Rosja ma aktywa w polskich środowiskach opiniotwórczych? Jaka część (na pewno niemała) prowadzonej w ostatnich latach kampanii wymierzonej w obóz konserwatywny w Polsce była inspirowana przez Moskwę? Rosja już tu jest, to prawda. I to nawet bardziej, niż się wielu wydaje.

eprasa.pl 3e36963038

Kulisy wymiany więźniów

Największa po upadku ZSRR i zakończeniu zimnej wojny wymiana więźniów między Zachodem a Rosją wzbudziła nie tylko zrozumiałe zainteresowanie, lecz także skłania komentatorów światowych mediów do stawiania pytań o celowość takiej operacji i kto w jej wyniku może mówić o sukcesie

Krytycy, w tym ubiegający się o prezydenturę Donald Trump, a także republikańscy kongresmani mówią, że to Putin wygrał. Zwracają uwagę na fakt, iż mimo że Rosja i Białoruś wypuściły z więzień 16 aresztowanych, uzyskując w zamian uwolnienie 8 osób (nie licząc dwójki dzieci małżeństwa Dulcewów), to Moskwa wypuściła dziennikarzy, obrońców praw człowieka i opozycyjnych polityków, a w zamian odzyskała oficerów wywiadu, w tym Wadima Krasikowa, na którym ponoć rosyjskiemu prezydentowi zależało najbardziej. Robert O'Brien, doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego za jego pierwszej kadencji, powiedział mediom,

MAREK BUDZISZ

że „cena, którą zapłaciła Ameryka", biorąc udział w tej wymianie, „jest bardzo poważna". Jego zdaniem Putin wysłał sygnał do agentów służb, że „nie zostawiamy swoich", a to w konsekwencji przyniesie nie tylko nasilenie rosyjskich operacji wywiadowczych, lecz także ich większą zuchwałość, w tym zabójców na zlecenie, którzy będą czuć się bezkarni i chronieni przez Moskwę.

NEGOCJACJE

Jak informują amerykańskie media, rozmowy między przedstawicielami CIA i rosyjskich służb na temat zorganizowania dużej wymiany więźniów trwały ponad rok. Zaczęły się prawdopodobnie po tym, jak Waszyngton zgodził się wypuścić w grudniu 2022 r. Wiktora Buta, rosyjskiego handlarza bronią skazanego w Stanach Zjednoczonych na wyrok wieloletniego więzienia. W zamian Rosjanie uwolnili Brittney Griner, koszykarkę skazaną na dziewięć lat pod zarzutem przemytu narkotyków w procesie, który nie był ani uczciwy, ani sprawiedliwy.

Fot. Roberto Schmidt/AFP/East News

eprasa.pl 3e36963038

Jednak wkrótce po rozpoczęciu negocjacje utknęły, bo Putin twardo domagał się uwolnienia Wadima Krasikowa, skazanego w Niemczech na dożywocie za zastrzelenie w centrum Berlina czeczeńskiego opozycjonisty. Kilka lat temu rosyjski prezydent pytany w trakcie konferencji prasowej w Paryżu o tę sprawę miał lodowatym tonem odpowiedzieć, że zastrzelony Żelimchan Changoszwili był „terrorystą", a Krasikow jest człowiekiem motywowanym patriotycznymi odczuciami i obywatelem oburzonym odmową ekstradycji przez Niemcy „wielokrotnego mordercy". Jak informuje rosyjski niezależny portal The Moscow Times, w istocie ten „patriota" to zabójca, który wcześniej mógł wykonać w Rosji co najmniej dwie podobne egzekucje i dziś jest cynglem rosyjskiego wywiadu. Przedstawiciele rodziny Krasikowa przebywający obecnie na Zachodzie twierdzą, że chwalił się on osobistą znajomością z Putinem i tym, że szkolił prezydenta Rosji w strzelaniu z pistoletu.

Jak relacjonują niemieckie media, pierwsza rozmowa między Bidenem a Scholzem na temat uwolnienia więźniów miała miejsce w styczniu br. i wówczas miała się też pojawić koncepcja, że wymianą powinien zostać objęty Aleksander Nawalny, przebywający w rosyjskim więzieniu. Mieli na to nalegać Niemcy. Tydzień później rosyjski opozycjonista już nie żył, co zresztą zaskoczyło światową opinię publiczną. „The Wall Street Journal" napisał, że Putin otrzymał ofertę w tej sprawie, co sugeruje wydanie przez niego rozkazu uśmiercenia opozycjonisty. Wydawało się wówczas, jak piszą amerykańscy dziennikarze powołujący się na źródła w administracji, że do wymiany nie dojdzie, bo Berlin nie będzie gotów do zmiany stanowiska w nowej sytuacji.

W rozmowy miała się wówczas zaangażować Kamala Harris, która podjęła tę kwestię w czasie kuluarowych spotkań w trakcie monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, która odbywała się w lutym br. Można przypuszczać, że cała operacja miała stanowić element kampanii wyborczej Bidena, który po uzyskaniu nominacji, doprowadzając do wymiany więźniów, miał pokazać, że umie negocjować z Putinem. Innym elementem strategii wyborczej prezydenta miało też być odblokowanie pomocy dla Ukrainy i w następstwie ustabilizowanie sytuacji na froncie, manifestacja jedności sojuszniczej NATO przy okazji waszyngtońskiego szczytu oraz najprawdopodobniej rozpoczęcie negocjacji w sprawie zakończenia wojny jeszcze przed listopadowymi wyborami. Aby zrealizować ten plan, potrzebna była zgoda niemieckiego kanclerza na wypuszczenie z więzienia Krasikowa. Scholz – po tym, jak w kwietniu zadzwonił do niego Biden – miał ostatecznie powiedzieć: „Zrobię to dla ciebie", co może potwierdzać teorię o osobistym wymiarze tej operacji. Niemieccy politycy niezależnie od osobistych sympatii nie pomagają sojusznikom bezinteresownie, co oznacza, że i w tym przypadku Scholz postawił, jak można przypuszczać, twarde warunki. Co uzyskał?

Jak informuje niemiecka prasa, zażądał, aby niemieccy negocjatorzy uczestniczyli w rozmowach z Rosjanami. Wcześniej, tj. do momentu śmierci Nawalnego, były one prowadzone przez CIA i FSB. Taki warunek, spełniony zresztą przez Amerykanów, w wyraźny sposób podkreśla równorzędność i partnerskie relacji między Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Do zespołu negocjacyjnego dołączył Philipp Wolff, wiceszef BND. Kooperacja na tym szczeblu jest niezwykle istotna perspektywicznie, zwłaszcza po kilku znaczących wpadkach niemieckiego kontrwywiadu, w tym przechwyceniu przez Rosjan rozmowy dowództwa Bundeswehry w sprawie taurusów czy ujawnieniu siatki szpiegowskiej w Bundestagu i w urzędzie kanclerskim. Wymiana informacji wywiadowczych stanowi ważny element systemu bezpieczeństwa, ale bez zaufania do służb i konkretnych ludzi stojących na ich czele niewiele da się zrobić. Operacja i zaangażowanie w niej BND można uznać za pierwszy znaczący krok odzyskiwania przez Niemców wiarygodności.

„MORALNE MOCARSTWO"

Pisząc, że 13 z 16 uwolnionych przez Moskwę więźniów udało się do Niemiec, rosyjskie media sugerują, że to Berlin, umożliwiając przeprowadzenie wymiany, okazał się największym beneficjentem operacji, a Scholz, podkreślając humanitarne motywy, jakimi się kierował, podejmując niełatwą decyzję o zwolnieniu Krasikowa, buduje wizerunek kraju jako „moralnego mocarstwa". Wydaje się jednak, że za swoją zgodę niemiecki kanclerz uzyskał znacznie więcej. Można sformułować hipotezę, że niedawne porozumienie ogłoszone przy okazji szczytu NATO w Waszyngtonie przewidujące stacjonowanie amerykańskich systemów rakietowych średniego zasięgu w niemieckich bazach już w 2026 r. jest jednym z elementów pakietu negocjacyjnego.

Patrząc na sprawę politycznie, umowa ta ma jeszcze jeden wymiar. Otóż utwierdza rolę Niemiec w charakterze zwornika europejskiej części NATO, głównego sojusznika USA na naszym kontynencie, w tym zasadniczą rolę Berlina w obronie wschodniej flanki. Do tej pory Niemcy, a także Holandia i Finlandia posiadały rakiety JASSM-ER o zasięgu 1 tys. km, które Polska też ma zamiar pozyskać. Przynajmniej teoretycznie otwierało to pole zabiegów, zanim Niemcy zawarli porozumienie z Bidenem, aby amerykańskie systemy średniego zasięgu znalazły się u nas. Gdyby to się udało, jądro konwencjonalnego systemu odstraszania Rosji znalazłoby się w Polsce, która i tak jest narażona na wyprzedzające ataki przy użyciu systemów znajdujących się w enklawie królewieckiej. Ewentualne przesunięcie na wschód amerykańskich systemów w oczywisty sposób zwiększałoby nasze bezpieczeństwo, podnosząc też pozycję Warszawy w systemie sojuszniczym.

Teraz jest to mało realne, bo przyłączając się wraz z Niemcami, Francuzami i Włochami do umowy w sprawie wspólnej pracy na rzecz budowy europejskich systemów o zasięgu powyżej 1,5 tys. km, zgodziliśmy się na to, że Niemcy będą centrum obrony i odstraszania Rosji. Innymi słowy, zrezygnowaliśmy z tego, aby stać się istotnym, na zasadach partnerstwa, uczestnikiem systemu bezpieczeństwa, a z pokorą przyjmujemy rolę państwa uzależnionego od decyzji potężnego sąsiada. Berlin wyciągnął z uczestnictwa w wymienia więźniów niemałe korzyści, a inni?

KORZYŚCI Z WYMIANY

W wypowiedziach na temat wymiany premier Norwegii Jonas Gahr Støre akcentuje bezinteresowny udział w niej

eprasa.pl 3e36963038

Oslo, mówiąc, że chodziło o pokazania siły więzi łączących Sojusz Północnoatlantycki i uwolnienie z pobudek humanitarnych więźniów sumienia z rosyjskich łagrów. Jednak prócz takich motywów zawsze mają miejsce transakcje typu „coś za coś". Co zatem ugrała Norwegia?

Frederik G. Ranke z norweskiej Prokuratury Krajowej powiedział w rozmowie z jedną ze stacji radiowych: „Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że kilka lat temu Norwegia otrzymała pomoc od swoich sojuszników, aby wydostać Norwega z rosyjskiego więzienia", co oznacza, że zgoda na przekazanie Michaiła Mikuszyna, rosyjskiego szpiega udającego naukowca na uniwersytecie w Tromsø w październiku 2022 r., była czymś w rodzaju rewanżu. Za miesiąc miał on stanąć przed norweskim sądem, co notabene ośmiesza narrację liberalnych mediów w Polsce, twierdzących, że aresztowany w lutym 2022 r. Pablo Gonzalez, a naprawdę oficer GRU Paweł Rubcow, był zbyt długo przetrzymywany w areszcie. Udzielając zgody na przekazanie Mikuszyna, Oslo najprawdopodobniej rewanżowało się za wsparcie sojuszników w uwolnieniu z rosyjskiego więzienia Frodego Berga, obywatela Norwegii, który w 2017 r. został aresztowany w Moskwie, a dwa lata później wymieniony za dwóch rosyjskich szpiegów aresztowanych na Litwie.

Przypadek Słowenii, która wydała małżeństwo rosyjskich nielegałów udających emigrantów z Argentyny, też jest wart uwagi. Dulcewowie zostali aresztowani w grudniu 2022 r. i pod koniec lipca skazani na rok i siedem miesięcy więzienia. Słoweńskie media spekulują, że zarówno szybki proces, jak i łagodny wyrok były prawnym kruczkiem, do którego odwołały się władze, aby móc wziąć udział w przekazaniu więźniów bez konieczności naruszenia obowiązujących procedur. Rosyjskim szpiegom zaliczono bowiem czas przebywania w areszcie na poczet kary i formalnie deportowano ich ze Słowenii, dostali też pięcioletni zakaz pobytu w tym kraju. Vojko Volk, słoweński sekretarz stanu, powiedział w rozmowie z portalem 24ur.com, że bezpośrednie korzyści Słowenii z udziału w wymianie więźniów to pogłębienie współpracy między wywiadami, w tym przede wszystkim niemieckim i amerykańskim. W przyszłości może to owocować uzyskaniem przez Słowenię informacji ważnych z punktu widzenia bezpieczeństwa, co jest tym istotniejsze, że do tej pory ten niewielki kraj wywodzący się z byłej Jugosławii był postrzegany na Zachodzie w kategoriach słabego ogniwa systemu sojuszniczego, państwa spenetrowanego przez rosyjskie służby.

Ale w tym przypadku nie chodziło wyłącznie o odbudowę wiarygodności sojuszniczej. Volk powiedział też, że Lublana liczy na to, iż wniesie „większy wkład" niż do tej pory w „kwestie pokoju na Bałkanach", a także sugerował, że model negocjacyjny sprawdzony przy okazji wymiany więźniów może wskazywać na to, że porozumienie polityczne kończące wojnę na Ukrainie nie jest odległą perspektywą. Słoweńcy liczą zatem na wzrost politycznego znaczenia ich kraju w regionie.

> Nie wykorzystaliśmy wymiany więźniów nie dlatego, że w polskich służbach siedzą niedołęgi, którym taki pomysł nie przyszedł do głowy, ale z tego powodu, że rządzący najwyraźniej nie chcieli skorzystać z nadarzającej się okazji

Na wymianie więźniów niewątpliwie zyskuje też Turcja, której służby specjalne umożliwiły przeprowadzenie całej operacji. To zresztą nie pierwsze tego rodzaju zaangażowanie Ankary. Wcześniej Turcy pośredniczyli w negocjacjach, które zakończyły się uwolnieniem obrońców Mariupola, w tym jeńców z batalionu Azow, oraz w rozmowach w sprawie odblokowania korytarza zbożowego przez Morze Czarne. Jak napisał komentator „The New York Times", prezydent Erdoğan konsekwentnie buduje swą pozycję jako jedynego wchodzącego w grę pośrednika, który jest w stanie, utrzymując kontakty z Putinem, doprowadzić do negocjacyjnego zakończenia wojny na Ukrainie. Po stronie zysków turecki przywódca może zapisać nie tylko łagodzenie przez Amerykanów ograniczeń na dostawy niektórych rodzajów broni dla tureckich sił zbrojnych, lecz przede wszystkim wzrost znaczenia jego kraju w polityce bliskowschodniej, której dziś nie można prowadzić bez wzięcia pod uwagę stanowiska Ankary.

A co uzyskała Polska? Wanda Poczobut, matka odsiadującego wyrok w białoruskim więzieniu działacza mniejszości polskiej, powiedziała: „Myśleliśmy, że Andrzej odzyska wolność. Jest w nas duży żal". Zapewne nawiązała w ten sposób do tego, że Niemcy szybko doprowadzili do uwolnienia Rico Kriegera, 29-latka skazanego w dziwnym procesie na Białorusi na karę śmierci. Warszawie się to nie udało, mimo że wypuściliśmy z aresztu rosyjskiego szpiega.

Poza ogólnikami trudno też mówić o wzroście w regionie politycznego znaczenia naszego kraju. MSZ jest bardzo wstrzemięźliwy w dystrybuowaniu informacji na temat tego, co prócz poklepania po ramieniu udało się Warszawie uzyskać dzięki uczestnictwie w wymianie więźniów. Sprawa wymaga wyjaśnienia, tym bardziej że właśnie niszczona jest stacja Biełsat, od lat będąca oparciem dla białoruskiej opozycji i oknem na świat tamtejszej opinii publicznej. Przez długi czas Łukaszenka robił wiele, aby skłonić Polskę do zaprzestania wpierania Biełsatu, teraz osiąga swój cel. Wygląda na to, że w kwestii polityki wobec Mińska przechodzimy od fazy „niewiele możemy zrobić" do linii „nic nie mamy zamiaru robić", co obiektywnie umacnia władzę białoruskiego dyktatora i w przeciwieństwie do Słowenii czy Norwegii, nie mówiąc już o Niemczech, powoduje spadek znaczenia Polski. Nie wykorzystaliśmy wymiany więźniów nie dlatego, że w naszych służbach siedzą niedołęgi, którym taki pomysł nie przyszedł do głowy, ale z tego powodu, że najwyraźniej rządzący nie chcieli skorzystać z nadarzającej się okazji.

eprasa.pl 3e36963038

Niemcy szukają po

W Polsce jest tylko garstka osób, które dostrzegły skalę zagrożenia. Niemiecka publikacja Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o rzekomym udziale Polaków w Holokauście to nie jest po prostu kolejna książka próbująca obarczyć nas winą za zagładę Żydów. To wielopoziomowa pułapka

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

6 sierpnia ukazała się w Niemczech książka polsko-niemieckiego historyka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe pt. „Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i współpraca". Portal wPolityce.pl alarmował już 3 sierpnia, informując o zawartości książki i jej groźnym kontekście. Wśród polityków niebezpieczeństwo nowego niemieckiego kłamstwa od razu rozpoznał Mateusz Morawiecki, przesyłając redakcji specjalne oświadczenie. „Wygląda na to, że celem książki jest wbijanie do głów, pod płaszczykiem naukowości i przy pomocy zręcznych manipulacji, tezy o częstym bądź zgoła masowym uczestnictwie Polaków w ludobójstwie" – napisał wiceprezes PiS.

O tym, w jaki sposób książka fałszuje dzieje Holokaustu, wybielając Niemców i oczerniając Polaków, za chwilę, najpierw jednak trzeba się przyjrzeć polityczno-historycznym szachom, które Niemcy i elity III RP prowadziły z państwem polskim w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy.

Dziennikarsko-naukowy establishment od lat wspierał tezy Jana Tomasza Grossa, Barbary Engelking czy Jana Grabowskiego, wrabiające Polaków w mordowanie Żydów. Nikt nie zadał tym badaczom trudnego pytania, nie skorzystał z miażdżących recenzji naukowych, polemik, zarzutów historyków – książki i artykuły tych autorów jedynie wychwalano. Tomasz Lis w „Newsweeku", Monika Olejnik w TVN24, cała „Gazeta Wyborcza" i portal Onet.pl przywoływali ich tezy, nie informując o poważnych zastrzeżeniach do prac wspomnianych badaczy. Państwo polskie reagowało – Instytut Pamięci Narodowej formułował oświadczenia i wydawał publikacje demaskujące kłamstwa Grabowskiego i Engelking, rząd utworzył Instytut Strat Wojennych, który wyliczył wysokość niemieckich reparacji, tygodnik „Sieci" (tak, działaliśmy niczym najlepsza instytucja państwa polskiego) drukował teksty dr. Piotra Gontarczyka i prof. Bogdana Musiała, które obnażały fałszowanie źródeł w pracach Grabowskiego czy Engelking.

Jednak w tych szachach zaczęto używać figur spoza planszy – autorzy przypisujący Polakom niemieckie zbrodnie zaczęli ogłaszać, że są prześladowani przez państwo polskie, jakby dla naukowca recenzja czy polemika miała być represją, a nie codziennością. Sprawa otarła się o niemieckie instytucje – w maju 2023 r. w Warszawie Niemiecki Instytut Historyczny zorganizował wykład dr. Grabowskiego, w którym wygłosił on tezy o antysemityzmie Polaków i prześladowaniu go przez państwo polskie. Niemiecki europoseł Christian Ehler postulował w Brukseli założenie instytucji, która broniłaby uczonych, takich jak Grabowski czy Engelking – na zadane przez tygodnik „Sieci" pytania

Fot. Jaroslav Moravcik/Shutterstock

eprasa.pl 3e36963038

lskiego Quislinga

nie odpowiedział już przez rok. Wszystkie naukowe zastrzeżenia wobec prac obojga badaczy okrzyknięto „pisowską polityką", a zastrzeżenia innych polskich historyków traktowano jako nieistniejące. Strona niemiecka ustawiła więc sprawę wyjątkowo nieuczciwe – każdą krytykę, która spadnie na naukowców stawiających tezy dotyczące rzekomego wkładu Polaków w Zagładę, okrzykuje się jako „polityczną" i korzysta się z tej kontrowersji, żeby promować owych „niepokornych" historyków.

Potwierdza to zachowanie samego Rossolińskiego-Liebe. Po oświadczeniu Mateusza Morawieckiego historyk zareklamował swoją książkę komentarzem o tekście polityka Prawa i Sprawiedliwości. „Były premier Polski ostrzega przed czytaniem mojej książki. Możecie ją pobrać z internetu" – drwił niemiecki badacz. Postawę tych specyficznych badaczy Holokaustu podobnie ocenia prof. Bogdan Musiał. „To jest pewien problem. Ja sądzę, że on chciał sprowokować debatę w Polsce, tak jak to się udało Grossowi, Grabowskiemu i Engelking. Przez głoszenie niepodpartej niczym tezy wywołuje wzmożenie medialne, co dla niego jest pożyteczne, jakby to miało być sukcesem naukowym" – komentował w telewizji wPolsce.pl historyk, uzasadniając w ten sposób fakt, że o książce wiedział już wcześniej, ale nie chciał nagłaśniać sprawy.

> Rossoliński-Liebe twierdzi, że polscy burmistrzowie pod niemiecką okupacją byli nieomal niezależnymi samorządowcami. Jak zauważa prof. Bogdan Musiał, niemiecki historyk rzuca ostrą tezę, a potem nie potrafi jej udowodnić. Po co to robi?

Tutaj w tych polsko-niemieckich szachach pojawia się dylemat. Czy mamy przemilczeć fakt gigantycznego kłamstwa uderzającego w prawdę historyczną o Polakach, czy mamy polemizować z fałszywymi tezami ku uciesze autorów, którzy przedstawią to jako szykany i zrobią sobie z tego reklamę?

Z dziennikarskiego punktu widzenia i szacunku dla czytelników opisujemy jednak sprawę, zwłaszcza że jest ona otwarciem nowego etapu.

DLACZEGO TA KSIĄŻKA JEST INNA?

Gdy w 2000 r. Jan Tomasz Gross napisał książkę „Sąsiedzi", w świat poszedł komunikat: „Polacy też mordowali". Problem polegał na tym, że pojedyncze przypadki zbrodni znajdą się w każdym społeczeństwie, a żeby pogrążyć nasz kraj w zarzutach, trzeba było znaleźć instytucje współpracujące z nazistami. To zapotrzebowanie próbowali wypełnić badacze z Centrum Badań nad Zagładą Żydów z Barbarą Engelking i Janem Grabowskim na czele, ich praca okazała się jednak tylko etapem pośrednim. Po pierwsze, historycy dość szybko znaleźli setki poważnych błędów, a nawet ingerencji (pomyłki czy fałszerstwa?) w źródła historyczne, a po drugie, oskarżano najwyżej sołtysów czy poszczególne jednostki ochotniczej straży pożarnej oraz grupy policjantów granatowych. To za mało. By zmieszać z błotem całą Polskę, należało znaleźć nie poszczególne przypadki, ale całe polskie instytucje, jakąś organizację, partię, poważnego reprezentanta narodu, którego się podczepi pod sprawstwo Zagłady.

Grabowski i Engelking przetarli ścieżkę, używając fałszywego sformułowania „administracja niemiecko-polska", jakby okupowani Polacy stanowili samodzielną część samorządów (nie stanowili, byli mordowani w razie

eprasa.pl 3e36963038

Fot. Wikipedia

Grzegorz Rossoliński-Liebe, autor książki „Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i współpraca"

Fot. Adrian Grycuk/Wikipedia

Przed rokiem w Warszawie Niemiecki Instytut Historyczny zorganizował wykład dr. Grabowskiego, w którym wygłosił on tezy o antysemityzmie Polaków

sprzeciwu wobec najeźdźców). Skąd jednak wziąć „polskiego Quislinga", gdzie znaleźć takiego premiera jak francuski Pierre Laval, który dostarczał Hitlerowi Żydów na każde zamówienie?

Jak wyjść z tych formułowanych półgębkiem oskarżeń do wypowiedzianego otwartym tekstem zarzutu o to, że za Holokaust odpowiadają beznarodowi naziści i polskie społeczeństwo? Tę kropkę nad „i" postawił właśnie Grzegorz Rossoliński-Liebe, stwierdzając, że w mordowaniu Żydów z własnej woli i na wielką skalę pomagali polscy burmistrzowie w Generalnym Gubernatorstwie. „Polscy burmistrzowie i władze miejskie wspierali niemieckich okupantów w przeprowadzaniu Holokaustu" – czytamy w książce. „Udział polskich burmistrzów w Zagładzie jest poważnym wkładem w ogromną zbrodnię" – brzmi teza niemieckiego historyka.

Aby propaganda skutecznie poszła w świat, potrzeba jednak spersonifikowania zbrodni i wskazania symbolu zaangażowania, nadanie rzekomo polskiemu zwyrodnialstwu jakiejś twarzy. Kto zatem staje się dla Niemców „polskim Quislingiem"? Bo jak symbolem kolaboracji z Niemcami stał się norweski faszysta Vidkun Quisling, tak teraz istnieje polityczne zapotrzebowanie na znalezienie jego polskiego odpowiednika.

ATAK NA BOHATERA

Julian Spitosław Kulski (1892–1976) był w czasie okupacji burmistrzem Warszawy. Ukrywał Żydów we własnym domu, doczekał się drzewka Sprawiedliwego wśród Narodów Świata w Yad Vashem, współpracował z Polskim Państwem Podziemnym, pomagając stawiać opór Niemcom, jego syn brał udział w powstaniu warszawskim. Słowem – bohater. Jakim cudem z takiego człowieka można zrobić ochoczego niemieckiego kolaboranta i opublikować jego wizerunek na okładce książki o polskich burmistrzach rzekomo zaangażowanych w Holokaust?

Rossoliński-Liebe twierdzi, że polscy burmistrzowie pod niemiecką okupacją byli niemal niezależnymi samorządowcami. Jak zauważa prof. Bogdan Musiał, niemiecki historyk rzuca ostrą tezę, a potem nie potrafi jej udowodnić. Samodzielności Kulskiego pod niemiecką okupacją ma dowodzić prawo do zwolnień podatkowych na lemoniadę czy prowadzenie administracji wystawiającej rachunki za prąd w getcie. Jednak to Niemcy ustanowili okupacyjne prawo, a Polaków zmuszali do jego egzekwowania pod groźbą śmierci, podobnie jak zrobiono to z Żydami w gettach, którzy reprezentowali swoje wspólnoty w Judenratach. Ciekawe, czy Rossoliński-Liebe napisałby także o administracji „niemiecko-żydowskiej"? Oczywiście nie, ale swoją fałszywą tezę wzmocnił efektem graficznym – na okładce książki „Polscy burmistrzowie i Holokaust" jest właśnie Julian Kulski.

Jest jednak nadzieja, że za Kulskim wstawią się nie tylko historycy, lecz także konkretne środowiska. Same władze Warszawy upamiętniały swojego bohatera miejscami pamięci w stolicy. Zapytana o komentarz w sprawie kłamstw Rossolińskiego-Liebe Fundacja Kulskich odpowiedziała konkretnym oświadczeniem. Na razie przeprowadzono tylko wstępną analizę książki (całość ma 1100 stron). „Obecnie treść książki poddawana jest pogłębionym analizom w celu ustalenia szczegółowej listy nadużyć w niej zawartych odnośnie do osoby Juliana Spitosława Kulskiego" – czytamy w przesłanym tygodnikowi „Sieci" oświadczeniu.

Rossoliński-Liebe jest z pełną determinacją wspierany przez państwo niemieckie. Jego praca została uznana za habilitacyjną przez Wolny Uniwersytet w Berlinie, wydana przez jedno z najważniejszych niemieckich wydawnictw De Gruyter, a jego tezy były propagowane przez jeden z najważniejszych w Niemczech ośrodków upamiętniających Holokaust – Haus der Wannsee-Konferenz. To tam historyk w specjalnym podcaście opowiadał w języku angielskim o rzekomym polskim antysemityzmie, który pchnął polskich burmistrzów do udziału w mordowaniu Żydów (!). Czyli to już nie tylko praca o statusie naukowym, lecz także popularyzatorskie, anglojęzyczne podcasty, które mają, cytuję, „umiędzynarodowić Holokaust".

Problem w tym szachowym turnieju o pamięć historyczną polega na tym, że państwo polskie nie zapowiada żadnej odpowiedzi. Grabowski czy Rossoliński-Liebe opowiadają o tym, że „PiS ich atakuje", ale naukowe zastrzeżenia historyków i merytoryczne argumenty zbywają milczeniem. Jedynie Instytut Pamięci Narodowej wydaje w języku angielskim naukowy periodyk „Polish-Jewish Studies", ale strona niemiecka udaje, że czasopismo nie istnieje.

Nie mamy czym bronić prawdy historycznej, a propaganda cały czas pracuje nad największym oszczerstwem XXI w.

eprasa.pl 3e36963038

Ograny król Europy

Donald Tusk jest silny tylko w polityce krajowej. Potrafi rozstawiać swoich koalicjantów po kątach i brutalnie bić w opozycję. Jeśli jednak chodzi o politykę zagraniczną i relacje z Unią, staje się potulny i uległy jak baranek. Na wszystko się zgadza i każdemu przytakuje

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W powodzi skandali olimpijskich, obyczajowych i medialnych, które w ostatnich dniach zalały polskie życie publiczne, umknęła nam bardzo ważna informacja. Otóż wchodzą właśnie w życie dyrektywy wykonawcze Komisji Europejskiej do rozporządzenia bateryjnego Unii z 2023 r. Na mocy tego zarządzenia producenci baterii muszą informować o śladzie węglowym swoich produktów. Początkowo miał on być liczony na podstawie emisji zakładu produkującego baterię, jednak wskutek nacisków Francji zmieniono tę regułę. Nowa dyrektywa zakłada bowiem, że nieszczęsny ślad węglowy będzie liczony od całości miksu energetycznego kraju, w którym mieści się fabryka baterii.

Dlaczego jest to takie ważne? Otóż Polska, która ma najsłabszy miks energetyczny w Unii, zostaje w ten sposób całkowicie wyeliminowana z dochodowego rynku baterii. Straty dla naszej gospodarki mogą być ogromne, jesteśmy bowiem drugim w świecie (po Chinach) producentem baterii litowo-jonowych, a wartość sektora baterii w Polsce – według danych z 2022 r. – przekracza 38 mld zł. Wszystko to wkrótce zostanie unicestwione, ponieważ rząd Tuska, zajęty nieustannymi bijatykami politycznymi w kraju, nie dostrzegł w porę zagrożenia i nie potrafił mu się skutecznie przeciwstawić.

Klęska w walce o sektor baterii to tylko jeden z wielu przykładów braku troski obecnego rządu o podstawowe interesy Polski. Skala niekompetencji ministrów Tuska i ich uległości wobec silniejszych partnerów z Unii są już tak duże, że zaczynają budzić poważne obawy o przyszłość naszego kraju.

GŁUPI WYBÓR

„Mnie nikt nie ogra w Unii. Nowa koalicja gwarantuje, że wrócimy na miejsce należne Polsce" – zapewniał Donald Tusk podczas grudniowego exposé w Sejmie. Niestety mnóstwo ludzi uwierzyło w te słowa. Podczas kampanii wyborczej Tusk przedstawiał się bowiem jako bywalec brukselskich salonów i doświadczony europejski gracz. Miała o tym świadczyć jego wcześniejsza kariera w Unii: był przecież szefem Rady Europejskiej oraz przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Mało kto dostrzegał, że obie funkcje Tusk zawdzięczał swoim niemieckim przyjaciołom i w istocie był posłusznym wykonawcą ich polityki. Dlaczego więc nagle, wracając na fotel polskiego szefa rządu, miałby się wybić na niezależność?

Przeciętni ludzie nie wchodzili jednak w takie niuanse i na tym polegał największy sukces Tuska, być może nawet decydujący o wynikach ostatnich wyborów. Otóż zdołał on przekonać opinię publiczną, że pomyślność i bezpieczeństwo Polski zależą od naprawy stosunków z Unią i jedynie on jest w stanie zagwarantować taką politykę. Według Tuska PiS miało być partią niepotrzebnie „skłócającą" nas z resztą Europy. „Każdy, kto naraża

Fot. Krystian Maj/KPR

eprasa.pl 3e36963038

dzisiaj Polskę na bycie obok, bycie poza, bycie sam na sam, naraża nie tylko fundamentalne interesy Rzeczypospolitej Polskiej, ale naraża na wielkie ryzyko byt naszej ojczyzny" – straszył podczas swojego exposé.

A więc zbyt asertywna, podmiotowa polityka PiS miała być w ocenie Tuska „zagrożeniem" dla bytu kraju. Oczywiście premier nie mówił o tym, że w zamian trzeba być uległym, przekonywał natomiast, że należy umiejętnie rozmawiać oraz negocjować. I on – mając dobre kontakty w Europie – potrafi to robić. Wystarczyło jednak pół roku, aby rzeczywistość brutalnie zweryfikowała te słowa.

Polska, która jeszcze rok temu ocierała się o grupę 20 najbogatszych i najszybciej rozwijających się państw świata, pod rządami Tuska staje się europejskim dziadem i popychadłem, potulnie przyjmującym kopniaki. Upadek pozycji naszego kraju następuje w zastraszającym tempie nawet dla największych pesymistów.

Chyba nie o to chodziło ludziom, którzy 15 października oddawali głos na partie obecnej koalicji. Skutki ich niefrasobliwości, a niekiedy także – co trzeba powiedzieć wprost – zawiści i zwykłej głupoty odczują jednak wszyscy.

MACHO WE WŁASNYM DOMU

„Polska jest i będzie silnym ogniwem NATO. Będzie stabilnym sojusznikiem USA. Polska odzyska pozycję lidera Unii przez szanowanie większej wspólnoty" – obiecywał Tusk w grudniu. Jego szacunek dla „większej wspólnoty" rzeczywiście jest bezgraniczny, bo bez mrugnięcia okiem przyjmuje od naszych „partnerów" kolejne policzki.

Szef rządu przypomina tu trochę zalęknionego ucznia, który jest bity i wyśmiewany przez swoich kolegów, a potem wylewa swoje frustracje na młodszym rodzeństwie. Tusk przecież podobnie jak wspomniany uczniak składa w Unii uszy po sobie, a w kraju rozstawia wszystkich po kątach i bije w opozycję. Tutaj zawsze jest bardzo silny i asertywny, szkoda jednak, że tej samej siły i pewności siebie brakuje mu w Berlinie czy Brukseli.

Ludzie głosowali na Tuska, bo obiecał im, że gdy tylko wróci do władzy, Unia natychmiast odblokuje wszystkie pieniądze dla Polski. I gdy wreszcie 23 lutego Ursula von der Leyen ogłosiła w Warszawie odblokowanie środków europejskich – łącznie 136 mld euro (KPO plus fundusze spójności) – to pojawił się kolejny problem. Otóż 60 mld euro z KPO musi zostać rozliczonych do końca sierpnia 2026 r., a to bardzo mało czasu. Zbyt mało, aby zrealizować większość zaplanowanych inwestycji. Wygląda więc na to, że obiecane pieniądze będziemy mogli jedynie powąchać. Bo już nie zdążymy ich wydać. Byłaby to katastrofa, za którą – co trzeba podkreślić – odpowiedzialność w dużym stopniu powinna ponieść obecna formacja rządząca. Bo to jej politycy przez dwa lata sprzeciwiali się wypłacie środków dla „pisowskiego reżimu" i w ten sposób przyczynili się do gigantycznego opóźnienia programu. Wydaje się jednak, że Unii wcale się nie śpieszy. Z punktu widzenia Brukseli byłoby zapewne najlepiej, aby Polska nie zdążyła z inwestycjami i otrzymała jak najmniej. Taką oto mistrzowską partię rozegrał Tusk ze swoją ekipą.

> Z wielkiej chmury pieniędzy, która miała zasypać Polskę pod rządami Tuska, nie zostanie nic. Zwykłym ludziom będzie się żyło coraz ciężej, bo państwowe oszczędności uderzą głównie w ich kieszenie

Co więcej, Komisja Europejska uruchomiła wobec Polski procedurę nadmiernego deficytu, co oznacza konieczność cięć budżetowych. A to oznacza, że z wielkiej chmury pieniędzy, która miała zasypać Polskę pod rządami Tuska, nie zostanie nic. Przeciwnie, zwykłym ludziom będzie się żyło coraz ciężej, bo oszczędności państwa uderzą głównie w ich kieszenie.

Czeka nas bowiem prawdopodobnie zamrożenie pensji w sferze budżetowej, likwidacja dodatkowych emerytur, być może 800+ oraz innych programów socjalnych. Spadną też wydatki na oświatę i służbę zdrowia. A wszystko to przy gwałtownie rosnących cenach energii oraz kosztach życia. Tę nagłą odmianę po ośmiu latach „pisowskiego reżimu" będziemy w dużym stopniu zawdzięczać „sprawnej taktyce negocjacyjnej" króla Europy i jego ministrów.

NIEWIDOCZNE ATUTY

Jeden z tych ministrów, stojący na czele resortu finansów Andrzej Domański, jeszcze w marcu zapewniał, że z budżetem wszystko jest w porządku. Dziś w panice zwala winę na poprzedni rząd, m.in. twierdząc, że winę za zły stan finansów ponoszą wydatki na obronność. Zapewnia jednocześnie, że „pozostaje w dialogu z Komisją Europejską". Lepiej sobie nie wyobrażać, jak wygląda ten „dialog".

Skoro jesteśmy przy obronności, to warto przypomnieć mityczną Tarczę Wschód, którą w maju zapowiadał Tusk. Chodzi o budowę nowoczesnego systemu obronnego wzdłuż granicy z Białorusią i Rosją, w którego skład mają wejść drobne fortyfikacje, nowoczesne systemy rozpoznawcze i antydronowe oraz sztuczne bagna i rozlewiska utrudniające przejście wrogich czołgów. Całość ma powstać do 2028 r. i kosztować 10 mld zł. Tusk chciał, aby w budowie Tarczy partycypowała Unia, a po szczycie unijnym w czerwcu ogłoszono nawet z triumfem, że Tarcza Wschód stała się „projektem europejskim". Mimo tych zapewnień, do tej pory nie ma żadnych wiążących zobowiązań Unii dotyczących finansowania Tarczy. Innego zdania jest oczywiście Donald Tusk i jego wiceminister obrony Cezary Tomczyk. Kto chce, niech im wierzy.

Obecnemu rządowi jest wyraźnie nie po drodze z bezpieczeństwem państwa. I nie chodzi tylko o Tarczę

eprasa.pl 3e36963038

Wschód oraz o zwłokę z zakupami uzbrojenia. W lipcu Biały Dom ogłosił, że w 2026 r.Stany Zjednoczone rozpoczną rozmieszczanie w Niemczech rakiet dalekiego zasięgu, w tym pocisków hipersonicznych, rakiet SM-6 i Tomahawk. Jak stwierdzono w amerykańskim komunikacie, ma to pokazać zaangażowanie Stanów Zjednoczonych na rzecz NATO i ich wkład w europejskie odstraszanie. Pojawia się pytanie, czy była szansa na rozmieszczenie tych rakiet w Polsce. Być może tak, ale widocznie Niemcom bardziej na nich zależało, więc nasi mistrzowie negocjacji nawet nie spróbowali zapytać. Przynajmniej nic nie wiemy o takich próbach.

Co ciekawe, dzieje się to warunkach, gdy władzę w Stanach Zjednoczonych sprawują ideologiczni sprzymierzeńcy Tuska i choćby z tego powodu obecnemu rządowi powinno być łatwiej negocjować z Białym Domem. Poza tym premier ma podobno bardzo wysokie notowania w Niemczech i całej Europie, jednak żaden z tych „atutów" nie zadziałał na korzyść Polski. Ani w sprawie rakiet, ani w żadnej innej.

CICHA RELOKACJA

Prawdziwą, a nie tę urojoną pozycję Tuska w Unii Europejskiej widać chyba najwyraźniej w kwestii paktu migracyjnego. „Jeśli chodzi o stanowisko polskiego rządu w Unii, to nie będzie naszej zgody, akceptacji dla żadnego przymusowego mechanizmu relokacji migrantów. Zapewniam, że Polska nie przyjmie nielegalnych migrantów w ramach żadnego takiego mechanizmu" – mówił Tusk w styczniu. Polacy mieli mu uwierzyć na słowo, w końcu to król Europy, który zna i przekona każdego w Unii, a jak będzie trzeba, to nawet zmusi do uznania swoich racji.

Minęło kilka miesięcy od tamtych buńczucznych wypowiedzi i nagle na ulicach polskich miast pojawili się egzotyczni przybysze. Niektórych podrzucała na naszą stronę – zapewne z uprzejmości – niemiecka policja. Snują się dzisiaj tu i tam, czasem zażyją kąpieli i toalety, widać, że nie mają co ze sobą począć. Na szczęście Parlament Europejski w swojej dyrektywie azylowej zadbał o standard życia naszych nowych współmieszkańców, określając zasady przyznawania świadczeń dla imigrantów. Jeśli Polska – co nie jest jeszcze ostatecznie przesądzone – je przyjmie, to imigrantom będzie się u nas żyło znacznie lepiej niż przeciętnym Polakom. Jednocześnie samorządy rozpoczęły poszukiwania domów i mieszkań, gdzie przybysze mogliby odpocząć.

> Skala niekompetencji ministrów Tuska i ich uległości wobec silniejszych partnerów z Unii są już tak duże, że zaczynają budzić poważne obawy o przyszłość naszego kraju

W ten sposób po cichu rozpoczęła się faktyczna relokacja imigrantów do Polski.

Tusk doskonale wie, że złamanie akurat tego przyrzeczenia może go politycznie drogo kosztować. Ale nawet w tej sprawie nie potrafił się postawić swoim „przyjaciołom" z Unii. Mówi się jedynie o konieczności „renegocjacji paktu migracyjnego", ale dotychczasowe osiągnięcia króla Europy każą nam wątpić w jakikolwiek sukces Polski. Mleko się rozlało, imigranci wjeżdżają.

NABICI W BUTELKĘ

Europejscy „przyjaciele" Tuska kiwają go, jak chcą, a on z kolei kiwa swoich wyborców. Zapewne wszyscy pamiętają protesty rolników przeciwko niekontrolowanemu napływowi ukraińskiego zboża. Te wystąpienia, których eskalacja nastąpiła w kluczowym momencie kampanii wyborczej, pozbawiły PiS sporej liczby cennych głosów na ścianie wschodniej i miały zapewne istotny wpływ na ostateczny wynik jesiennych wyborów.

Tusk obiecywał wtedy rolnikom, że załatwi problem. Niektórzy mu uwierzyli, bo przecież zna on Unię jak własną kieszeń, pogada z kim trzeba i Polska zostanie wyłączona z bezcłowego importu ukraińskiego zboża. Oczywiście nic takiego nie nastąpiło. Unia przedłużyła umowę o liberalizacji handlu z Ukrainą o kolejny rok, wróciły jedynie limity na kilka towarów, m.in. na jaja, cukier i owies. Limitów dotyczących zboża rządowi Tuska – cóż za zaskoczenie – nie udało się wywalczyć. Rząd nie wywiązał się również z innej obietnicy danej rolnikom – obniżenia podatku rolnego.

Przypomina to trochę losy kopalni Turów, o którą zacięcie walczył rząd Morawieckiego. Podczas wyborów okazało się jednak, że w Turowie i okolicach ludzie masowo głosowali na Platformę. Uznali bowiem, że ekipa Tuska, tak świetnie kooperująca z Unią, dogada się z Brukselą i Berlinem znacznie szybciej. „Kopalnia i elektrownia w Turowie będą pracowały tak długo, jak długo będzie węgiel w złożach. Chcecie bezpiecznego Turowa? Musicie nam pomóc pogonić tę władzę" – mówił Tusk podczas wiecu w Turowie w czerwcu 2023 r.

Tym razem rzeczywistość również okazała się zupełnie inna. W marcu br. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie po skargach niemieckich ekologów odrzucił decyzję środowiskową dla kopalni Turów, co w praktyce oznacza, że w 2026 r. musi ona zaprzestać działalności. Kasację do tego wyroku mogła złożyć Prokuratura Krajowa, ale tego nie zrobiła. Najwyraźniej Tusk nie nalegał.

Nie od dziś Tusk lekceważy swoich wyborców i łamie złożone im obietnice. Jak widać, może sobie na to pozwolić, bo ludzie i tak go wybierają. Wobec zagranicy jest zupełnie inny i bardzo łatwo daje się ogrywać. Czy chodzi tu wyłącznie o niekompetencję obecnej ekipy, czy może o złą wolę lub jakieś uwikłania? Nie znamy odpowiedzi na to pytanie, jasne jest jednak, że konsekwencje ostatnich wyborów będziemy ponosić przez długie lata. Szkoda, bo mogliśmy być dzisiaj w zupełnie innym miejscu.

eprasa.pl 3e36963038

Zlecenie na Giertycha

Donald Tusk musi się pozbyć Romana Giertycha ze swego najbliższego otoczenia, bo jest on przeszkodą w jego planach ubiegania się o fotel prezydenta Polski

STANISŁAW JANECKI

Okładka „Newsweeka" z Romanem Giertychem trzymającym najeżoną metalowymi kolcami maczugę i tytuł „Roman barbarzyńca" ma niewiele wspólnego z tekstem, który anonsuje. Artykuł Jacka Gądka „Roman się wściekł" jest bowiem laurką dla Giertycha. Utwierdza przekonanie o jego wyjątkowym statusie i bliskich więzach z Donaldem Tuskiem. A jednak Roman Giertych nie powinien spać spokojnie, mimo że sam zapewnia, iż ma „wielu przyjaciół w PO" i musi się „zastanowić, czy ma w Platformie jakichś nieprzyjaciół". Nie powinien czuć się bezpiecznie, bowiem Donald Tusk chce odpalić operację „Prezydent", o czym zresztą w tym samym wydaniu „Newsweeka" napisał Andrzej Stankiewicz.

Roman Giertych się oszukuje, gdy mówi, że czuje się bezpiecznie, pełniąc „funkcję poganiacza i recenzenta", choć „to musi rodzić napięcia". Nawet jego nieprzyjaciele w PO podziwiają go za to, jak „sprawnie wisi na »kierowniku«", który „ma do niego słabość". A z Radosławem Sikorskim „są teraz w polityce jak bracia". Nawet określenie „barbarzyńca" nie jest negatywne, bowiem to „postać w sumie pozytywna – tak jak bohater opowiadań i filmów z Arnoldem Schwarzeneggerem w tytułowej roli". Giertych nie powinien się też przywiązywać do tego, że „ma o Donaldzie i jego rodzinie wielką wiedzę jako o swoich wieloletnich klientach", co ponoć sprawia, że „premier inaczej zachowuje się wobec niego. Jest wyrozumiały".

Okładka „Newsweeka" z tytułowym „Romanem barbarzyńcą" (okładka działa znacznie silniej niż tekst w środku) jest początkiem czegoś, co Giertycha powinno przynajmniej zaniepokoić. Wiele wskazuje bowiem na to, że otwiera „zlecenie na Giertycha". Skoro Donald Tusk odpala operację „Prezydent", dla Romana Giertycha nie ma przy nim miejsca. Wręcz trywialna w polskiej polityce jest wiedza o tym, iż Donald Tusk potrafi pozbyć się każdego, w tym bliskich przyjaciół, gdy chce osiągnąć cele, w realizacji których mu przeszkadzają.

Jeśli Giertych w to nie wierzy, może zapytać Andrzeja Olechowskiego, Jana Rokitę czy Pawła Piskorskiego albo poczytać, co się z nimi stało. Jeśli istnieje „zlecenie", to nie ma od niego odwołania.

WARUNEK KOBIET

W Platformie Obywatelskiej tylko nieliczni wierzą w to, że nie ma „zlecenia" na Romana Giertycha i że nie wydał go sam premier Donald Tusk. Nie szkodzi, że wiele zawdzięcza Giertychowi, korzystał z jego usług prawniczych, przyjaźni się z nim, pomógł mu wrócić z niejako przymusowego pobytu we Włoszech, wykorzystał do wojny z Jaro-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3e36963038

sławem Kaczyńskim w okręgu świętokrzyskim, a po wyborach zatwierdził na czele specjalnego zespołu do ścigania „zbrodni" PiS.

Donaldowi Tuskowi wychodzi z badań, że w wyborach prezydenckich w maju 2025 r. Roman Giertych pociągnie go w dół. Że jest negatywnie oceniany przez ogromną większość kobiecego elektoratu PO, podobnie jak tych głosujących na Polskę 2050 i praktycznie 100 proc. kobiet wspierających Nową Lewicę. A to kobiecy elektorat ma zadecydować o wyniku wyborów. Tak więc Giertych jako zaufany Tuska byłby w wyborach ogromną przeszkodą. A operacja „Prezydent" w wydaniu Donalda Tuska to nie jest tylko wielokrotnie powtórzone przekonanie Marka Sawickiego, doświadczonego polityka Polskiego Stronnictwa Ludowego.

W tym samym wydaniu „Newsweeka" pojawił się felieton Andrzeja Stankiewicza „A gdyby pan Donald wystartował?", który Giertych powinien przeczytać ze znacznie większą uwagą niż laurkę o sobie, która jest też jednak ostrzeżeniem – poprzez okładkę, gdzie trzyma maczugę i ma całkiem diaboliczny wygląd. Stankiewicz napisał coś, co wielu, w tym Marek Sawicki, powtarza od dawna, a Roman Giertych zdaje się ignorować na własną szkodę: „Mimo publicznych deklaracji szef Platformy wcale nie zrezygnował z myślenia o prezydenturze". Sawickiego można lekceważyć, ale komunikatu płynącego z „Newsweeka" już nie, bo tam – mimo odejścia Tomasza Sekielskiego z funkcji naczelnego – przemycane są różne komunikaty ważne dla Donalda Tuska. By premier wystartował, „musi mieć absolutną gwarancję zwycięstwa. Przegrana z kandydatem PiS byłaby nie tylko upokorzeniem, ale uniemożliwiłaby zmiany w państwie obiecane przez Tuska – bo nowy prezydent z PiS byłby nawet ostrzejszy od Andrzeja Dudy w blokowaniu działań rządu". Tusk musi mieć pewność wejścia do drugiej tury. A Giertych obok niego zdecydowanie tę pewność obniża, a nawet unieważnia. Tym bardziej jeśli Tuskowi udałoby się namówić partnerów z koalicji 13 grudnia, żeby wystartował jako ich wspólny kandydat.

Tusk zaczął realizować operację „Prezydent", gdy zabrał się za rozmontowywanie zaplecza Rafała Trzaskowskiego. To on doprowadził do kandydowania, a potem wyjazdu do Parlamentu Europejskiego Marcina Kierwińskiego, który nie tylko wciąż sprawuje funkcję sekretarza generalnego partii, lecz także zawarł układ z Trzaskowskim, że zastąpiłby go na stanowisku prezydenta stolicy.

PREZYDENTURA JAKO AZYL

Tusk całkiem poważnie bierze pod uwagę utratę władzy przez koalicję 13 grudnia, nawet jeśli miałoby to nastąpić zgodnie z kalendarzem wyborczym, czyli dopiero w 2027 r. A wtedy funkcja prezydenta byłaby najważniejsza. Przy tym premier jest przekonany, że tylko on byłby w stanie prowadzić totalną wojnę z ewentualnym rządem PiS, który po odzyskaniu władzy byłby bardzo twardym przeciwnikiem. Z tego powodu uważa on, że musi wystartować w wyborach prezydenckich, wcześniej gwarantując sobie wejście do drugiej tury, a najlepiej startując jako wspólny kandydat koalicji 13 grudnia. Nie bez znaczenia jest też to, że o ile wcześniej, np. w 2020 r., Tusk bał się, że przegra, o tyle obecnie uważa, iż ma największe szanse na powetowanie sobie porażki z Lechem Kaczyńskim w 2005 r., a to dla niego potężny kompleks. No i tylko w pałacu prezydenckim byłby bezpieczny, gdyż zdaje sobie sprawę, że wszędzie indziej może być ścigany za to wszystko, co robił, łamiąc jako szef rządu konstytucję i ustawy, podejmując kompletnie bezprawne decyzje kadrowe. W operacji „Prezydent" nie ma miejsca dla Romana Giertycha.

Ten zresztą spełnił już swoje zadanie jako bulterier Tuska, choć bardzo połowicznie. Rzekomo największy atut Giertycha, mały świadek koronny Tomasz Mraz, który pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości, wcale nie okazał się tym, który rozwali PiS, a szczególnie Suwerenną Polskę. Następny tego typu świadek okazał się jeszcze mniej znaczący. A ogólnie zespół Giertycha do ścigania „zbrodni" PiS okazał się wyrzutnią kapiszonów, a nie rakiet. Mając usłużnego i dyspozycyjnego Adama Bodnara jako prokuratora generalnego, Tusk nie potrzebuje już Giertycha. Wiadomo przecież, że dochodziło do tego, że Bodnar skarżył się premierowi, iż Giertych nie tylko mu przeszkadza, lecz wręcz utrudnia działanie jego prokuratorów. Tusk wybrał więc Bodnara, a Giertych stał się mało użyteczny, nawet realizując zadanie zniszczenia PiS.

Sam Donald Tusk nie może wprost powiedzieć, że już dziękuje swemu przyjacielowi i powiernikowi Romanowi (ten jednak wie o nim dużo i jest znany z odgryzania się). W tej sytuacji najlepszym sposobem pozbycia się Giertycha jako ogromnej przeszkody w planach prezydenckich jest napuszczenie na niego zaprzyjaźnionych mediów (okładka „Newsweeka" to dopiero początek). Finał ma być taki, że Giertych musi pójść w odstawkę, bo najważniejsze jest wygranie wyborów prezydenckich. I sam powinien to zrozumieć. A gdyby nie chciał, Adam Bodnar poleci, by zintensyfikowano wciąż toczące się postępowanie w sprawie 92 mln zł z Polnordu, które może uderzyć w Giertycha.

Poza tym Tusk wie, że Giertych to chodząca bomba; w każdej chwili może wywinąć jakiś numer, i to większego kalibru niż w głosowaniu nad depenalizacją aborcji. Premier będzie miał argument, że Giertych musi odejść, skoro przez niego zradykalizowały się kobiety zajmujące stanowiska w jego rządzie oraz posłanki z Nowej Lewicy, a także z jego własnej Platformy. A w perspektywie wyborów prezydenckich wszelka radykalizacja jest niepożądana.

Usłużne wobec premiera media w każdej chwili mogą udowodnić, że Tusk ma na Giertycha dostatecznie dużo haków (nawet więcej niż w przeszłości na Pawła Piskorskiego), by go zmarginalizować i zneutralizować. Tusk przekonał się też już, że Giertych, który poczuje swoją siłę, staje się niebezpieczny przede wszystkim dla sojuszników i przyjaciół, czego przecież w 2007 r. doświadczyło PiS, a z czego Tusk wyciąga wnioski. Dlatego uznał, że dziewięć miesięcy przed wyborami prezydenckimi Giertycha trzeba zacząć wypychać i marginalizować. Żeby wyborcy mieli dość czasu, by zapomnieć o nim jako współpracowniku, powierniku i przyjacielu obecnego premiera.

eprasa.pl 3e36963038

MEN na wojnie religijnej

„Szkoła jest od kształcenia, a nie od formacji religijnej" – przekonywała kilka tygodni temu szefowa MEN Barbara Nowacka. Swoją niechęć do Kościoła i edukacji religijnej pani minister krok po kroku przekuwa w obowiązujące prawo

DOROTA ŁOSIEWICZ

W Dzienniku Ustaw opublikowano rozporządzenie w sprawie zmian związanych z nauczaniem religii w szkołach. Wejdzie ono w życie 1 września 2024 r., a dotyczy warunków oraz sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach. Zdaniem Ministerstwa Edukacji Narodowej zmiana przepisów ma wynikać z potrzeby umożliwienia bardziej elastycznego organizowania nauki religii w szkole lub przedszkolu, gdy liczba zgłoszonych uczniów w poszczególnych oddziałach lub klasach w szkole lub dzieci w przedszkolu jest niewielka.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

Co zapisano w rozporządzeniu? Lekcje religii nie będą zorganizowane w klasach, w których chce na nie chodzić mniej niż siedmioro uczniów. Dla chętnych powstaną grupy międzyoddziałowe lub międzyklasowe. Według MEN chodzi o to, by poszerzyć możliwość organizacji nauki religii i etyki w grupach złożonych także z wychowanków lub uczniów, którzy do tej pory nie byli łączeni na tych zajęciach z wychowankami lub uczniami z innych oddziałów lub klas. Oznacza to, że dyrektor szkoły (przedszkola) będzie mógł połączyć w taką grupę dzieci z oddziałów lub klas, w których na naukę religii zgłosiło się siedmioro lub więcej uczniów z osobami z oddziałów lub klas, w których na naukę religii zgłosiło się mniej niż siedmioro dzieci. Rozporządzenie wprowadza zasadę, zgodnie z którą dzieci ze szkoły podstawowej można połączyć w grupę obejmującą uczniów klas I–III albo klas IV–VI lub klas VII i VIII.

W czerwcu na łamach tygodnika „Sieci" Piotr Janowicz, przewodniczący Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, które organizowało protesty przeciw zapowiadanym zmianom, tak mówił o tym rozwiązaniu: „To zaskakujący pomysł, bowiem ignoruje całkowicie poziom rozwoju emocjonalnego i intelektualnego uczniów oraz ich realne potrzeby w tym zakresie, a także zdobytą przez nich do tej pory wiedzę. Uczniowie połączeni w takie przypadkowe grupy zostaną pozbawieni równych szans edukacyjnych. Takie rozwiązanie spowoduje dyskomfort u uczniów młodszych, którzy będą czuli, że odstają od starszej części grupy, z kolei starsi uczniowie nie będą chcieli dopasowywać się do poziomu wiedzy i potrzeb młodszych uczniów. Za sprawą tego rozwiązania może dojść także do sytuacji, w której uczniowie będą zmuszeni do pozostawania na tym samym poziomie wiedzy przez kilka lat, bez szansy na poznawanie materiału dostosowanego do ich wieku, rozwoju potrzeb i oczekiwań. Prowadzenie lekcji w grupach wiekowo od siebie odległych zakłada, że nauczanie w ogóle nie powinno być dostosowane do wieku uczniów i do ich potrzeb rozwojowych".

Swoimi wątpliwościami podzielił się ze mną także ks. dr Bogusław Wolański, proboszcz bazyliki mniejszej w Bolesławcu. – Te przepisy wynikają z niezrozumienia ze strony rządowej, że lekcja religii w szkole nie polega na ciągłym powtarzaniu „Ojcze nasz" czy „Wierzę w Boga".

Fot. Elżbieta Krzysztof/Shutterstock.com

eprasa.pl 3e36963038

To nie jest powtarzanie zasobu wiedzy, który dla wszystkich jest jednakowy. Inaczej pewne treści odbiera dziecko, które jest w czwartej klasie, a inaczej dziecko w ósmej klasie. Przyznam szczerze, że nie wyobrażam sobie tego łączenia klas. Ten pomysł musi wynikać z niezrozumienia zakresu tematów i zasobu wiedzy, które są przekazywane na lekcjach religii. Pewnie wynika też z braku dialogu między stroną rządową i kościelną, może też ze złośliwości. Czy moglibyśmy połączyć na lekcji matematyki uczniów klasy IV i VI? Oczywiście, że nie. To dlaczego próbuje się to zrobić w przypadku religii? Mogę mieć tylko nadzieję, że będzie tyle chętnych dzieci do nauczania religii, że nie będzie konieczności łączenia tak różnych grup wiekowych – mówi ks. Wolański.

Nowe przepisy określają również maksymalną liczbę osób, które mogą uczestniczyć w zajęciach. Dla dzieci w przedszkolach i dla uczniów klas I–III szkół podstawowych wynosi ona 25, dla pozostałych uczniów we wszystkich typach szkół – 28.

KEP ZABIERA GŁOS

Przeciw zmianom protestowało m.in. Stowarzyszenie Katechetów Świeckich. Teraz głos zabrała Komisja Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski, która sprzeciwia się rozporządzeniu MEN w sprawie zmiany organizowania nauki religii w szkole. „Bardzo smuci fakt, że zmiany zostały wprowadzone bez wymaganego przez prawo porozumienia ze stroną kościelną – podkreślono w oświadczeniu. – Komisja Wychowania Katolickiego KEP wyraża sprzeciw wobec ogłoszenia Rozporządzenia Ministra Edukacji z dnia 26 lipca 2024 r. zmieniającego rozporządzenie w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii. Proponowane zmiany dotyczące łączenia klas są krzywdzące czy wręcz dyskryminujące. Naruszają one prawo oświatowe i zasady pedagogiczne. Wprowadzają poważne problemy w zakresie realizacji programu lekcji religii. Bardzo smuci fakt, że zmiany zostały wprowadzone bez wymaganego przez prawo porozumienia ze stroną kościelną. Ministerstwo Edukacji Narodowej nie uwzględniło opinii i postulatów przedstawianych w spotkaniach przez Kościoły i związki wyznaniowe – dodano. – Komisja Wychowania Katolickiego wciąż przypomina, że nauczanie religii katolickiej i innych wyznań wspiera wychowawczą rolę szkoły. Stanowi integralną część wychowania człowieka, służy jego rozwojowi moralnemu i społecznemu, ma duże znaczenie dla poznawania własnej historii i kultury. Zachęcamy wszystkich wiernych, aby na różne sposoby podejmować działania ukazujące tę wielką wartość lekcji religii w szkole. Szczególnie prosimy katolickich rodziców, aby odważnie zabierali głos w tej sprawie. Dziękujemy mediom katolickim, ruchom i wspólnotom religijnym za podejmowanie działań w obronie lekcji religii. Prosimy wszystkich o włączenie się w akcję na rzecz obrony lekcji religii w szkole »TAK dla religii w szkole« podjętą przez cztery tygodniki katolickie: »Niedzielę«, »Gościa Niedzielnego«, »Idziemy« i »Przewodnik Katolicki«" – zachęcono w oświadczeniu.

> Lekcje religii nie będą zorganizowane w klasach, w których chce na nie chodzić mniej niż siedmioro uczniów. Dla chętnych powstaną grupy międzyoddziałowe lub międzyklasowe

NIE KONIEC ZMIAN

Przy okazji publikacji rozporządzenia w Dzienniku Ustaw Nowacka zapowiedziała, że od 1 września 2025 r. będzie tylko jedna lekcja religii w szkołach. Były minister edukacji prof. Przemysław Czarnek jest przekonany, że będzie to strata dla młodych ludzi. „Religia, jako przedmiot w szkole, to jest przede wszystkim wychowanie do wartości, czyli do odróżniania dobra od zła, tego, co jest moralne, a co jest niemoralne, co jest humanitarne, a co jest niehumanitarne. Nie sztuka posiadać wiedzę na temat matematyki, nawet największą, nie sztuka posiadać wiedzę na temat historii, nawet największą. Trzeba jeszcze mądrze tę wiedzę wykorzystywać, a żeby tak było, trzeba opierać swoje działania na wartościach, czyli na dobrych działaniach. Jeśli ograniczamy lekcje religii, to ograniczamy możliwość wychowania młodzieży do wartości, do rozróżniania dobra od zła, a tym samym wrzucamy młodzież w morze relatywizmu, który prowadzi do upadków i do nieszczęść" – mówił polityk PiS na antenie telewizji wPolsce.pl.

„Łączenie dzieci z różnych grup wiekowych po to, by odfajkować realizację zajęć z religii i etyki, to fatalny błąd. Brak ocen z tych przedmiotów na świadectwie oraz towarzystwo starszych lub młodszych kolegów z innych klas będzie skutkować masowym wypisywaniem się uczniów z tych lekcji" – uważa Elżbieta Lachman, redaktor naczelna portalu Polskie Forum Rodzicow. „To oznacza, że wielu młodych ludzi nawet tzw. przypadkiem nie usłyszy, co to jest kodeks moralny, po co człowiekowi wartości w życiu. Czy ktoś zainspiruje ich do poszukiwania odpowiedzi na pytanie, dlaczego i jak zbudowano Europę na fundamentach greckiej filozofii, rzymskiego prawa i chrześcijaństwa? – pyta Lachman. – Nie dowiedzą się, jak ważne jest to dziedzictwo dla naszej wspólnej przyszłości. Nie spotkają na swojej drodze kilku autorytetów – wartościowych katechetów i nauczycieli etyki, którzy mogliby pokazać im, że każde życie ma wielki sens. Takie dyskusje zapobiegają przecież wielu kryzysom i ryzykownym zachowaniom, np. uzależnieniom od narkotyków, dopalaczy, alkoholu, samookaleczeniom, próbom samobójczym. Proponuję, żeby pilnie zaplanować większe budżety dla psychiatrów, psychologów, pedagogów szkolnych. Już dziś ich przepełnione gabinety, z terminami na »świętego nigdy«, będą jeszcze bardziej oblegane. Bez dyskusji z młodym pokoleniem na temat wartości, dekalogu i sensu życia będzie tylko gorzej. Nie idź tą drogą polski rządzie!" – apeluje Elżbieta Lachman.

Ale rząd już obrał tę drogę i nie zamierza z niej zawrócić.

eprasa.pl 3e36963038

Jerzy Owsiak skrytykował „osiem gwiazdek". Zaskoczenie jest powszechne, bo nie należy on do czempionów łagodzenia konfliktu politycznego rozdzierającego Polskę. Wręcz przeciwnie, podsycał tę wojnę agresywnymi wypowiedziami i działaniami. Co się stało? Nagła przemiana, nowy trend w polityce czy po prostu jednorazowa, odruchowa wypowiedź?

Nie wszystko, co chceta

PIOTR GURSZTYN

Wypowiedź Owsiaka ma swój kontekst. Była związana z jednym z koncertów tegorocznej edycji festiwalu organizowanego przez fundację WOŚP. Wykonaniu jednej z piosenek miało towarzyszyć przekazywanie sobie przez publiczność wielkiej biało-czerwonej flagi.

„»Sektorówka« zostanie rozciągnięta na koncercie zespołu T-Love, na absolutnie dla mnie symbolicznym numerze »Nie, nie, nie«. Przepiękny numer, którym się często dzielę, kiedy widzę obok niepokojące historie. Kiedy obok widzę głupotę, faszyzm, ludzi z – no już nie powiem, a może i powiem – z obszaru »ośmiu gwiazdek«. Po prostu wtedy czuję w sercu niepokój, żeby znowu czegoś nie zepsuć, żeby nie być znowu nienawistnym do innych ludzi. Ten utwór każe nam pomyśleć, żeby powstrzymać się z jakimkolwiek hejtem, jakąkolwiek przemocą. I nie tłumaczyć sobie, że przemoc jest dobra na przemoc" – powiedział Owsiak. Chlapnął bezmyślnie, obrażając swych licznych wielbicieli?

Treść wypowiedzi świadczy o tym, że miał chwilę zawahania, czy to powiedzieć, ale zdecydował, że skrytykuje

eprasa.pl 3e36963038

Fot. Andrzej Wiktor

„ludzi z obszaru »ośmiu gwiazdek«", zrównując ich z głupotą i faszyzmem. A charakter tych słów, swego rodzaju apel, na pewno nie mógł być kierowany do „faszystów", lecz do tych, o których Owsiak wie, że go słuchają.

Po najbardziej zajadłej antypisowskiej stronie zapadło milczenie. Z nielicznymi, choć bardzo wulgarnymi wyjątkami, jak to bywa w tamtym środowisku. „Zamiast na Owsiaka daj na zwierzaka! Od dziś promuję takie hasło. Z dedykacją dla Jurka, który ruch »ośmiu gwiazd« porównał z faszyzmem" – tak zaczynał się internetowy wpis jednej z zawiedzionych zwolenniczek brutalnego rozliczenia PiS. Cytujemy tu tylko cenzuralną część wpisu, bo w jego dalszej części autorka zamieściła wulgarne życzenie homoseksualnego gwałtu, który miałby za karę spotkać Owsiaka. Nazwała go przy tym pajacem i zapowiedziała: „Ode mnie już kasy nie dostaniesz".

Takich głosów jest jednak mało. Po stronie miłośników „ośmiu gwiazd" i Silnych Razem prezes fundacji Złoty Melon nadal ma immunitet. Niewątpliwie zdobyty intensywnym i systematycznym atakowaniem prawicy w jej wszelkich postaciach. Niekiedy przeplecionym narzekaniem na wszechobecny w Polsce język nienawiści, ale to można uznać za z jednej strony kaprysy nastroju medialnej gwiazdy, a z drugiej przejaw zwykłej hipokryzji.

BEZ UMIARU

Nastroje Jerzego Owsiaka odnośnie do języka nienawiści można ułożyć w specyficzne kalendarium. Ukaże ono proporcje między atakowaniem a apelowaniem o wstrzemięźliwość, przy czym to drugie należy uznać nie za przejaw refleksji, ale momenty gwiazdorskiej kapryśności. Łatwiej bowiem zliczyć jego liczne ataki na prawicę niż apele o umiar, ale rzeczywiście co jakiś czas robiło się głośno, gdy Owsiak publicznie prosił o eliminowanie agresji z życia publicznego. Np. w styczniu 2019 r. apelował do polityków, aby nie stosowali mowy nienawiści, a wręcz jej aktywnie przeciwdziałali: „Bądźmy wszyscy, bez względu na przynależność polityczną, przeciwko językowi pogardy, językowi nienawiści".

Gdy jednak po liberalno-lewicowej stronie furorę robił wulgarny bluzg „wyp...ać", Owsiak nie okazał się nonkonformistą. Bezwarunkowo stanął po stronie wulgarnego wrzasku i atakował tych, którzy mieli wątpliwości. Jego oburzenie obudziła krytyczna ocena prof. Jerzego Bralczyka i to mimo jej bardzo umiarkowanego charakteru. Sprawa dotyczyła masowego wykrzykiwania „wyp...ać" w czasie publicznych wystąpień przeciw orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. W jednym z wywiadów profesor stwierdził, że wulgaryzm bardziej szkodzi, niż pomaga manifestantom. Owsiak zareagował z oburzeniem: „Słowo hasło WYP...AĆ jest jedynym dzisiaj zrozumiałym poleceniem wobec ludzi, którzy zdemontowali Polskę i fundamenty państwa! Gdzie pan był, panie profesorze, kiedy posłanka PiS Joanna Lichocka pokazała fucka w Sejmie? Gdzie pan był, kiedy sędzia Trybunału Konstytucyjnego Krystyna Pawłowicz wyzywała i lżyła prof. Bartoszewskiego czy pana Stanisławskiego?".

Podtrzymywał to w kolejnych wypowiedziach: „Ja za użycie wulgarnego słowa musiałem zapłacić kiedyś 120 zł, później już troszkę więcej, bo 140 zł. Aż wreszcie któryś z sędziów napisał w sentencji wyroku uniewinniającego mnie, że te słowa są powszechnie używane i także tworzą kulturę związaną z kinem, teatrem, literaturą. To byłoby wręcz niewyobrażalne, gdybyśmy mieli egzekwować taką suchą literę prawa i nie mogli użyć słowa »wyp...ać«".

Latem następnego roku na organizowanym przez WOŚP festiwalu jednym z najczęściej widzianych tam symboli graficznych było osiem gwiazdek. Podczas ważnego koncertu kilku muzyków nawoływało ze sceny: „Je...ć PiS!". Zachęcali tłum do wspólnego skandowania tego bluzgu. O wydarzeniu zrobiło się głośno, więc pojawiła się też krytyka pod adresem Owsiaka. Oczywiście tylko z prawej strony. Owsiak jej nie przyjął, ale oburzył się na to, że dzwonił do niego wojewoda zachodniopomorski z pytaniami o incydent. Urzędnik, a był nim wtedy obecny poseł PiS Zbigniew Bogucki, miał pytać o to, dlaczego organizatorzy nie reagowali na publicznie wykrzykiwane wulgaryzmów. I to oburzyło Owsiaka, a nie wulgaryzmy: „Panie wojewodo, nie będzie pan tworzył tego festiwalu swoimi opcjami religijnymi czy politycznymi. To my, WOŚP, ten festiwal tworzymy. Nie pan będzie mówił, o czym mają śpiewać artyści i co będzie krzyczeć publiczność" – grzmiał.

Kulminacją motywowanej politycznie agresji było u Owsiaka jego zachowanie w czasie ostatniej kampanii wyborczej do Sejmu. To wtedy Polska została zalana billboardami WOŚP z jaskrawym hasłem „Polacy! Pokonajmy to zło! Wygramy". I dopiero w tle można było dojrzeć niewyraźny dopisek mniejszą czcionką: „Z sepsą!". Szef WOŚP oficjalnie zaprzeczał, by była tam zawarta polityczna intencja. Ale tuż przed wyborami wystąpił na wiecu Koalicji Obywatelskiej, gdzie niemal jawnie dał do zrozumienia, o co chodzi z tym hasłem. Przemawiając do sympatyków KO, wzywał, aby „stworzyć kraj, bardzo kolorowy, różnorodny [...], aby nie truć Odry, aby dbać o przyrodę, aby żyć w zdrowym, pięknym kraju. I żeby wygrać z sepsą". Po ostatnich słowach nie mógł powstrzymać się od śmiechu, rozbawiony własnym dowcipem i puszczeniem oka do publiki. Tłum z miejsca zrozumiał, o co mu chodzi, bo odpowiedział głośnym aplauzem.

eprasa.pl 3e36963038

W styczniu br., już za nowej władzy, Owsiak znów zmienił ton. Przed kolejną edycją zbiórki zwrócił się do wyborców PiS, aby ją wsparli. „Spróbujcie się przekonać. Do społeczności PiS" – pod takim tytułem zamieścił post w mediach społecznościowych. „Zapraszam także Was, sympatyków Prawa i Sprawiedliwości, abyśmy wszyscy mogli unieść się nad tymi swarami, kłótniami i wszelkiego rodzaju sprzeczkami" – apelował. Czy przekonał?

Sądząc po internetowych odpowiedziach, raczej nie trafił do nikogo nowego. Nie było wpisów świadczących o tym, że ktoś wcześniej nie wpłacał, ale od tego momentu zacznie to robić. Wręcz przeciwnie – charakterystyczne były riposty, że to Owsiak stworzył problem swoim zaangażowaniem politycznym, a nie wyborcy prawicy. „To Ty nie raz miałeś problem do sympatyków PiS-u i publicznie się z tym afiszowałeś. Zacznij człowieku od siebie i odczep się od wyborców PiS-u, bo ja jestem jednym z nich, a WOŚP wspieram regularnie i dla mnie w przeciwieństwie do Ciebie opcja polityczna nie ma znaczenia" – odpisał jeden z internautów. A kolejny dodał: „To prawda, że z prawej strony wylało się na Pan sporo hejtu, ale Pan także nie jest tutaj bez winy. Notorycznie opowiada się Pan po jednej stronie sporu politycznego, wypowiedział Pan wiele niestosownych słów pod adresem przeciwników, ale co najbardziej toksyczne – Jerzy Owsiak nie znosi krytyki pod swoim adresem".

Jeśli jednak Owsiak przekonał wtedy kogoś z wyborców PiS, to ta osoba mogła być bardzo rozczarowana. Krótko po apelu o jedność tygodnik „Polityka" licytował na rzecz WOŚP charakterystyczny przedmiot: serduszko z ośmioma gwiazdami. A opis pod licytacją był jawną drwiną: „Przedmiotem licytacji jest rysunek, który dzieli Polaków".

Tak więc zestawienie ataków i apeli o umiar zdecydowanie wskazuje na to, że ostatnie słowa Owsiaka to incydent, a nie zmiana nastawienia. Można tylko zgadywać, dlaczego naraził się najbardziej zajadłym fanatykom politycznym, którzy przecież zawsze mocno go wspierali.

PRZEKŁADANIE WAJCHY?

Od razu pojawiły się „systemowe" teorie, że to objaw przekładania wajchy, bo agresywni i wulgarni zwolennicy KO stają się dla niej obciążeniem, gdy jest ona u władzy. Ale chodzi o coś innego. Liberalno-lewicowa strona polskiej opinii publicznej nie jest bytem jednolitym. Są tam podziały, wewnętrzne konflikty, nierównomierne natężenie „antypisizmu". Oczywiście jakąś rolę mógł odegrać czysty przypadek, kaprys gwiazdora, jakim jest Owsiak. Może któryś szczególnie agresywny „silniczek" czymś go uraził. W takim przypadku jego krytyka będzie incydentem, o którym wszyscy szybko zapomną. Ale jeżeli to pierwsze? Zmęczenie liberalnego mainstreamu wybrykami własnych hunwejbinów?

To oczywiście jest możliwe. W dziejach wiele razy ruchy polityczne ostro cięły swoje skrajne skrzydła. Tyle że decyzję o przełożeniu wajchy może podjąć tylko jedna osoba, czyli Donald Tusk. A nie widać, aby złagodniał czy odciął się od Silnych Razem. Wręcz przeciwnie – gdy miał kłopot związany z sejmową niesubordynacją Romana Giertycha, to go skarcił tylko symbolicznie. Czyli tak naprawdę wzmocnił, a to Giertych jest jednocześnie guru i menedżerem nienawistników spod znaku Silnych Razem.

TACY LUDZIE

Niemniej stają się oni kłopotem dla wielu ludzi z tamtej strony barykady. Ich fanatyzm jest tak skrajny, że częściej szukają zdrajców we własnych szeregach, niż walczą z prawicą. Tropiony przez nich „symetrysta" Grzegorz Sroczyński już dawno temu ujawnił, że Silni Razem systematycznie piszą petycje o wyrzucenie z pracy takich „pisiorów", którymi według nich są dziennikarka „Gazety Wyborczej" Dominika Wielowieyska czy gwiazdy TVN Andrzej Morozowski i Monika Olejnik. „W tej optyce nawet Monika Olejnik to »kretynka«, która wysługuje się PiS-owi. Rozumiecie to? Olejnik – która nienawidzi PiS-u całą sobą łącznie z butami – jest przez sektę wyklinana, ponieważ jak przychodzą do niej Platformersi, to też ich magluje, bo po prostu jest dziennikarką z krwi i kości, a nie funkcjonariuszką PO, jak chcieliby Silni Razem" – pisał Sroczyński, nazywając ich „toksyczną sektą".

Na narzekaniach się jednak skończyło. Ofiarą ośmiogwiazdkowych hejterów byli też tacy dziennikarze, jak Marcin Meller, Szymon Jadczak, Patryk Słowik, absolutnie odlegli od prawicy, a często nawet jednoznacznie wrodzy wobec niej. Wszyscy oni mieli zasadne powody do niepokoju, bo spotkali się z nasiloną agresją i wulgarnością. Niektóre groźby brzmiały całkiem realistycznie.

Giertych od dawna zapowiadał, że ludzie tacy jak Sroczyński powinni być usunięci z zawodu dziennikarza. „Powinien zniknąć na zawsze z polskiej przestrzeni publicznej. I pewnie po wyborach tak będzie" – mówił o Sroczyńskim. Tak się jeszcze nie stało, ale nie znaczy, że były to tylko słowa rzucone na wiatr. Jako jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Tuska Giertych ma wielkie możliwości, aby spełnić swoje groźby.

Owsiak nigdy nie był w gronie „symetrystów". Nie był atakowany przez liberalnych hunwejbinów. Ale względy środowiskowe, czy nawet tylko towarzyskie, mogą wywoływać głosy krytyczne wobec własnych, najbardziej fanatycznych, a przez to agresywnych sojuszników. Aż tyle i tylko tyle.

Fot. Fratria

eprasa.pl 3e36963038

Jesteśmy zniewoleni bardziej, niż nam się wydaje

Boję się, że przyzwyczailiśmy się do zwykłego przetrwania. Niestety przychodzi taki czas, że w młodych ludziach powstaje jakiś inny rodzaj odreagowania na brak poczucia wolności. Duch Solidarności na pewno nie wróci w takiej samej formie jak wcześniej, ale w jakiejś innej tak. Walka o wolność nie skończyła się i na pewno wróci

Z Jerzym Kaliną, plastykiem, twórcą instalacji i scenografem, rozmawia Goran Andrijanić

W Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie do 29 września można zobaczyć pańską wystawę „Rozpętać sztukę". Jest to rodzaj prezentacji retrospektywnej, która próbuje zebrać pańską dotychczasową twórczość. Jaki był pomysł na nią?

Jerzy Kalina: Propozycja organizacji wystawy retrospektywnej wyszła z gabinetu ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego, a szczególnie od podsekretarz stanu Wandy Zwinogrodzkiej. Dostałem pytanie, czy po tych wszystkich latach działań artystycznych interesuje mnie pozostawienie trwalszego śladu w postaci wydawnictwa oraz wystawy. Oczywiście zgodziłem się, choć dla mnie jako artysty wystawy nigdy nie były najważniejsze. Moim celem były realizacje, które są tworzone w życiu i z niego wynikają. Kiedy skończyłem studia, powiedziałem, że nigdy nie będę korzystał z peerelowskiej pomocy Ministerstwa Kultury. Nigdy o nią nie występowałem i faktycznie nigdy takiej nie dostałem. Tymczasem stało się tak, że po raz pierwszy polski

Fot. Ludmyla Kazakova

eprasa.pl 3e36963038

minister kultury chciał w znaczący sposób pomóc mojej sztuce.

Jako miejsce wybrałem Zamek Ujazdowski, bo jest to galeria, która odzwierciedla aktualną sytuację w sztuce. Budynek zamku sam w sobie ma przeznaczenie ostatecznej instancji, która broni tego, co jest najistotniejsze w każdym narodzie. Pomyślałem sobie, że taka wystawa ma się odbyć na zamku.

Gdy przyznano mi fundusze i miejsce, zacząłem przygotowania. Przystąpiłem wtedy do badania całej dokumentacji związanej z moją nawigacją sztuki. Było to wielkie przedsięwzięcie, bo dotyczyło mojej aktywności od 1971 r. do dziś. Bez przerwy pogrążam się w dokumentacji, czego bardzo nie lubię. Chciałem zaprezentować wszystkie dziedziny, które miałem okazję poznać przez swoją twórczość. Oczywiście to akcje, instalacje, a także film animowany i dokumentalny o sztuce, teatr autorski i teatr w postaci realizacji scenografii dla bardzo wielu reżyserów w Polsce.

W pewnym momencie dyskutowaliśmy o tym, jaką przestrzeń powinna zajmować wystawa. W efekcie dostałem całe pierwsze piętro bez jednej sali, w której rutynowo odbywają się workshopy, bez względu na to, jaka jest główna ekspozycja.

Wiemy, że pańska wystawa skończyła ostatecznie w innej formie, niż zaplanowano. Co się stało?

Stały się wybory i nagle się okazało, że nie ma już ministerstwa w tym składzie, które podejmowało decyzję o współpracy ze mną. Stało się odstąpienie od planów, a nowy minister Bartłomiej Sienkiewicz, ten sam, który obecnie zajmuje się sprawami kultury w Brukseli, mocno okroił budżet na wystawę i wydawnictwo z ok. 200 tys. zł na 50 tys. zł. Krótko mówiąc, nie chcieli mi zakazać wystawy, ale ją po prostu zmarginalizowali i zdegradowali.

W tym momencie zdecydowałem, że po czterech latach przygotowań musi się ona odbyć. Zrezygnowałem ze swojego honorarium, a pieniądze przeznaczyłem na realizację wystawy. Z mojej propozycji nie skorzystano. Zdecydowałem się zaprezentować nową koncepcję, według której pokażę same rysunki i dokumentację.

Zaproponowałem również, aby główna instalacja poświęcona Katyniowi została zaprezentowana w całym korytarzu.

Czy ministerstwo w jakiś sposób wyjaśniło tak duże cięcie w budżecie wystawy?

Nie. Tak samo jak kiedyś nie wyjaśniali mi, dlaczego wstrzymywane są moje zaproszenia na wystawy. W 1973 r. dostałem zaproszenie na udział w Biennale Młodych w Paryżu. Miała być tam pokazana moja akcja rytualna „Wieczerza Wigilijna", którą potraktowałem jako spotkanie z ludźmi, którzy nie mają gdzie pójść w ten wigilijny wieczór. Miałbym wtedy, w 1973 r., dwa lata po otrzymaniu dyplomu, możliwość pokazania się za granicą. Ale mój wyjazd został zablokowany przez funkcjonariuszy sztuki Ministerstwa Kultury.

Nowy minister Bartłomiej Sienkiewicz, ten sam, który obecnie zajmuje się sprawami kultury w Brukseli, mocno okroił budżet na wystawę i wydawnictwo z ok. 200 tys. zł na 50 tys. zł Krótko mówiąc, nie chcieli mi zakazać wystawy, ale ją po prostu zmarginalizowali i zdegradowali

Wracamy do przeszłości, bo dzisiaj tak samo jak wtedy blokują i marginalizują pańską sztukę. O co tutaj chodzi?

O to, że jestem twórcą, który demaskuje aktualną sytuację w kontekście historycznym i przewiduje pewne zagrożenia, które grożą nam w tej chwili bądź w nadchodzącym czasie. Takie ingerencje twórcze realizowałem od mojego dyplomu, który otrzymałem w ASP w Warszawie. Moje pierwsze wyjście w przestrzenie publiczne nastąpiło w samym centrum Warszawy na pl. Zwycięstwa. Była to akcja „Skrępowanie" z 1971 r. Moi koledzy związali mnie linami w ogródku kawiarni hotelu Europejskiego, a potem związanego przenieśli i pozostawili na placu w pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza.

Większość moich akcji wpisywała się w pejzaż miasta lub w otaczającą naturę i odbywała się w kontekście współczesnym oraz historycznym. To, co robię, dokonuje się w przestrzeni społecznej, a to był przede wszystkim protest przeciwko systemowi totalitarnemu, który dokonał ingerencji w świat wolności człowieka znajdującego się na styku sztuki i życia. W komunizmie były represjonowane wystawy, ale istnieli też zwyczajni donosiciele wśród artystów i krytyków. Funkcjonariusze, którzy współpracowali z reżimem i których nazwiska można sprawdzić w dokumentach IPN.

Czy to wszystko znaczy, że dziś znowu mamy do czynienia z państwem totalitarnym?

Uważam, że jest w nas, Polakach, coś takiego, co ks. Józef Tischner zdefiniował jako *homo sovieticus*. Kraje europejskie, które po zakończeniu II wojny światowej podlegały tzw. wyzwoleniu, zostały okupowane i spacyfikowane. Dawano nam pozory wolności. Może pan czytać, śpiewać albo malować, ale na naszych warunkach. Wolności nie można udawać. Albo jest, albo jej nie ma.

Krytyk sztuki Paweł Sosnowski powiedział, że od początku swojej aktywności byłem antysystemowy i jest to prawda. Tym, przeciwko czemu się buntowałem, była postawa artystyczna narzucona przez komunistów, ten socrealizm, który powstał przecież w Rosji i który po-

eprasa.pl 3e36963038

„Wyrok na uwięzi", instalacja poświęcona Katyniowi zaprezentowana na wystawie w Zamku Ujazdowskim

Fot. Ludmyla Kazakova

tem był nakazywany tutaj, w Polsce. Chodziło o próbę inwigilowania polskiej duszy. A z duszą związana jest przede wszystkim religia, bardzo zróżnicowana w swoich nienaruszalnych podstawach. Okazało się, że postawa komunistyczna nie jest taka łatwa do narzucenia. Z tego powodu musieli powołać komisarzy. Nadzorców ideologicznych, którzy pilnowali sztuki i potem donosili odpowiednim władzom. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nasi krytycy żyjący w krajach demokracji ludowej przyjęli jako artyści tę funkcję. Dzisiaj rolę komisarza przejęli kuratorzy, opiekunowie zawieszonych wyroków.

Powiedział pan kiedyś, że proces „odkłamywania" rzeczywistości jest jednym z ważniejszych elementów pańskiej sztuki. Czy dlatego pańska twórczość przeszkadza? Słyszy się dzisiaj głosy o chęci usunięcia pomnika smoleńskiego, którego jest pan twórcą.

Tak. Oczywiście. Odkłamywanie w sztuce jako wprowadzanie swoich wartości burzących ład, który oni sobie wymyślili w swoich propagandowych główkach. Stało się tak przy realizacji pomnika smoleńskiego. Poprzez ten projekt chciałem powiedzieć więcej, niż tylko zrobić pomnik o katastrofie.

Katastrofa jest w nas, tutaj żyjących, i również nas dotyka, oczywiście nie w ten sposób, że przedwcześnie schodzimy z tego świata. Przecież ten pomnik do tej pory jest niezrealizowany i nie mówi tego, co chciałem wyrazić. W założeniu jest to dół ekshumacyjny, zwany też dołem śmierci, z którego wyrasta schodkowana forma trapu, zmierzająca w nieograniczoną przestrzeń. W piaskowych ścianach dołu katyńskiego znajduje się 96 wiecznie płonących świateł, które symbolizują ofiary tragedii smoleńskiej. Pomnik jest cały czas pod pręgierzem cenzury politycznej na najwyższym poziomie i tu, i tam, czyli w Moskwie.

Kiedy zrealizowałem instalację uliczną pt. „Przejście", zwane też pomnikiem Anonimowego Przechodnia w Warszawie, na której ludzie zagłębiają się pod ziemię, by wyjść po chwili po drugiej stronie ulicy, by dalej podążać ku swoim celom, już następnego dnia pojawił się dowódca krasnej armii z Rembertowa. Przyjechał do głównego architekta, żeby natychmiast zlikwidować rzeźbę. Że jest przeciwko komunistycznej ideologii, że to nie może tu stać. Nie dziwi mnie, iż znowu dzieje się coś podobnego.

Jak się pan czuje po tych wszystkich kłopotach, których doświadczał pan w czasach komunizmu, a musi ponownie stawiać im czoło w wolnym polskim państwie?

Nie wiem, jak się możemy w tej chwili odrodzić i zrekonstruować jako naród, nie jestem socjologiem, historykiem ani jasnowidzem. Moje pokolenie próbowało zrobić, ile mogło w warunkach, które były mu dane. Dopiero św. Jan Paweł II nas obudził i sprawił, że po prostu się podnieśliśmy. Odważyliśmy się i obudziliśmy w sobie pokłady ludzkiej godności, kiedy byliśmy odarci prawie ze wszystkiego, co jest najważniejsze dla człowieka. A to jest wolność i w tej wolności nienaruszalna godność.

Właśnie Jan Paweł II ostrzegał przed tym, że walka o wolność i godność nie kończy się z upadkiem komunizmu.

Boję się, że przyzwyczailiśmy się do zwykłego przetrwania. Niestety przychodzi taki czas, że w młodych ludziach powstaje jakiś inny rodzaj odreagowania na brak poczucia wolności. Duch

eprasa.pl 3e36963038

„Zatrute źródło", instalacja upamiętniająca Jana Pawła II ustawiona w 2020 r. na dziedzińcu Muzeum Narodowego w Warszawie

Fot. Andrzej Wiktor

Wystawa „Rozpętać sztukę" potrwa do 29 września 2024 r.

Fot. Ludmyla Kazakova

Solidarności na pewno nie wróci w takiej samej formie jak wcześniej, ale w jakiejś innej tak. Walka o wolność nie skończyła się i na pewno wróci.

Wyraźne w tej chwili jest to, że jesteśmy po prostu rozdzieleni. Brakuje nam przewodników wspólnoty, takich jakim był Jan Paweł II. Nie jestem mocny w dziedzinie przewidywania. Przewiduję bardziej swoją sztuką, próbuję wskazać na to, przed czym się trzeba uchronić, gdzie szukać wzmocnienia się na nowo i wystąpienia przeciwko temu, co się dzieje. Najgorsza jest ta broń, która jest niezidentyfikowana i po prostu niewidoczna. W tej chwili walczymy z czymś, co nas coraz bardziej otacza i zniewala, nawet bardziej, niż nam się wszystkim wydaje.

Rzuca się nam erzace wolności. Obchody powstania warszawskiego były dobrym przykładem. Polacy śpiewają na pl. Piłsudskiego powstańcom, a w tym samym czasie inni siedzą na Stadionie Narodowym na koncercie megagwiazdy Taylor Swift.

Kto rozsądny w tym dniu, kiedy obchodzisz rocznicę śmierci swoich najbliższych, tuż przy tobie urządza wielkie show? Jeżeli ktoś to robi, a prezydent miasta Warszawy nie reaguje, to widzę, że jest to po prostu budowanie systemu z mocnym zapleczem finansowym, w którym my, Polacy, idziemy po prostu na zatracenie.

Cztery lata temu zrobił pan instalację „Zatrute źródło", w której protestował pan przeciwko symbolicznemu niszczeniu postaci Jana Pawła II. Niedługo później w polskiej opinii publicznej zaczął się potężny atak na papieża.

Ktoś do mnie wtedy dzwonił i zapytał: „Jurku, jak ty to robisz, że przewidujesz takie sytuacje?". Powiedzieli mi, że ta instalacja mocno uderzyła w Kościół. Bardzo dobrze, bo Kościół też trzeba obudzić.

A jak pan komentuje to, co zrobili z symboliką „Ostatniej wieczerzy" na ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich?

To, co zobaczyliśmy, jest przykładem propagandy politycznej w najgorszej, plugawej formie, która wykorzysta każdy fakt artystyczny, każdy symbol religijny do swoich celów. Jest to po prostu zbrukanie wszystkiego, co możliwe. „Ostatnia wieczerza" to mocny symbol, który jest ważny nawet dla tych, którzy nie są wierzący. Chrystus jest chrześcijańskim znakiem wolności i idei sensu życia, więc w tej chwili oni biorą się za najważniejsze symbole. Mylą coś, co się nazywa tolerancją, z czymś, co się nazywa bezmyślnością i brakiem odpowiedzialności za fakt rujnowania filarów naszej duchowej egzystencji oraz naszego najważniejszego przesłania. To nieustanna walka dobra ze złem. To, co pokazali w tym otwarciu, jest graniem na wyrafinowanych znakach, które nie są skierowane do ludu tworzącego wspólnotę religijną. To, co pokazali, odnosi się do tych, którzy dają pieniądze, wielkie miliony na te olimpiady.

Przecież na otwarciu nie było prawie ani jednego przesłania, które by się odnosiło do idei Pierre'a de Coubertina, twórcy nowoczesnego ruchu olimpijskiego. Ufam, że to, co widzieliśmy na moście w Paryżu, jest ostatnią taką wieczerzą.

eprasa.pl 3e36963038

Anarchia w Anglii

JAN ROKITA

18-letni Murzyn Axel Rudakubana, który w ub. poniedziałek zamordował trójkę dzieci i ranił ośmioro, bez wątpienia trwale zapisał się w historii Anglii. Ten mord stał się bowiem zapalnikiem, który nieoczekiwanie wywołał w kraju efekt anarchii

Jak wiadomo, makabra ta miała miejsce w poniedziałek 29 lipca w nadmorskim kurorcie Southport położonym w północno-zachodniej Anglii, a zaatakowane nożem dzieci przyszły na lekcję tańca. Morderca okazał się synem imigrantów z Rwandy, choć przeglądając brytyjskie media, nie udało mi się znaleźć informacji, czy pochodzi z plemienia Tutsi czy Hutu. A rzecz byłaby o tyle interesująca, że Rudakubana urodził się w Anglii ledwie dekadę po tym, jak Hutu przeprowadzili w Rwandzie największą po II wojnie światowej i najsprawniejszą akcję wymordowania 1 mln swoich sąsiadów, a spośród dziesiątków tysięcy morderców z tego plemienia jakąkolwiek odpowiedzialność ponieśli tylko bardzo nieliczni.

RASOWA OBSESJA

W ogóle wszelkie informacje na temat tego, kim jest morderca, na początku nie były dostępne, choć sprawca został schwytany zaraz po popełnieniu zbrodni. Zarówno policja, jak i władze w Londynie dokonywały słownej ekwilibrystyki, byle tylko nie przyznać, że morderca jest Murzynem. To właśnie polityka unikania jasnego mówienia prawdy przez władze spotęgowała społeczne napięcie i szybki wybuch potężnych rozruchów przeciw imigrantom, policji oraz lewicowemu rządowi. Zarówno władze, jak i wielkie media, w większości wspierające to irracjonalne postępowanie polityków i administracji, zasłaniały się brytyjskim zwyczajem prawnym, wedle którego nie podaje się do publicznej wiadomości nazwisk młodocianych przestępców. Rzecz jednak w tym, że wybuch rozruchów został spotęgowany nie tyle faktem ukrywania nazwiska sprawcy, ile jego rasowej obcości. Na dodatek Rudakubana kilka dni po dokonaniu morderstwa skończył 18 lat. Wykorzystali redaktorzy portalu MailOnline, którzy jako pierwsi uzyskali

Fot. Alan Lewis Belfast/SplashNews.com/East News

eprasa.pl 3e36963038

w sądzie zgodę na publiczne podanie danych mordercy łącznie z jego zdjęciem.

Ten sam portal rychło ustalił, że morderca ma ciekawą historię medialną z czasów chłopięcych. Otóż gdy miał 12 lat, został zatrudniony przez BBC jako aktor w filmie reklamującym kampanię zbierania pieniędzy przez organizację Children in Need. Jako dziecięcy aktor przekonywał, w jaki sposób trzeba wspierać finansowo działania tej organizacji w Afryce. We fragmentach filmu dostępnych obecnie w sieci widać wysokiego, nad wiek wyrośniętego chłopca, który wciela się w postać Doktora Who z popularnego w Wielkiej Brytanii serialu science fiction, ubrany w granatowy garnitur i luksusowy brązowy płaszcz. Teraz bez słowa wyjaśnień BBC zaczęła kasować wszelkie ślady po filmie i swej współpracy z młodym Rudakubaną. W popłoch wpadli też właściciele agencji talentów, którzy zrekrutowali niegdyś młodego Murzyna dla BBC. Ze wspomnianego portalu można się dowiedzieć, że właścicielka Laura Beckford (notabene żona znanego angielskiego piłkarza) rozłączała telefon, kiedy dzwonili do niej dziennikarze, a przy tym w popłochu czyściła na Facebooku liczne filmiki i wpisy dotyczące Rudakubany.

Szczegóły te są ciekawe, bo unaoczniają popłoch i brak logiki nie tylko w działaniach władz usiłujących tak długo, jak się da mataczyć zarówno w sprawie tożsamości sprawcy, jak i oczywiście rasistowskich motywów zbrodni, lecz także w postępowaniu mediów i show-biznesu. W końcu cóż nagannego w tym, że osiem lat temu BBC zapłaciła pieniądze czarnemu chłopcu, aby reklamował akcje pomocy dzieciom w Afryce? Albo w jaki sposób miałby dzisiaj kompromitować agencję talentów fakt, iż wyszukała takiego chłopaka nadającego się do odegrania roli w filmie? A jednak w obliczu zbrodni popełnionej przez Rudakubanę zarówno potężna stacja telewizyjna, jak i prywatna firma wpadają w panikę, usiłując nieudolnie zatrzeć ślady po swoich kontaktach z mordercą.

Pokazuje to nie tylko naiwność postępowania, ale przede wszystkim obnaża rasową obsesję panującą dziś w Anglii. Lecz przecież nie tylko tam. Wszyscy łącznie z rządem panicznie boją się każdego zdarzenia, w którym Murzyn okazuje się kimś złym, czarną postacią nienawidzącą białych i pragnącą ich zabijać. Owa obsesja, jak i będąca jej wynikiem utrata zdolności racjonalnego postępowania są oczywiście efektem agresywnego oddziaływania propagandy Black Lives Matter, która nakazuje białym całować buty Murzynów i jeszcze bardziej od nich nienawidzić całej zachodniej kultury i tradycji. To biały policjant bijący niewinnego czarnoskórego jest w tej propagandzie figurą „normalną", pasującą do wbitego w głowy rasistowskiego przesądu. Ale Murzyn morderca, i to morderca białych dzieci, które zabija z czystej rasowej nienawiści, to rzecz, która budzi panikę i popłoch, odbiera rozsądek w ocenie sytuacji i sprawia, że zarówno władze, jak i media zaczynają działać irracjonalnie.

> W jakimś stopniu winna jest temu patologiczna polityka informacyjna władz, próbująca zataić przed opinią publiczną rasowe podłoże mordu w Southport

FALA ROZRUCHÓW

Zamieszki zaczęły się w Southport wkrótce po dokonanej zbrodni. Nietrudno zresztą było je przewidzieć, zważywszy wstrząs lokalnej społeczności wywołany mordem na grupie angielskich dzieci, wzmocniony tylko unikami władz na temat sprawcy i jego tożsamości. A tymczasem nie wiadomo nawet, czy Rudakubana jest muzułmaninem (Rwanda jest krajem w większości chrześcijańskim) ani czy jego nienawiść rasowa do Anglików ma podłoże w fanatyzmie islamskim. Zarówno władze, jak i angielskie media nadal milczą na ten temat. Ale agresja podburzonego postępowaniem władz tłumu z natury rzeczy obróciła się najpierw przeciw lokalnemu meczetowi w Southport. To tam doszło do pierwszych starć z policją, które miały się przekształcić w coraz bardziej brutalne ataki wściekłego tłumu na policję i podpalanie aut policyjnych.

W ciągu następnych dni, co już nie było tak oczywiste, ataki te rozwinęły się w rosnącą falę rozruchów w dziesiątkach miast i miasteczek północno-zachodniej Anglii oraz Irlandii Północnej. W Belfaście manifestanci zaatakowali policję koktajlami Mołotowa. W Rotherham i Tamworth podpalono hotele, w których rząd kwateruje nielegalnych imigrantów. W Liverpoolu, Blackburn i Bolton miejscowi muzułmanie *ad hoc* utworzyli lokalne milicje broniące meczetów oraz lokali islamskich organizacji. Tak jak niemal wszędzie co najmniej od czasu Arabskiej Wiosny manifestacje są zwoływane na portalach społecznościowych, a smartfon w jednej ręce i kamień do rzucenia w stronę policji w drugiej stają się symbolicznymi atrybutami rozruchów. Gdy piszę te słowa, brytyjska policja informuje o przewidywanych kolejnych manifestacjach i rozruchach w co najmniej dalszych 30 brytyjskich miastach, a obszar objęty zamieszkami rozszerza się już na Szkocję i angielskie południe. Wszystko to zaczyna przypominać nietypowy dla Wielkiej Brytanii stan anarchii.

To, że w jakimś stopniu winna jest temu patologiczna polityka informacyjna władz próbujących zataić przed opinią publiczną rasowe podłoże mordu w Southport jest oczywistością, której zdają się jednak nie dostrzegać ani owe władze, ani liberalne i lewicowe media. Coraz liczniejsi Anglicy, otwarcie wrodzy wobec lawinowego napływu obcych rasowo i kulturowo imigrantów, stają się podejrzliwi wobec władz, policji i mediów, przekonani, że te potężne „oficjalne" siły usiłują ich oszukać w tej kwestii. Ale rzecz jasna o ile oficjalne uniki i przemilczenia podburzają tylko gwałtowność protestów, ich głębsza przyczyna tkwi w oczywistej porażce kolejnych brytyjskich rządów, gdy idzie o politykę imigracyjną.

FIASKO POLITYKI IMIGRACYJNEJ

W solennych przyrzeczeniach konserwatystów to brexit miał być właściwą odpowiedzią na imigrację. Okazało się jednak, że nie był. Po odłączeniu się od

eprasa.pl 3e36963038

UE Wielka Brytania stała się w jeszcze większym niż dotąd stopniu docelowym krajem migracji z Afryki i Azji. Wedle oficjalnych danych w 2023 r. po raz pierwszy w historii negatywne saldo imigrantów (czyli różnica między przybyłymi a deportowanymi albo opuszczającymi Wyspy w inny sposób) sięgnęła 1 mln. A przewidywania brytyjskich mediów są takie, że w br. wzrośnie. Prawdę mówiąc, jest coś zadziwiającego w fakcie, że przybysze z Azji i Afryki nagminnie ryzykują życie na wodach burzliwego kanału La Manche, aby opuścić Francję – traktowaną widać jako kraj mało przyjazny – i dostać się do Wielkiej Brytanii. „Stop the boats!" – to nieprzypadkowo najważniejsze hasło obecnych manifestacji.

Co ciekawe, Anglia poza Unią jest dla imigrantów jeszcze bardziej atrakcyjna. Być może właśnie dlatego, że brytyjskie społeczeństwo sprawiało dotąd wrażenie kto wie czy nie najbardziej kosmopolitycznego spośród wszystkich bogatych krajów europejskich. W 2011 r. przez Anglię przetoczyła się fala rozruchów rasowych, choć o mniejszej skali niż obecne, ale były to całkiem inne wystąpienia. Ich uczestnicy byli protoplastami ruchu BLM, a policję atakowano dlatego, że jakiś londyński policjant zastrzelił czarnoskórego przestępcę.

Ostatnie lata to czas kompromitujących porażek kolejnych konserwatywnych rządów, obiecujących w swych wyborczych manifestach rozprawienie się z imigracyjną falą. Panaceum wymyślonym przez rząd Borisa Johnsona miały być przymusowe deportacje imigrantów do Rwandy, a pierwszy lot z Londynu miał się odbyć w czerwcu 2022 r. Nie odbył się, bo zablokował go nagły nakaz wydany przez strasburski Trybunał Praw Człowieka. A potem, gdy rząd Sunaka był już bliski rozpoczęcia akcji, w sprawę wmieszał się z kolei brytyjski Sąd Najwyższy, broniąc prawa nielegalnych imigrantów do pobytu w Wielkiej Brytanii.

Wreszcie zdeterminowany Sunak wbrew sędziom podpisał w grudniu 2023 r. nową umowę z Rwandą, dającą osiedlanym tam migrantom silniejsze gwarancje bezpieczeństwa i ochrony przed prześladowaniami. Ale wtedy torysi przegrali wybory, a nowy lewicowy gabinet Keira Starmera z dnia na dzień zlikwidował cały „program rwandyjski". Podobną tragikomedią zakończył się plan osiedlania migrantów na wielkiej barce zacumowanej w porcie Portland, gdzie najpierw sądy, a potem wykrycie tzw. bakterii legionistów zmusiły władze do powrotu do praktyki lokowania przybyszów w opłacanych przez rząd hotelach, czasem całkiem luksusowych.

Poronione projekty, marnowane fundusze publiczne, niespełnione obietnice wyborcze i rosnąca złość zwykłych Anglików. Takie jest polityczne tło obecnych zamieszek, tym bardziej zrozumiałych, że o ile kolejne rządy konserwatystów wyglądały na bezsilne, choć podejmowały nieskuteczne wysiłki, o tyle lewica, która właśnie objęła władzę, wydaje się nie przyjmować do wiadomości faktu, iż masowa imigracja to społeczny dynamit zagrażający współczesnej Wielkiej Brytanii.

ODPOWIEDŹ WŁADZ

Anarchiczna rewolta ogarniająca właśnie Wyspy Brytyjskie skłoniła lewicowy rząd do agresywnego obrócenia się przeciw manifestantom. Premier Starmer, który swego czasu był szefem prokuratury żelazną ręką rozprawiającym się z uczestnikami rozruchów 2011 r., ma teraz podobny pomysł na pacyfikację buntu antyimigracyjnego. A o manifestantach mówi: „Skrajnie prawicowy bandytyzm". Za swój główny kłopot Starmer zdaje się uważać przepełnione więzienia. Potrzebne będą masowe aresztowania i wyroki, więc rząd na gwałt tworzy kilka setek nowych miejsc dla więźniów. Jednak skala obecnego buntu i jej głębokie, w żaden sposób nieusunięte przyczyny nakazują raczej nie wróżyć Starmerowi trwałego sukcesu. Shabana Mahmood, lord wielki kanclerz w brytyjskim gabinecie, opisywana przez dziennik „Sunday Times" jako „pobożna muzułmanka", zapowiada jednak, iż rząd będzie dokonywać dalszych aresztowań „mimo braku miejsc w więzieniach". A ministrowie mówią o zaprowadzeniu 24-godzinnych sądów, by szybciej skazywać manifestantów.

Oprócz aresztowań najważniejszym politycznym efektem rozruchów jest potężna kampania przeciw brytyjskim grupom prawicowym oraz... wielkim mediom cyfrowym. Politycy i emerytowani szefowie policji grożą sankcjami Nigelowi Farage'owi. Lider Partii Reform ośmielił się publicznie postawić pytanie o to, czy prawdą jest, iż rząd ukrywa część informacji na temat mordu w Southport, np. iż Rudakubana miał się znajdować pod tajnym nadzorem służb specjalnych właśnie z powodu swej rasistowskiej nienawiści do Anglii i Anglików. Nawiasem mówiąc, sam Farage oraz jego partia są niesłychanie ostrożni w wypowiadaniu się na temat morderstwa, a rozruchy z użyciem przemocy stanowczo potępili. Jednak sam fakt, iż polityk stawia pytania, na które nikt nie udziela odpowiedzi, wywołuje falę agresji wobec niego jako „podżegacza do przemocy".

Wreszcie jak zwykle w takich przypadkach władze przypuściły atak na ponoć zbyt rozległy zakres wolności słowa. W ostatnich dniach czołowym wrogiem publicznym władzy w Londynie stał się Elon Musk, który na portalu X (d. Twitter) podał w wątpliwość jednakowe traktowanie przez lewicowy rząd białych i kolorowych. „Czy nie powinniście się martwić atakami na wszystkie społeczności?" – napisał Musk, przewidując, że obecna polityka sprawi „nieuchronność wojny domowej". Nietrudno wyobrazić sobie falę zaciekłych ataków na Muska przypuszczonych w rządzie i brytyjskich mediach. W ostrą wymianę zdań z nim wdał się osobiście premier Starmer, a posłowie Partii Pracy żądają represji wobec Muska za to, iż nie stosuje on wystarczająco mocnej cenzury w swoich mediach. I zapowiadają zmuszenie go do stawienia się w Izbie Gmin na specjalne przesłuchanie.

Trudno nie odnieść wrażenia, że tradycyjny chłód i roztropność brytyjskiej polityki to już tylko odległa historia. Jakimś niezwykłym wyjątkiem jest były kanclerz skarbu w gabinecie Johnsona Nadhim Zahawi. Na łamach „The Times" w chłodny sposób analizuje on sytuację, pisząc tak: „Czegóż innego można się było spodziewać, skoro każdy kolejny manifest wyborczy obiecywał niższą imigrację, a każdy kolejny rząd zwiększał liczbę imigrantów, odmawiając przy tym zgody na budowę nowych mieszkań i infrastruktury. Zaś klasa »bien pensant« (czyli »prawomyślnych«) oskarżała o rasizm każdego, kto się z tym nie zgadzał". Można się tylko zastanawiać, kiedy Zahawi, Kurd i muzułmanin, również stanie wobec zarzutu o propagowanie rasizmu.

eprasa.pl 3e36963038

Kamala Harris i Tim Walz

Swojski, postępowy Tim

Tim Walz, biały weteran ze Środkowego Zachodu, jako kandydat na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych ma zwiększyć atrakcyjność Kamali Harris w oczach nowych wyborców, ale republikanie szybko wytknęli mu jego skrajnie lewicowe inklinacje, pozycjonujące go na lewo nawet od Berniego Sandersa

„Jestem dumny. Emocjonalnie przypomina mi to pierwszy dzień szkoły" – zadeklarował gubernator Minnesoty Tim Walz, gdy Kamala Harris niespodziewanie wybrała go na swojego kandydata na wiceprezydenta. Faworytem wydawał się bowiem gubernator Pensylwanii Josh Shapiro. Pensylwania to jeden z tzw. swing states, a więc stanów, w którym zwycięstwo żadnej z partii nie jest przesądzone, a są one kluczowe dla wyniku

Fot. lev radin/Shutterstock

eprasa.pl 3e36963038

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

wyborów prezydenckich. Minnesota natomiast to tzw. blue state, czyli stan, w którym demokraci mogą być pewni zwycięstwa. Jedno spojrzenie na Walza jednak wystarczy, by zrozumieć, dlaczego Harris, a raczej demokraci, wybrali właśnie jego.

Walz jest wszystkim, czym Harris nie jest – białym mężczyzną z klasy średniej z dwójką dzieci, który lubi stylizować się na człowieka ludu: koszule w kratę, czapki bejsbolowe, dżinsy. Walz posiada broń i lubi polowanie. Gubernator Minnesoty żyje skromnie. Według „The Wall Street Journal" nie ma domu ani innych nieruchomości czy oszczędności oprócz niewielkiego funduszu emerytalnego. Krępy, skory do dowcipów, przypomina sympatycznego wujka z sąsiedztwa. A przede wszystkim jest nieznany szerokiej amerykańskiej publiczności. „Tim to cholernie przyziemny facet" – podsumował Tim Ryan, były kongresmen Partii Demokratycznej z Ohio.

SANDERS W STROJU MYŚLIWSKIM

Kamala Harris chciała, by kontrastował z nią, ciemnoskórą, wykształconą kobietą z wielkomiejskiej Kalifornii. „Walz wygląda, jakby właśnie zszedł z myśliwskiej ambony w lesie. To nie jest opakowanie, którego ludzie oczekują, gdy myślą o [skrajnej] lewicy. To sprytne" – powiedział były gubernator Minnesoty Tim Pawlenty, republikanin. I dodał: „To taki Bernie Sanders w stroju myśliwskim".

Nietrudno się więc domyślić, czyje głosy ma zdobyć Walz. Te Amerykanów z głębokiej prowincji, w „pasie rdzy" – badania pokazują, że zdecydowana większość chce tam głosować na Donalda Trumpa. Jak twierdzi ABC News, Walz będzie wykorzystywany głównie jako magnes do przyciągnięcia głosów na Środkowym Zachodzie, w szczególności wśród białych wyborców z klasy robotniczej, podczas gdy Harris ma zdobywać poparcie wśród młodych i zróżnicowanych rasowo, szczególnie w Sun Belt i w stanach południowych, takich jak Arizona, Newada, Georgia i Karolina Północna.

W pierwszym spocie wyborczym z udziałem Walza gubernator relacjonuje swoje dzieciństwo w małym miasteczku w Nebrasce. „Moja klasa w liceum liczyła 24 osoby. Byłem spokrewniony z połową z nich" – mówi. Jest to przekaz skierowany do tzw. rednecków na prowincji, którzy mają zapewne podobne doświadczenia. „On wygląda jak twój wujek, brzmi jak twój ojciec i ma zdroworozsądkowe podejście do rządzenia, które przemawia do każdego" – podkreślił Jesse Ferguson, strateg demokratów, który pracował przy kampanii Hillary Clinton w 2016 r. Według niego Walz jest naprawdę miłym, zwykłym facetem, który mimo myśliwskiej pasji ma serce dla zwierząt, przygarnął koty i psy ze schroniska, a jako gubernator zapewnił dzieciom z biednych rodzin darmowe posiłki w szkole. Jest on odpowiedzią demokratów na J.D. Vance'a, kandydata Trumpa na wiceprezydenta, który dorastał w biedzie północno-wschodnich stanów, w Ohio i Kentucky, i uwiecznił swoje dzieciństwo w bestsellerowej książce „Elegia dla bidoków" („Hillbilly Elegy"), uważanej za szczery portret amerykańskiej białej klasy robotniczej.

UCZCIWY BŁĄD

Vance służył w piechocie morskiej, a Walz w Gwardii Narodowej przez 24 lata. Przed rozpoczęciem kariery politycznej w wieku 43 lat pracował w fabryce, potem był nauczycielem szkoły publicznej i trenerem licealnej drużyny futbolowej. Od 2006 r. zasiadał w stanowym Kongresie, gdzie w okręgu, który długo był uważany w Minnesocie za bastion Partii Republikańskiej, wygrywał wybory sześć razy z rzędu. W 2018 r. został w końcu gubernatorem, a w 2022 r. uzyskał reelekcję.

Jednak Walz jest swojskim, lekko konserwatywnym wujkiem tylko z wyglądu. W rzeczywistości to skrajnie lewicowy polityk, którego poglądy na temat aborcji są tak radykalne, że, jak sam twierdzi, liderka demokratów w Izbie Reprezentantów Nancy Pelosi poprosiła go o to, by je złagodził. „Jestem tak bardzo za prawem do wyboru kobiet, że Nancy Pelosi zapytała mnie, czy nie mógłbym złagodzić mojego stanowiska" – powiedział kandydat na wiceprezydenta w jednym z wywiadów. „Nie, nie mogę, odparłem. Popieram Planned Parenthood" – dodał.

Walz, który jest luteraninem, w rankingu narodowej koalicji prawa do życia otrzymał zero punktów. Jako gubernator wprowadził przepisy, które ustanowiły całkowitą „wolność reprodukcyjną" w Minnesocie. Aborcja jest legalna w każdym momencie ciąży. Pod jego nadzorem stan uchylił także obowiązujące ograniczenia, w tym 24-godzinny okres oczekiwania dla osób starających się o aborcję, i uchwalił prawo mające na celu ochronę dostawców usług medycznych oraz pacjentów z Minnesoty przed ściganiem, jeśli przeprowadzili lub skorzystali z aborcji w innych stanach. Marjorie Dannenfelser, prezes

eprasa.pl 3e36963038

antyaborcyjnej grupy SBA Pro-Life America, nazwała Walza „najbardziej proaborcyjnym kandydatem na wiceprezydenta, jakiego kiedykolwiek widziała Ameryka". W 2018 r., gdy zasiadał w Izbie Reprezentantów, głosował za ustawą HR4712, która chroniłaby dzieci, które przeżyły nieudane aborcje, zapewniając im opiekę medyczną. Natychmiast przeprosił i powiedział, że stało się tak „przypadkowo". „To był uczciwy błąd. Miałem zamiar zagłosować na »nie«. Przepraszam za zamieszanie" – napisał na platformie X (d. Twitter).

SOJUSZNIK LGBTQ+

Organizacje LGBTQ+ pochwaliły Harris za wybór Walza, który, gdy w 1999 r. był jednocześnie trenerem futbolu i nauczycielem historii oraz geografii w Mankato West High School, pomógł tam założyć pierwszy sojusz osób hetero- i homoseksualnych (Gay Straight Alliance). Jako gubernator w 2021 r. podpisał rozporządzenie zakazujące terapii konwersyjnej. W Kongresie głosował za uchyleniem ustawy o obronie małżeństwa i uczynił Minnesotę „sanktuarium" dla migrantów oraz osób transpłciowych, pozwolił nielegalnym imigrantom uzyskać prawo jazdy, zalegalizował marihuanę, ograniczył dostęp do broni i kazał wyposażyć szkoły w darmowe tampony i podpaski, które trafiły także do ubikacji dla chłopców.

Zasług dla postępu Walz ma zresztą więcej, np. wprowadzenie do szkół krytycznej teorii rasowej, ale skoro ma on trafić do wyborców bardziej umiarkowanych w „pasie rdzy", w trakcie kampanii będą pewnie podkreślane jego inne dokonania, jak choćby już wymienione darmowe posiłki w szkołach czy podwyżki płac dla pracowników szkół i przedszkoli w Minnesocie oraz ulgi podatkowe dla najmniej zamożnych rodziców. Walz ma w końcu przekonać Amerykanów, że demokraci to partia klasy średniej.

Republikanie naśmiewają się z Walza, nazywając go „tamponowym Timem", ale faktem jest, że jego wybór na kandydata na wiceprezydenta demokratów ich zaskoczył. A on sam już na wstępie zyskał sobie sympatię szczególnie młodych wyborców wypowiedzią, że Trump i Vance to „dziwaczny" (ang. „weird") duet.

Nie było trudno robić kampanię przeciwko Joe Bidenowi, wystarczyło wytknąć mu jego wiek i ewidentnie słabnącą siłę mentalną. Z Harris i Walzem nie będzie tak łatwo. A stawka jest wysoka, bowiem oboje należą do lewicowego skrzydła demokratów i nawet jeśli Harris można uznać za oportunistkę, Walz działa z przekonania. Jeśli wygrają, będą się starali skierować amerykańską politykę jeszcze bardziej w lewo. W każdym razie tego obawiają się prawicowe media za oceanem.

> Tim Walz jest swojskim, lekko konserwatywnym wujkiem tylko z wyglądu. W rzeczywistości to skrajnie lewicowy polityk, którego poglądy na temat aborcji są tak radykalne, że liderka demokratów w Izbie Reprezentantów Nancy Pelosi poprosiła go o to, by je złagodził

PATRZEĆ, JAK ŚWIAT PŁONIE

Republikanie szybko przeszli więc do ataku, nazywając Walza „skrajnie lewicowym", „niebezpiecznie liberalnym" oraz „radykałem". Prawicowe media, jak portal The Daily Wire, wytknęły mu rzekome tchórzostwo podczas służby w Gwardii Narodowej. W 2005 r. Walz miał przejść na emeryturę, gdy okazało się, że jego oddział niebawem trafi do Iraku. Vance przypomniał mu, że gdy wybuchły zamieszki po śmierci George'a Floyda w Minneapolis, czekał dwa dni, zanim wysłał Gwardię Narodową, co „dało uczestnikom zamieszek dość czasu, by całkowicie zniszczyć miasto". „Siedział i przyglądał się, jak miasto płonie" – zaznaczył także gubernator Florydy Ron DeSantis. Szkody wyniosły wówczas kilkaset milionów dolarów.

Tymczasem kongresmen republikanów Brian Mast powiązał Walza z katastrofalnym wycofaniem wojsk amerykańskich z Afganistanu i kryzysem migracyjnym na granicy z Meksykiem. „On w tym wszystkim maczał palce, dlatego próbują to ukryć" – przekonywał. Pod lupę trafiły także jego powiązania z Chinami. Walz mieszkał w tym państwie od 1989 do 1990 r. w ramach programu World Teach realizowanego na Uniwersytecie Harvarda i uczył tam języka angielskiego. Do dziś twierdzi, że „nigdzie nie był tak dobrze traktowany". „Nikt nie jest bardziej prochiński niż marksista Walz" – napisał na platformie X Richard Grenell, były p.o. dyrektora wywiadu i były ambasador w Niemczech za czasów administracji Trumpa. Walz był tak zauroczony Chinami, że wraz z żoną Gwen spędził tam nawet miesiąc miodowy.

„Mieszkałem w Chinach, byłem tam ok. 30 razy. Nie należę do kategorii ludzi, którzy uważają, że Chiny muszą być koniecznie naszym wrogiem. Całkowicie się z tym nie zgadzam" – powiedział Walz w wywiadzie dla Agri-Pulse w 2016 r. Będzie to zapewne jedna z rzeczy, za które będzie atakowany w tej kampanii.

Amerykanie są tymczasem podzieleni między entuzjazmem a niepewnością co do jego kandydatury. Badanie YouGov wykazało, że 35 proc. wyborców uważa Walza za „dobry" lub „najlepszy możliwy" wybór na wiceprezydenta demokratów, kolejne 35 proc. nie jest do niego przekonanych, 16 proc. zaś uznało go za „złego" lub „najgorszego możliwego" kandydata. Co jest znamienne: 45 proc. uznało jednocześnie, że prawie nic o nim nie wie. A to może grać na jego korzyść.

eprasa.pl 3e36963038

Niebezpieczne związki

Nicolás Maduro

Może się mylnie wydawać, że zdarzenia w Wenezueli nie dotyczą nas, Polaków, ani reszty krajów UE. Jeśli tak myślimy, to znaczy, że nie rozumiemy wpływów lewicy iberoamerykańskiej na lewicę europejską i uwikłania komisarzy unijnych w kompromitujące pakty z lewicowymi dyktatorami. Niemożliwe? Ależ oczywiste. Tylko przemilczane przez mainstream i jego media

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Fot. StringerAL/Shutterstock.com

Przeciętny Polak zaledwie kojarzy Nicolása Maduro ze zdjęć, na których umundurowany i wąsaty satrapa przemawia do narodu. Mało kto nawet wie, że dyktator nie ma prawa przebierać się w mundur oficera Boliwariańskiej Gwardii Narodowej, bo jedyny uniform, jaki przysługuje mu z racji przebytych szkoleń i wykształcenia, to uniform kierowcy autobusu. Niekończąca się tragedia Wenezueli polega jednak na tym, że kierowca nie chce rozstawać się z fotelem prezydenta kraju i dobrze wie, że trzyma w szachu nie tylko swój naród, lecz także europejską lewicę. Zresztą każdy, kto uczciwie przyglądał się aktywności Unii Europejskiej, a zwłaszcza sankcjom i rezolucjom

eprasa.pl 3e36963038

przeciw „reżimowej Polsce" czasów PiS, dobrze wie, że unijni decydenci zawsze chętniej poprą lewicowe, choćby nawet krwawe, dyktatury niż demokratycznie wybrane władze prawicowe.

Problem polega jednak na tym, że Polacy są oszukiwani przez główne media i obecny problem Wenezueli jest opowiadany tak, jakby kraj był po prostu tylko jakąś republiką bananową, a „liberalne elity" miały czyste ręce w tej sprawie.

NAJBOGATSZY KRAJ UMIERA Z GŁODU

Zanim jednak wskażemy palcem na wspólników Maduro z Europy, garść niezbędnych informacji o Wenezueli, która jeszcze w XX w. uchodziła za najbogatszy kraj Ameryki Łacińskiej za sprawą zasobów ropy naftowej. W 1997 r. prezydent Bill Clinton wybrał to państwo na pierwsze w swojej podróży po regionie, bo bogactwo i przyjazne relacje stawiały go w szeregu szanowanych partnerów.

Niestety w 1999 r. Wenezuelczycy wybrali na prezydenta Hugo Cháveza, który znalazł poklask, głosząc populistyczne hasła o dobrobycie i równości mas oraz obiecując przeprowadzenie rewolucji boliwariańskiej, która wprowadziłaby kraj w jedynie słuszny „socjalizm XXI w.". Chávez zerwał stosunki z USA, wybrał jako partnerów Chiny i Rosję, po czym aż do swej śmierci w 2013 r. trwonił bogactwo, eksperymentował z gospodarką planową, niszczył demokratyczne instytucje i rozwijał aparat siłowy. Oczywiście można poprzestać na konkluzji, że wszystkiemu winien był socjalizm w wydaniu wenezuelskim, ale Ameryka Łacińska jest specyficznym obszarem: wszechogarniająca korupcja, klientelizm i populistyczny radykalizm zawsze znajdują tam podatny grunt.

Przed śmiercią Chávez namaścił Maduro na swojego następcę, a ten kontynuował wszystkie praktyki reżimu i zaciągnął długi, których już nie można było spłacić, tym bardziej że jedyny produkt, który pozostał Wenezueli, czyli ropa, zaczął się dewaluować. Z powodu długów, braku podstawowych produktów i nędzy kraj stał się zakładnikiem reżimu Castro na Kubie i oczywiście Kremla. Wojskowi przejęli całkowitą kontrolę nad ekonomią, stanem państwa oraz handlem narkotykami – reżim żywi się z niego do dziś.

EUROPEJSKA LEWICA PODZIWIA CHÁVEZA

Zanim jednak doszło do humanitarnej tragedii Wenezueli, popularność rewolucji boliwariańskiej zaczęła przyciągać uwagę polityków i myślicieli skrajnej lewicy, którzy nie szczędzili słów zachwytu. Nie tylko Noam Chomsky był fanem socjalizmu z Caracas. Dziennik „Le Figaro" już w 2012 r. nazwał Jeana-Luca Mélenchona „Małym Chávezem", na co francuski lider miał się obruszyć: „A dlaczego małym!?" – zapytał. Autorytarni przywódcy latynoscy byli i pozostają wzorem dla lidera partii Francja Niepokorna, co powinno niepokoić całą Europę, wziąwszy pod uwagę wynik ostatnich wyborów we Francji. Tylko inny „caudillo" Donald Tusk publicznie cieszył się ze zwycięstwa Mélenchona w bezmiarze swej ignorancji lub złej woli. Polityk skrajnej lewicy francuskiej jest znany ze swoich „pielgrzymek" pod pomnik Simóna Bolívara oraz czci oddawanej Fidelowi Castro czy wreszcie Hugo Chávezowi.

Nie wiemy o finansowaniu partii Mélenchona przez wenezuelski reżim, ale za to powszechnie wiadomo o ufundowaniu chavistowskiej, czyli skrajnie lewicowej, partii Podemos w Hiszpanii, na co były wenezuelski prezydent przeznaczył ponad 7 mln euro. Liderzy tego ugrupowania trzęśli hiszpańską sceną polityczną od 2016 r., Pablo Iglesias wszedł do rządu jako wicepremier w 2020 r., a jego partyjni towarzysze współrządzili krajem do wyborów w 2023 r. Ostatni wywiad z Iglesiasem, toksycznym komunistą opłacanym przez Wenezuelę, „Wyborcza" przedrukowała zaledwie trzy lata temu, aby straszyć rosnącą falą faszyzmu w Hiszpanii i Europie. Co ciekawe, politycy partii Podemos nie tylko otrzymywali wysokie wynagrodzenia jako doradcy Cháveza, lecz także, jak ujawniło śledztwo, byli finansowani przez Iran, co nie przeszkodziło im wspiąć się na najwyższe stołki w Hiszpanii. Od czasu ujawnienia szpiega Pawła Rubcowa (alias Pedro Gonzales) Polacy już lepiej rozumieją, że kto pracuje dla Rosji, ma też powiązania z reżimem irańskim, kubańskim i wenezuelskim. Nie dziwi zatem, że po rosyjskiej agresji koalicjanci w rządzie hiszpańskim (czyli „podemici" od Cháveza i Maduro) nawoływali do pokoju i nieangażowania się w konflikt, który ich zdaniem jak zwykle wywołał jankeski imperialista i NATO.

PROPUTINOWSKA LEWICA

Wiedza o powiązanych z Kremlem lewicowych dyktaturach w Iberosferze, przepływie usług, handlu, broni, najemników jak najbardziej dotyczy Polaków i tylko media dezinformacji mainstreamu starają się rozmywać sprawy tak, aby podejrzanymi o sprzyjanie Putinowi zawsze były tylko partie prawicowe. Wydaje się, że prawicy często brakuje argumentów, choć wystarczy spojrzeć na UE i dotychczasową rolę komisarza Josepa Borrella, aby zrozumieć, że, mówiąc kolokwialnie, coś tu nie gra, a milczenie Ursuli von der Leyen w sprawie Wenezueli jest nader wymowne. Uporządkujmy więc fakty.

Wybory prezydenckie w Wenezueli 28 lipca postrzegano jako realną szansę na ostateczny upadek reżimu. Wszystkie niezależne sondaże wskazywały na sukces kandydata opozycji Edmunda Gonzáleza. Dlatego kilka tygodni przed elekcją spekulowano, że Maduro mógłby wynegocjować z opozycją jakieś ocalenie dla siebie, pamiętając, że wciąż był objęty nakazem aresztowania wydanym przez USA za handel narkotykami i pranie pieniędzy (nagroda w wysokości 15 mln dol. za jego schwytanie jest aktualna). A jednak w wyborczy wieczór dyktator ogłosił swoje zwycięstwo, zaś opozycja gigantyczne oszustwo, i to na tyle nieudolne, że końcowy wynik wskazywał na frekwencję wynoszącą 132 proc.! Maduro przypisał sobie 51,2 proc., kandydatowi opozycji 44,2 proc., a aż osiem pozostałych partii miało otrzymać identyczny wynik po 4,6 proc.

Oszustwo wyborcze śmierdziało na odległość, mimo to Rosja, Iran, Chiny i Kuba od razu uznały wynik wyborczy i pogratulowały swojemu wspólnikowi. Argentyna jako pierwsza frontalnie sprzeciwiła się rezultatowi elekcji, przez co Maduro uznał Javiera Mileia za „nazistę-faszystę". Ogólnie reszta świata wstrzymała komunikaty, prosząc o opublikowanie wiarygodnych danych

eprasa.pl 3e36963038

i protokołów, zaś administracja USA nie uznała tych wyników. Opozycja pod kierunkiem Maríi Coriny Machado dzięki setkom wolontariuszy zdobyła kopie wyników głosowania z ponad 81,7 proc. urn wyborczych. W wenezuelskim systemie świadkowie partii politycznych na szczęście otrzymują kopie protokołów wydrukowanych przez te same maszyny, na których głosują obywatele. Na podstawie tych wiarygodnych danych okazało się, że w przeciwieństwie do tego, co podała Krajowa Rada Wyborcza, Maduro przegrał wybory z Gonzálezem w stosunku 30 do 70 proc.

MILCZENIE UE WOBEC TERRORU

Już dzień po wyborach opozycja zaczyna masowo wychodzić na ulice, oczekując poparcia dla nowego prezydenta i reakcji świata Zachodu. Tymczasem Maduro rozpoczyna brutalne represje i wyłapuje dysydentów, a UE milczy. Jedyne poparcie dla kandydata opozycji, pod którym podpisuje się ponad 300 europosłów (głównie z partii konserwatywnych, w tym PiS), ma formę apelu wystosowanego przez Foro Madrid pod auspicjami partii Vox. Gdy konserwatyści podpisują dokument i martwią się o rozlew krwi, unijny mainstream milczy, a hiszpański komisarz Josep Borrell (wciąż pełniący obowiązki wysokiego przedstawiciela UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa) pisze na platformie X (d. Twitter) tylko jakieś obłe komunikaty wzywające do pokazania protokołów i dialogu.

Tymczasem dwa rosyjskie okręty wojenne, które zakotwiczyły na czas wyborów, przyglądają się rozwojowi wydarzeń. Z Kuby w ciągu pierwszych dwóch dni wystartowało ponad 30 lotów z najemnikami wojskowymi gotowymi udzielić „bratniej pomocy." Mimo próśb wenezuelskiej opozycji Unia „uznaje sankcjonowanie dyktatury Wenezueli za przedwczesne", chce „przeanalizować kolejne kroki", aby znaleźć wyjście z kryzysu, a sam Borrell udaje się z wizytą, tyle że do... Kazachstanu. Hiszpański europoseł Hermann Tertsch, zaangażowany w pomoc demokratycznej opozycji (tak samo jak w latach 80., gdy pomagał Solidarności), oskarża Borrella, że podobnie jak premier Sánchez i brazylijski prezydent Lula da Silva pomagają Maduro zyskać na czasie w opracowaniu nowej strategii. Tertsch wielkrotnie krytykował na forum Parlamentu Europejskiego współpracę Borrella z dyktatorskimi reżimami Kuby i Wenezueli. W maju ub.r. przypomniał roczny raport Instytutu Casla na temat zbrodni przeciwko ludzkości, których doświadczają Wenezuelczycy, oraz rolę, jaką odegrał reżim kubański. W 2023 r. za szwedzkiej prezydencji okazało się, że komisarz Borrell jest odpowiedzialny za „dwustronne porozumienie UE z Kubą", dzięki któremu partia komunistyczna otrzymywała fundusze z kieszeni Europejczyków. Hiszpański europoseł nazwał to „obscenicznym finansowaniem" i „wstydem dla wszystkich demokracji w UE."

> Gdy konserwatyści podpisują apel i martwią się o rozlew krwi w Wenezueli, unijny mainstream milczy, a hiszpański komisarz Josep Borrell (wciąż pełniący obowiązki wysokiego przedstawiciela UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa) pisze na platformie X (d. Twitter) tylko jakieś obłe komunikaty wzywające do pokazania protokołów wyborczych i dialogu

40 WALIZEK Z WENEZUELI

Borrell, polityk z rządzącej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE), od początku starał się mediować, posyłać posłańców do Caracas, bojąc się zapewne także haków, które Maduro ma na wielu lewicowych polityków. Sprawą zupełnie nietkniętą w głównych mediach było np. nielegalne lądowanie w Madrycie w styczniu 2020 r. wiceprezydent Wenezueli Delcy Rodríguez i jej 40 walizek. Prawa ręka Maduro miała zakaz przebywania w Europie w ramach unijnych sankcji, a mimo to powitał ją ówczesny minister José Ábalos i traktował w uprzywilejowany sposób. Przez cztery ostatnie lata Hiszpanie nie mogli się dowiedzieć, co takiego było w 40 walizkach: złoto czy narkotyki? Według ostatniej wersji rząd Hiszpanii odzyskał dług od Wenezueli.

Do dziś bilans powyborczych represji w Wenezueli wynosi 25 zmarłych, ponad 2,3 tys. uwięzionych i stale rośnie. Liderka opozycji María Corina Machado, narażając swoje życie, codziennie zwołuje masowe manifestacje, które powinny przykuć uwagę obojętnego świata. Papież Franciszek po długim milczeniu ocknął się i poprosił o „dialog" opozycji z reżimem, co wywołało śmiech przez łzy. Niestety wielu ocenia, że w ciągu tych paru dni więcej dla Wenezuelczyków zrobili hakerzy z Anonymous niż Organizacja Państw Ameryki (OPA), ONZ czy milcząca UE.

Antonio Ledezma, który do 2015 r. był burmistrzem Caracas, oświadczył, że „Maduro to tropikalna wersja Adolfa Hitlera". Apelował też do świata: „Jako naród Wenezueli wykonaliśmy nasze zadanie, czyli wygraliśmy wybory i wykazaliśmy legalność wyboru Gonzáleza na prezydenta dzięki opublikowanym protokołom. Teraz zadaniem społeczności międzynarodowej jest uznanie prezydenta wybranego przez większość. Żądamy pokojowej transformacji, Maduro ma amunicję, ale my mamy głosy".

Ursula von der Leyen nie zabrała głosu przez cały ten czas, nawet symbolicznie za pośrednictwem platformy X (d. Twitter), a komisarze UE, zawsze tak zatroskani o praworządność Polski, milczą jak zaklęci. No cóż, parafrazując: proletariusze i lewicowe dyktatury wszystkich krajów łączą się...

eprasa.pl 3e36963038

Pułapka średniej suwerenności

Prawica wydobyła Polskę z pułapki średniego dochodu. Teraz musi znaleźć drogę wyjścia z sideł średniej suwerenności

DARIUSZ MATUSZAK

Teorię pułapki średniego dochodu sformułowali pracujący dla Banku Światowego ekonomiści Indermit Gill i Homi Kharas. Zauważyli oni, że znacząca liczba państw osiąga pewien poziom zamożności, po czym traci konkurencyjność, np. płacową, przestaje się dostatecznie szybko rozwijać i nie jest w stanie dołączyć do krajów najbogatszych. Jakby na zawsze były skazane na bycie w grupie przeciętniaków z rocznym PKB na głowę w granicach 10–16 tys. dol. Np. odwieczny średniak Brazylia.

W 2023 r. „The Economist" porównał gospodarcze osiągnięcia krajów rozwijających się w latach 1960–2022 i wyliczył, że tylko 23. udało się wyjść z pułapki średniego wzrostu – czterem azjatyckim tygrysom, takim jak Hong-Kong, Tajwan, Singapur i Korea Południowa, leżącym na nieprzebranych pokładach ropy i gazu krajom Bliskiego Wschodu, a w Europie m.in. Polsce.

Socjolog Salvatore Babones i politolog Hartmut Elsenhans twierdzą, że pułapka średniego dochodu jest tak naprawdę pułapką polityczną. Uważają, że większość krajów ma dostateczny potencjał, by uniknąć sideł przeciętnego rozwoju gospodarczego, a o tkwieniu w tej sferze decydują wybory polityczne dokonywane przez władze tych państw. Nie ma żadnego fundamentalnego powodu, by Argentyna albo Chile nie były tak zamożne jak Włochy czy Francja (Argentyna jeszcze 80 lat temu, zanim władzę objęła lewica, była jednym z najbogatszych krajów świata). O tym, gdzie są, decydują wybory polityczne, a nie brak potencjału gospodarczego.

Teoria o pułapce średniego dochodu ma wielu krytyków, ale żyjąc w Polsce, intuicyjnie rozumiemy koncept bycia skazanym na gospodarczą przeciętność. Wyczuwamy też to, że za takim wyrokiem nie stoi sama gospodarka, tylko polityka. Wystarczy zobaczyć, jak obecna władza nie tylko porzuca jeden po drugim ambitne projekty rozwojowe, lecz także z gorliwością nuworysza realizuje wszystko, czego chce Unia i co zdaje się wypełniać cele polityczne oraz gospodarcze innych państw. Codziennie mamy przykłady ilustrujące tę

eprasa.pl 3e36963038

postawę. Ot, choćby zgoda rządu na zamknięcie Turowa, bo tego niby chcą czescy samorządowcy i niemieccy działacze ekologiczni. Piszę niby, bo w rzeczywistości chodzi o konkurentów kopalni po czeskiej i niemieckiej stronie.

Jeszcze lepiej pokazuje to decyzja dotycząca drobnej na pozór sprawy. Chodzi o skrajnie szkodliwy i głupi pomysł, by Polska przeznaczyła wielkie kwoty z pożyczonych od Unii w ramach KPO pieniędzy na dopłatę do zakupu używanych samochodów elektrycznych. Ubodzy posiadacze 25-letnich diesli dorzucą się zamożnym, by ratować upadającą produkcję elektryków w Niemczech. W tym nie ma nawet cienia polskiego interesu.

Działania obecnej władzy niewątpliwie prowadzą do tego, byśmy na zawsze utknęli w pułapce średniego rozwoju i na zawsze zostali zapleczem dla krajów rządzących Unią. Nasze państwo już nigdy nie będzie bogatsze niż teraz, a statystycznie Polacy nie będą zamożniejsi niż dziś. Koniec, osiągnęliśmy szczyt naszych możliwości. Ale może być jeszcze gorzej. Bo jeśli za przewodników weźmiemy sobie kraje Europy Zachodniej i będziemy za nimi podążać, to z tego szczytu mamy już tylko drogę w dół – zaczniemy biednieć. Tak jak od lat 2008–2011 większość Europy Zachodniej. W odróżnieniu jednak od bardzo bogatych Włoch, Francji czy Hiszpanii zaczniemy ubożeć od naszego przeciętnego poziomu. Prawdziwa katastrofa zacznie się wtedy, gdy podobnie jak one nie będziemy już w stanie odtwarzać swej infrastruktury. To będzie skutek i przyczyna kolejnych zjazdów w tempie iście olimpijskim.

Być może w tym kryje się też tajemnica porzucenia CPK i zastąpienia go jakimś karłowatym projektem. Nie chodzi tylko o to, by nie konkurować z Niemcami, by zaplecze nie wypychało się na front, bo tam jest miejsce tylko dla jaśnie oświeconych i bogatych, a nie jakiegoś byle pospólstwa z Europy Środkowej. Być może rząd Tuska ma świadomość, że podążając za krajami Zachodu, realizując kolejne szaleńcze projekty unijne, nieuchronnie wpadniemy w wielkie kłopoty gospodarcze i zwyczajnie nie będzie z czego finansować tej budowy. Stanie się ona przepastną dziurą pochłaniającą coraz mniejsze środki, bo przecież ta władza nie poradzi sobie z zapewnieniem dochodu w budżecie na odpowiednim poziomie i choćby z pozyskaniem inwestorów. Zamiast na inwestycje, kurczące się środki będą przeznaczane na łatanie coraz większych dziur i kupowanie spokoju społecznego. Tak jak to od niemal dwóch dekad robią Niemcy.

URZĄDZANIE SIĘ NA MARGINESIE

Rzecz sprowadza się do tego, że będąc w pułapce średniej suwerenności, sprawiamy, że na wieki utkniemy w pułapce średniego dochodu. Inaczej niż Brazylia czy Argentyna, które się nie rozwijają, ale nie dlatego, że brakuje im suwerenności, lecz z powodu samodzielnych decyzji politycznych. W naszym przypadku to średnia suwerenność będzie prowadzić do tkwienia w pułapce średniego rozwoju.

Pełna suwerenność to nie tylko kwestia godnościowa, tożsamościowa, lecz także gospodarcza. To wcale nie jest tak oczywiste w przypadku np. krajów Beneluksu czy Austrii. Im do budowania dobrobytu nie jest niezbędna niezawisłość, Polsce zaś jest ona konieczna. Ale i w tym aspekcie sprawy mają się już coraz gorzej. Przy obecnej władzy nie można już bowiem mówić nawet o suwerenności średniej, tylko o mikrej, marnej.

Zjednoczona Prawica zdołała wyprowadzić Polskę z pułapki przeciętnego dochodu, ale nie dostrzegła pułapki średniej suwerenności albo uznała, że taki stan jest jedynym z możliwych. Dobrze to ilustruje powiedzenie Stefana Kisielewskiego o PRL: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Gorzej, że zaczęliśmy się w niej urządzać". PiS zaczęło się mościć w owym stanie średniej suwerenności. Pogodziło się z tym, że życie urządza nam Unia, dla której nie ma żadnej alternatywy i tak bardzo bało się oskarżeń o polexit, że stało się wyłącznie biorcą, pasywnym uczestnikiem zdarzeń, a nie ich sprawcą.

Oczywiście układy na świecie, członkostwo w organizacjach międzynarodowych, a szczególnie w Unii, z natury rzeczy wymuszają rezygnację z części suwerenności. 70 proc. prawa przyjmowanego w Polsce jest implementacją tego, co stanowi UE. Ale PiS właściwie nie starało się nawet, by jak Niemcy czy Francja pisać owe unijne prawa, tylko było ich odbiorcą. Ten brak aktywności uważam nawet za słuszny i zbawienny – ilekroć bowiem wchodziliśmy w jakąś grę, układy, jak choćby w 2019 r. przy wyborze von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej, kończyło się to katastrofą. Można też wspomnieć gorliwą aktywność komisarza rolnictwa Janusza Wojciechowskiego. Czasy się zmieniają, a Wojciechowski, który jeszcze za junty Jaruzelskiego zapisał się do ZSL i dobrze pamięta samego Gucwę,

zawsze był w awangardzie postępu, więc zaprowadzał na wsi unijny Zielony Ład.

Wspominam te przykłady, by pokazać, że nie należy przystępować do gry z oszustami – zwłaszcza w dyscyplinach, w których jest się słabym. Żeby nie wiem, jak się starać, nie osiągniemy w koszykówce poziomu NBA, a w kłamstwach i oszustwach międzynarodowych mistrzowskiej klasy eurokracji. W tym przypadku mamy braki w zbiorowej i genetycznej pamięci, w wiedzy, która przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Niby jest u nas taki, który mówi, że w Unii nikt go nie ogra, ale dobrze wiemy, że kłamie, a poza tym do międzynarodowych oszustw potrzeba minimum niezależności i odwagi.

MENTALNOŚĆ ZALEŻNOŚCI

Sztuka nie polega na uczestnictwie w tej grze, tylko na jej całkowitym odrzuceniu, a przynajmniej reguł, i nieakceptowaniu rezultatu. Nie było żadnych powodów, by nie oświadczyć, że np. nie będzie się zaprowadzać zielonego szaleństwa albo nie będzie się respektować układu o przymusowych przesiedleniach zwanego paktem imigracyjnym. Należało działać na zasadzie: „nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?". Postawa rządu prawicy powinna być kłopotem Unii, a nie naszego kraju. Ale zawsze było coś, co sprawiało, że PiS niby się sprzeciwiało, a na koniec zawsze podporządkowywało podkulone. A to jakieś wybory, a to pandemia, wojna na Ukrainie. Zjednoczona Prawica ugrzęzła w pułapce średniej suwerenności. To nie była jedynie kwestia politycznych gier, niby jakichś tam szachów na wielu poziomach, lecz także mentalności, stanu poddaństwa. Pisze o tym m.in. Daniel Foubert w „Brussels Signal". „PiS również rządziło państwem podporządkowanym. Państwo podporządkowane ma ograniczone pole manewru, ale powinno je wykorzystywać. III Rzeczpospolita nigdy nie wykorzystała w pełni swojego potencjału. Albo oddawała się pod dowództwo Unii Europejskiej i Niemiec [za rządów PO – przyp. red.], albo tkwiła w ten sam bierny sposób w postawie obronnej, wierząc, że wystarczy odrzucenie tego, co mocarstwa chciały jej narzucić". To cenny głos, bo zewnętrzny, a Foubert kibicuje prawicowej Polsce. Nie zgadzam się z jedną tezą – tak naprawdę nasz kraj niczego nie odrzucał, tylko mniej lub bardziej hałaśliwe protestował. Foubert pisze też: „Co gorsza, w strategii państwa widoczna jest mentalność zależna. W przeciwieństwie do krajów takich jak Francja, które wykazują się silną suwerennością oraz autonomią polityczną, gospodarczą i kulturalną, Polska stoi w obliczu wyzwań, które uniemożliwiają jej osiągnięcie podobnego poziomu samostanowienia".

> Nie ma wątpliwości, że działania obecnej władzy prowadzą do tego, byśmy na zawsze utknęli w pułapce średniego rozwoju i na zawsze zostali zapleczem dla krajów rządzących Unią

Niestety opis postawy zależności odnosi się nie tylko do PO – to żadne odkrycie, bo jest ona formacją zakompleksioną i pozbawioną ambicji na miarę Europy – lecz także do PiS.

DAREMNE ŻALE

Wiele wskazuje na to, że Zjednoczona Prawica nie wyciągnęła wniosków z klęsk w relacjach z Unią, np. z nieustannego zabiegania o pożyczki KPO. Dowodem na to jest choćby wystąpienie europosła Mariusza Kamińskiego w Parlamencie Europejskim i jego błagalne apele pod adresem komisarza Reyndersa, by ten ratował praworządność w Polsce. To było głupie, przeciwskuteczne, szkodliwe i upokarzające. Europoseł nie odrobił nawet lekcji i nie wiedział, że zanosi swe żale przed człowieka po czubek głowy unurzanego w oskarżeniach o korupcję, pranie brudnych pieniędzy; po tej oślizłej postaci spłyną wszystkie lamenty o prawo i sprawiedliwość. Rozumiem, że europoseł Kamiński miał bolesne doświadczenia, jego poczucie krzywdy jest w pełni uzasadnione, ale nawet emocje ofiar nie mogą ustawiać polityki państwa czy ugrupowania politycznego.

Poseł Kamiński, szukając wsparcia u obcych, metaforycznie oddawał kolejną małą cząstkę naszej suwerenności. Chciał, by mieli oni coś do powiedzenia w naszych sprawach. Nie wiem, jak można tego nie rozumieć i jak to wytłumaczyć. By użyć przesadzonego porównania, ale oddającego istotę tej zasady: nie biega się do agresora, by donieść na sąsiada złodzieja. Nie szuka się ratunku u obcych interwentów. To nie tylko niemoralne, upokarzające, lecz także uzależniające od wrogów. Żadne mętne zapewnienia nie zmienią też tego, iż to powielanie skrajnie szkodliwej metody PO: ulica i zagranica. No więc ulica – tak, zagranica – nie.

Zmiana unijnych traktatów, pakt imigracyjny, zielone szaleństwo stanowią tak wielkie zagrożenie dla naszej suwerenności, że nie potrzeba nam jeszcze sądów i ręcznego sterowania przez całkowicie zepsutych eurokomisarzy. Należy całkowicie odrzucić takie ustawianie naszych relacji z mocami z zagranicy.

Przez osiem lat PiS potrafiło wyprowadzić nas z pułapki średniego wzrostu. W tym oswobodzeniu się nie chodzi tylko o wskaźniki gospodarcze, lecz także o ambicje. O to, by za Mickiewiczem wołać: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił". Ten fragment z „Pieśni filaretów" najczęściej interpretujemy odwrotnie do intencji autora. To wezwanie do porywania się na niemożliwe, a kto nie wierzy, niech poczyta, co pisał o tym prof. Jerzy Bralczyk. Tak czy owak, wyrwanie się z pułapki średniego rozwoju oznacza też zmiany w mentalności – uwierzyliśmy, że możemy być bogaci, odrzuciliśmy kompleksy wobec wielkich i aroganckich – Niemców, Francuzów. Teraz przyszedł czas, by przed wyborami prezydenckimi prawica zaproponowała drogi wyjścia z pułapki średniej suwerenności.

Autopromocja

eprasa.pl 3e36963038

Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce

Pobierz aplikację na:

DOSTĘPNE W Google play

Dostępne w App Store

eprasa.pl 3e36963038

Jaka cywilizacja, takie igrzyska

Igrzyska olimpijskie to nie tylko zmagania sportowe, lecz także tło dla wojny kulturowej i rywalizacji w przestrzeni symbolicznej

GRZEGORZ GÓRNY

„Ceremonię otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Paryżu można by postawić przed sądem Historii (wybaczcie wielką literę) jako ceremonię zakończenia »cywilizacji zachodniej«", stwierdził hiszpański pisarz Juan Manuel de Prada. Zdaniem włoskiego filozofa Roberta de Mattei wspomniana impreza to „ostatni akt wojny przeciwko cywilizacji chrześcijańskiej, którego jednym z historycznych szczytów była rewolucja francuska". W tej perspektywie paryska celebracja jawi się jako spektakularny element wojny kulturowej rozgrywającej się w przestrzeni symbolicznej, oddziałującej na ludzkie umysły i wywierającej wpływ na nasze postrzeganie świata, a przez to na dokonywane przez nas wybory.

Znaczenie owego wydarzenia, oglądanego podobno przez 2 mld ludzi na kuli ziemskiej, wykracza daleko poza wymiar sportowy. Jego zasięg sprawia, że staje się ono publiczną manifestacją w skali całego globu. To gigantyczny spektakl z miliardową widownią, w trakcie którego można przedstawić światu własną wizję historii, wyznawane ideały, stawiane cele, hierarchię wartości i wzorce osobowe.

NOWA FRANCJA

Gospodarze poprzednich igrzysk, np. w Pekinie (2008) czy Londynie (2012), wykorzystywali ceremonie otwarcia, by zaprezentować wielkość kultury chińskiej i angielskiej oraz ich wkład do skarbca cywilizacyjnego ludzkości. Organizatorzy igrzysk w Paryżu także postanowili olśnić świat splendorem swego kraju, jednak ich prezentacja okazała się nader wybiórcza. Równie istotne było nie tylko to, co pokazali, lecz także to, czego nie pokazali. Nie było więc Francji Ludwika IX, Joanny d'Arc czy Pascala, owej „najstarszej córy Kościoła", jak ją nazywali papieże; była za to Francja Robespierre'a, markiza de Sade i Macrona.

Mieliśmy więc pochwałę rewolucyjnego terroru z szyderczym przedstawieniem zgilotynowanej Marii Antoniny w rytm pieśni wieszczącej smutny los wszystkim wrogom: „Jeśli ich nie powiesimy, to ich rozerwiemy; a jeśli ich nie rozerwiemy, to ich spalimy". Mieliśmy też apologię rewolucji seksualnej i aborcji, podkreśloną przez wybór bohaterek uosabiających kobiecy geniusz. Zamiast takich postaci, jak np. św. Joanna de Chantal, Maria Skłodowska-Curie czy św. Teresa z Lisieux (której 150-lecie urodzin niedawno uczciło UNESCO), otrzymaliśmy Simone de Beauvoir (życiową partnerkę Sartre'a, która wyszukiwała mu dziewczęta, także nieletnie, do odbywania stosunków seksualnych), Simone Veil (faktyczną autorkę ustawy legalizującej we Francji aborcję) czy Gisèle Halimi (lewicową proaborcyjną aktywistkę, która jako prawniczka ETA usprawiedliwiała terror baskijskich separatystów jako nieuniknioną reakcję na „represyjną i kolonizacyjną" politykę państwa).

Obecność tych postaci była znamienna zwłaszcza w kontekście niedawnej decyzji francuskiego parlamentu, który uznał legalny dostęp do aborcji za konstytucyjne prawo człowieka. Głosowało za tym aż 780 spośród 925 deputo-

eprasa.pl 3e36963038

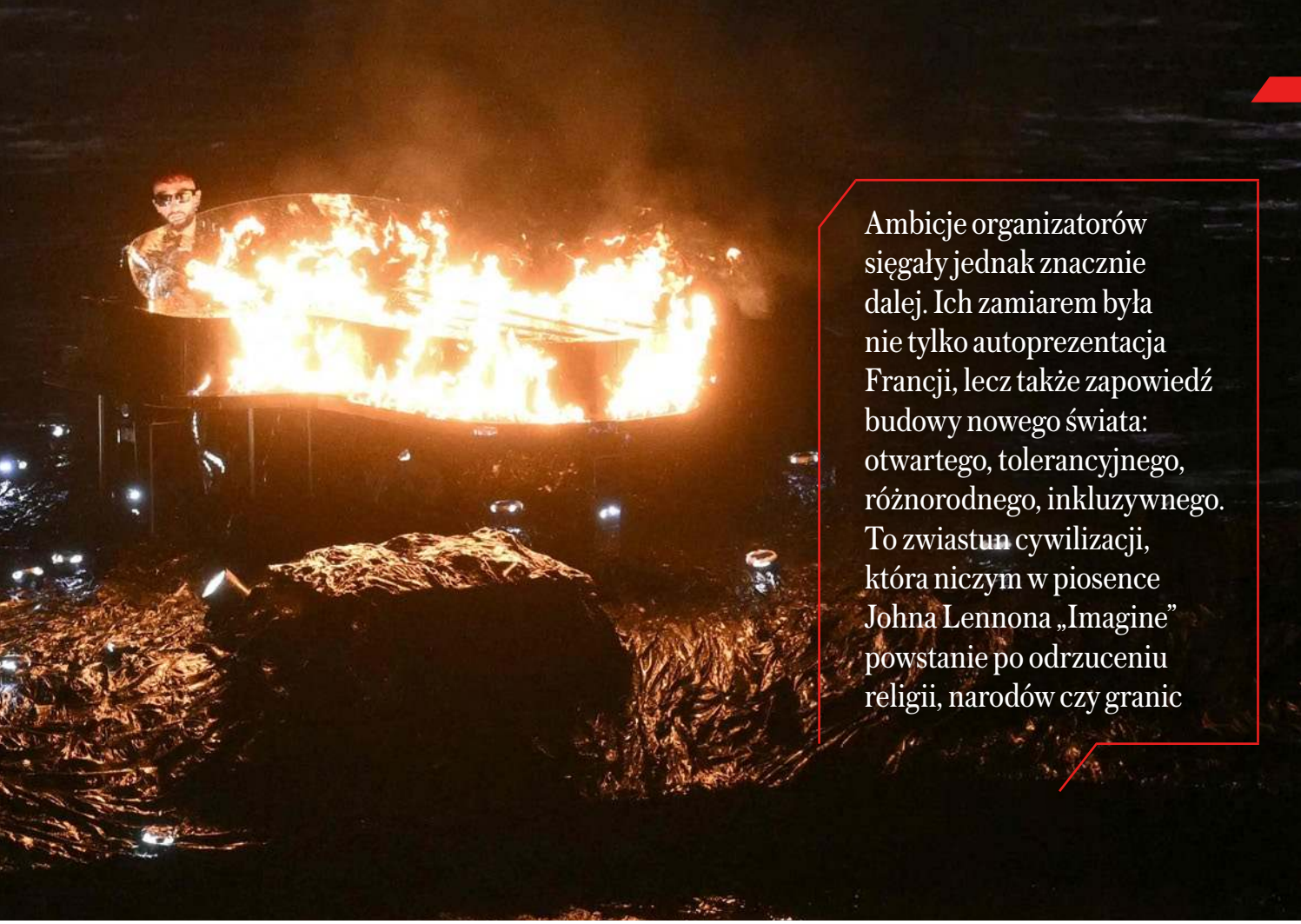

Ambicje organizatorów sięgały jednak znacznie dalej. Ich zamiarem była nie tylko autoprezentacja Francji, lecz także zapowiedź budowy nowego świata: otwartego, tolerancyjnego, różnorodnego, inkluzywnego. To zwiastun cywilizacji, która niczym w piosence Johna Lennona „Imagine" powstanie po odrzuceniu religii, narodów czy granic

wanych i senatorów (w tym, co wielce wymowne, 46 przedstawicieli prawicowego Zjednoczenia Narodowego z Marine Le Pen i Jordanem Bardellą na czele). Obserwując wspomniane widowisko i komentując je słowami: „To jest Francja", prezydent Emmanuel Macron mógł mieć zatem poczucie, że tak właśnie myśli i czuje jego kraj.

W całej ceremonii otwarcia nie znalazło się nic, co przypominałoby o chrześcijańskiej przeszłości Francji – z wyjątkiem katedry Notre-Dame, która została uwzględniona tylko dlatego, że znalazła się na trasie olimpijskiego pochodu, a właściwie spływu, który odbywał się Sekwaną, więc trudno było ominąć tę świątynię.

W historii wielokrotnie mieliśmy do czynienia z przeciwstawieniem sobie dwóch Francji: rewolucyjnej i rojalistycznej, liberalnej i konserwatywnej, laickiej i religijnej. Podczas olimpijskiej ceremonii istniała już tylko jedna Francja – radykalna, zsekularyzowana, antykatolicka. Po drugiej zostały jedynie cienie przeszłości i groteskowe fantomy.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT

Ambicje organizatorów sięgały jednak znacznie dalej. Ich zamiarem była nie tylko autoprezentacja Francji, lecz także zapowiedź budowy nowego świata: otwartego, tolerancyjnego, różnorodnego, inkluzywnego. To zwiastun cywilizacji, która niczym w piosence Johna Lennona „Imagine" powstanie po odrzuceniu religii, narodów czy granic.

Ten pożądany ideał ma jednak chorobliwą obsesję na punkcie seksualności, jak ów bohater „Pięknych dwudziestoletnich" Marka Hłaski, któremu wszystko na świecie kojarzyło się tylko z jednym. Podczas paryskiej imprezy mieliśmy więc promocję transpłciowości, transseksualizmu, transwestytyzmu, poliamoryczności, homoseksualizmu, ideologii gender i queer, a nawet pedofilii.

Chociaż była to ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich, w jej trakcie wielkim nieobecnym pozostał sport. Nie podkreślano żadnych walorów czy cech charakterystycznych dla sportowców, pragnących odnosić sukcesy, a podkreślano jedynie ich skłonności i preferencje seksualne. Zwieńczeniem tego pretensjonalnego, a zarazem żałosnego widowiska była bluźniercza parodia „Ostatniej wieczerzy", nawiązująca do słynnego obrazu Leonarda da Vinci.

Prawdę mówiąc, queerowe i genderowe sceny nad brzegami Sekwany przywodziły na myśl inne wielkie dzieło malarskie, a mianowicie „Kuszenie św. Antoniego" Hieronima Boscha. Bohaterowie paryskiego spektaklu przypominali bowiem dziwne hybrydowe istoty, stwory, maszkary i chimery z tryptyku niderlandzkiego mistrza. Chociaż to właśnie one zdominowały obraz, ich krzykliwa demonstracja okazała się jedynie ułudą. Prawdziwe zwycięstwo w tej walce odniósł skromny, zatopiony w modlitwie pustelnik. Nie uległ pokusie, ponieważ wzrok miał utkwiony gdzie indziej.

Dla cytowanego już Juana Manuela de Prady wspomniany spektakl to dowód na prawdziwość religii katolickiej. Dlaczego bowiem twórcy bluźnierczego widowiska postanowili wyszydzić nie buddyzm, islam, hinduizm czy judaizm,

eprasa.pl 3e36963038

lecz chrześcijaństwo, uderzając zarazem w największą świętość Kościoła, czyli Eucharystię? Dlaczego ich niepohamowany pęd, by plugawić, poniżać, ośmieszać, upokarzać, a więc kierować się najniższymi pobudkami moralnymi zwraca się tylko w stronę jednej religii? Hiszpański pisarz wyznaje, iż ten mroczny fakt – gdy widział, przeciwko czemu obraca się czyste zło – wiele razy ocalił jego wiarę, kiedy była bliska załamania.

Podobnie dla wielu chrześcijan na Zachodzie źródłem siły duchowej staje się ściganie przez państwo i karanie ich za modlitwy (nawet w myślach) przed klinikami aborcyjnymi. Nie ma dla nich bardziej przekonującego dowodu na moc modlitwy i działanie Boga, niż właśnie to prześladowanie. Gdyby bowiem ich działania nie były skuteczne, to nie wywoływałyby tak gwałtownej i nieproporcjonalnej reakcji.

NOWA KOLONIZACJA

Paryska ceremonia, którą w krajach Trzeciego Świata odebrano jak wizytówkę Zachodu, okazała się wymarzonym prezentem organizatorów dla Władimira Putina. Żaden rosyjski agent wpływu nie mógłby zrobić więcej dla Moskwy niż reżyser owego spektaklu – zdeklarowany aktywista gejowski Thomas Jolly. Właściwie potwierdził on wszystkie negatywne stereotypy kremlowskiej propagandy na temat zgniłego, dekadenckiego i satanistycznego Zachodu, który chce zniszczyć wszelki ład, tradycję, religię, rodzinę, normalność. Przedstawiciele rosyjskich władz nie muszą kłamać, manipulować ani nawet komentować – wystarczy, że pokażą sceny z Paryża i oddadzą głos bohaterom wydarzenia.

Wspomniana impreza daje także doskonałe argumenty do ręki wszystkim przeciwnikom Zachodu nie tylko w Rosji, lecz także w Chinach, Indiach czy krajach zaliczanych do tzw. Globalnego Południa. Szyderstwa z religii i promocja homoseksualizmu raczej nie przysporzą Francji i Europie zwolenników w większości krajów Afryki, Azji czy Ameryki Południowej. Mogą natomiast zniechęcić do Zachodu tych, którzy spoglądali nań z nadzieją.

To wszystko nie dzieje się w politycznej próżni. W ciągu ostatnich trzech lat Paryż stracił wpływy na rzecz Moskwy i Pekinu w pięciu krajach frankofońskiego Sahelu. Ostatnio Czarny Ląd coraz chętniej zwraca się ku Rosjanom i Chińczykom, którzy nie próbują narzucać mu swych liberalnych wartości i którzy na tle Europejczyków i Amerykanów wydają się bardziej normalni i mniej zepsuci. Wielu afrykańskich przywódców mówi nawet wprost, że uzależniając pomoc finansową dla nich od wprowadzenia polityki progenderowej i depopulacyjnej, Zachód dokonuje nowej kolonizacji – tym razem ideologicznej.

NOWY ZIELONY ŁAD

Francuscy organizatorzy postawili przed sobą jeszcze jeden ambitny cel – to miały być najbardziej ekologiczne igrzyska wszech czasów, pozostawiające najmniejszy ślad węglowy w nowożytnej historii. W tym celu wioska olimpijska w Paryżu została przekształcona w modelowy przykład miasteczka zaprojektowanego według wyśrubowanych kryteriów Nowego Zielonego Ładu. Sportowcy, którzy w niej zamieszkali, mimowolnie stali się zatem przedmiotem eksperymentu społecznego. W tym kontekście najmniejszym problemem okazały się tekturowe łóżka i materace wykonane z materiałów pochodzących z recyklingu, na które narzekało wielu gości. Bardziej nieznośną nowością był brak klimatyzacji, która emituje do atmosfery zbyt dużo gazów cieplarnianych, bezmięsna dieta w punktach zbiorowego żywienia oraz zredukowanie floty transportowej do zaledwie 55 autobusów elektrycznych, co powodowało, że wielu ekipom groziło spóźnienie się na swoje zawody.

Brak klimatyzacji sprawił, że podczas upalnych nocy wielu sportowców nie mogło zasnąć. Włoski pływak Thomas Ceccon przyznał, że nie nocował w swoim pokoju, lecz spał na trawniku. Jego kolega z reprezentacji Gregorio Paltrinieri żalił się, że co prawda udało mu się zasypiać w przydzielonym pokoju, ale z powodu gorąca nigdy przed godziną 2.00. Niektóre ekipy radziły sobie jednak z tym problemem, przywożąc do wioski olimpijskiej łącznie 2,5 tys. przenośnych klimatyzatorów.

Ponieważ wielu zawodników było niezadowolonych z przymusowej diety wegetariańskiej (w niektóre dni były serwowane tylko dania wegańskie), nagminnym zjawiskiem stało się zamawianie posiłków przez telefon i przywożenie ich przez kurierów do kwater sportowców. Anglicy sprowadzili z kraju nawet swojego własnego kucharza, który gwarantował im posiłki z mięsem i jajkami.

Elementem zielonej transformacji stało się też rozegranie niektórych zawodów w Sekwanie. Zdaniem organizatorów rzeka, w której od dziesięcioleci nikt się nie kąpał z powodu zanieczyszczenia, przeszła gruntowny proces ekologicznej sanacji i stała się wzorem rekultywacji obszarów wodnych. Ponieważ zainwestowano w to olbrzymie pieniądze, Francuzom zależało, by część zmagań odbyła się w rzecznych nurtach. Nie skończyło się to dobrze zwłaszcza dla triathlonistek, których część zachorowała po kąpieli w Sekwanie. Żeńska drużyna Belgii wycofała się nawet z rywalizacji po tym, jak jej liderka Claire Michel po napiciu się wody z rzeki dostała ostrego zapalenia żołądka i jelit. Zaraz po wyścigu – jak mówił jej trener Thibault De Rijdt – zawodniczka poczuła się źle, „wymiotowała, bolał ją brzuch. A teraz ma objawy odwodnienia. Nie byłaby w stanie nawet biec, nie mówiąc już o dalszej rywalizacji. Nie zasłużyła na zakończenie kariery w taki sposób".

Wielu sportowców w ogóle zrezygnowało z zakwaterowania w wiosce olimpijskiej i wynajęło mieszkania na terenie Paryża. Takiego wyboru dokonały m.in. całe męskie drużyny koszykarzy USA, Grecji, Kanady, Serbii, a nawet... Francji, które zdecydowały się na luksusowe, klimatyzowane hotele, w których serwowane są mięsne dania.

Jeśli wioska olimpijska w Paryżu miała być wzorcowym przykładem Nowego Zielonego Ładu, Europą przyszłości w miniaturze, to spełniła swoje zadanie jako groźne ostrzeżenie. Powstało bowiem miasteczko, na które większość gości narzekała, a niektórzy natychmiast z niego uciekli. Dwa tygodnie można tam jeszcze jakoś wytrzymać. Ale całe życie?

eprasa.pl 3e36963038

Jak jedno zdjęcie zakończyło publiczne egzekucje w Polsce

Zdjęcie potrafi być dobrym sposobem na pokazanie historii. Niektóre fotografie zmieniły świat, wywarły ogromny wpływ na opinię publiczną i odwróciły bieg zdarzeń. Powojenna historia Polski została zmieniona przez jedno zdjęcie zrobione w Dębicy w 1946 r.

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Po II wojnie światowej w miarę umacniania się komunistycznej władzy w Polsce na Zachodzie coraz trudniej było zweryfikować, co tak naprawdę dzieje się za tzw. żelazną kurtyną. Zarówno władze emigracyjne, jak i rządy państw zachodnich musiały polegać na informacjach z wewnątrz, dostarczanych przez antykomunistyczne organizacje konspiracyjne za pomocą sieci kurierów. O tym, jak ważna była praca wywiadowcza podziemia, świadczy tragiczna historia partyzantów Jana Stefki „Mściciela" z Podkarpacia.

ZGODNIE ZE SCENARIUSZEM

Była środa 10 lipca 1946 r., godz. 12.30. W Dębicy jak co tydzień trwał dzień targowy. Na rynku gromadziły się tłumy

eprasa.pl 3e36963038

mieszkańców z okolicznych wsi i miejscowości, którzy przyjechali sprzedać swoje produkty rolne i zakupić wyroby przemysłowe. Termin nie był przypadkowy – komunistom zależało na tym, żeby krwawy spektakl obejrzało jak najwięcej osób. Obawiano się, że ludzie nie będą chcieli oglądać egzekucji, dlatego siłą zaczęto ich zaganiać do wystawionej na rynku szubienicy. Inni, jeśli tylko mogli, opuszczali rynek i kryli się w pobliskich bramach. Tak bardzo chciano sterroryzować polskie społeczeństwo, że do centrum miasta pod przymusem przyprowadzono nawet młodzież szkolną ze starszych klas.

Tego dnia Leokadia Mikołajkow, żona doktora Aleksandra Mikołajkowa, który podczas okupacji niemieckiej ukrywał kilkunastu Żydów na strychu swojego domu, nie pozwoliła pójść do szkoły swoim dzieciom. Uprzedzona o mających nastąpić wydarzeniach zatrzymała je w domu. Ich koleżanki i koledzy musieli jednak uczestniczyć w zaplanowanym przez komunistów przedstawieniu. Tuż przed nim do szefa dębickiego UB Juliana Wojtusiaka zwróciła się delegacja miejscowych obywateli z prośbą, aby ludziom, a zwłaszcza młodzieży, oszczędzono udziału w makabrycznym widowisku, skazańców zaś, jeżeli już muszą stracić życie, uśmiercono bez udziału widowni. Szef jednak odmówił i egzekucja odbyła się zgodnie ze scenariuszem wyreżyserowanym przez UB.

OKRUTNY SPEKTAKL

Skazańcy zostali przywiezieni na miejsce kaźni samochodem ciężarowym. Mieli zawiązane oczy i ręce skrępowane z tyłu. Podwieziono ich prosto pod szubienicę. Kat w czarnym kapturze, założywszy im pętle na szyje, dał sygnał do odjazdu samochodu, usuwając im tym samym oparcie spod nóg. Ciała zawisły na sznurach. Kilka osób krzyknęło z przerażenia, matki zasłaniały dzieciom oczy. Kiedy trójka nieszczęśników zawisła, wielu zebranych miało łzy w oczach. Partyzantka cieszyła się w okolicy zbyt wielkim szacunkiem, żeby ta zbrodnia nie budziła sprzeciwu.

Tak wspominała egzekucję Maria Donat, naoczny świadek: „Niedaleko rynku była szkoła, w której kończyłam szóstą klasę. Rok szkolny trwał jeszcze w lipcu. Nie wiem, dlaczego, ale razem z koleżankami przyszłam na rynek, to był dzień targowy... Na rynku było sporo ludzi, jakoś się przecisnęłyśmy do przodu. Szubienica już stała. Widziałam, jak ich przywieźli na przyczepie, ręce mieli związane. Potem podprowadzono ich pod szubienicę, przy której stał kat, miał jakąś chustę na twarzy. Skazani krzyczeli: »Jeszcze Polska nie zginęła!«, »Precz z komuną! «, »Boże, przebacz im! «. Zrobił się wtedy szum, więc ubecy się spieszyli. Platforma ruszyła i na potrójnej szubienicy zawisły trzy ciała. Nie mogłam tu dziś nie przyjść, a jak wspominam tamtą chwilę, to zawsze mam łzy w oczach...”.

Rynek w Dębicy przed egzekucją

W ten sposób zamordowano trzech partyzantów: Józefa Grębosza „Pszczółkę”, Franciszka Nostera „Bukieta” i Józefa Kozłowskiego „Mruka”. Pierwszy z nich został powieszony mimo iż miał ciężkie rany postrzałowe odniesione podczas niedawnych walk stoczonych przez jego oddział w okolicy miejscowości Grudna Górna. Mordu dokonano w obecności prokuratora Mariana Stokłosy i lekarza Romana Lica. Wykonawcą wyroku był Sylwester Bizoń. Obecny podczas egzekucji lekarz stwierdził zgon. Ciężarówka podjechała pod wiszące ciała. Kat odwiązał pętle i martwi partyzanci upadli na deski auta. Na ciężarówkę weszło kilku funkcjonariuszy UB. Samochód ruszył z rynku i długo krążył po ulicach miasta.

Następnie pod osłoną nocy pracownicy miejscowego resortu potajemnie, bez udziału księdza, zakopali zwłoki na cmentarzu w Dębicy. Liczyli, że mogiła nie zostanie odkryta.

ZEMSTA ZA ŚMIERĆ UBOWCÓW

Powieszeni partyzanci byli żołnierzami oddziału NSZ Jana Stefki „Mściciela”. Powstał on w styczniu 1946 r. w okolicy Golcowej i Domaradzu w powiecie brzozowskim, niedaleko Krosna na Podkarpaciu. Kilkunastu żołnierzy podjęło wówczas walkę z tworzącym się komunistycznym reżimem. Podczas swojego krótkiego istnienia grupa wykonała kilkadziesiąt akcji. Rozbrajała posterunki MO, atakowała żołnierzy WP, likwidowała agentów i funkcjonariuszy bezpieki. Zastrzelono m.in. dwóch funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Dębicy: Walentego Dzięgiela i Stanisława Kosydara. W czasie pogrzebu zlikwidowanych ubowców, który odbył się w Dębicy, przemawiający zastępca miejscowego szefa PUBP zapowiedział, że partyzanci, którzy wzięli udział w tej akcji, zostaną dla przykładu straceni publicznie na oczach ludzi.

18 lutego 1946 r. żołnierze „Mściciela” uderzyli na posterunek MO w Przecławiu oraz przeprowadzili kilka akcji ekspropriacyjnych w okolicy. Planowali także uprowadzić mieszkającego nieopodal członka PPR Alojzego Popiela, którego chcieli wymienić na dwóch wcześniej aresztowanych partyzantów. Nie zastali go, więc zabrali jego żonę i ruszyli w drogę powrotną. 19 lutego w okolicy Grudnej Górnej oddział został zaatakowany przez grupę pościgową złożoną z sił UB, MO i wojska. W walce poległo czterech partyzantów,

Zdjęcia: archiwum autora

eprasa.pl 3e36963038

dziewięciu aresztowano, a pozostałym udało się zbiec. Jednostka „Mściciela" poszła w rozsypkę.

W Dębicy komuniści poddali schwytanych partyzantów brutalnemu śledztwu, w wyniku którego wszyscy zatrzymani przyznali się do winy. Następnie zostali przewiezieni do Rzeszowa, gdzie miała ich czekać publiczna rozprawa. Tamtejszy Sąd Okręgowy nikomu nie okazał litości. Sędzią był Norbert Ołyński, który już wcześniej skazywał polskich niepodległościowców na karę śmierci przez powieszenie w publicznych egzekucjach.

25 czerwca 1946 r. w trybie doraźnym najwyższy wymiar kary orzeczono wobec pięciu mieszkańców okolicznych miejscowości, a jednocześnie partyzantów z oddziału „Mściciela": Józefa Grębosza, Franciszka Nostera, Józefa Kozłowskiego, Jana Gomółki i Zygmunta Ząbka. Nie pomogło wystąpienie ówczesnego starosty dębickiego Piotra Chłędowskiego do Bolesława Bieruta z wnioskiem o ułaskawienie skazanych. Trzech pierwszych, jak pisałem, zostało powieszonych 10 lipca 1946 r. w Dębicy na oczach mieszkańców. Dzień później w rzeszowskim więzieniu stracono Jana Gomółkę, a 1 sierpnia 1946 r. wyrok śmierci wykonano na Zygmuncie Ząbku.

WYWIAD WiN

Niedługo po publicznej egzekucji na dębickim rynku w prasie emigracyjnej opublikowano zdjęcie pokazujące moment wykonania wyroku. Towarzysząca mu notatka wyjaśniała, że władza komunistyczna w taki sposób rozprawia się z politycznymi oponentami. Jak się okazało, nie tylko część mieszkańców została uprzedzona, że komuniści planują powiesić partyzantów. Wiedziało o tym także prężnie działające w okolicy podziemie. Antykomuniści nie mieli szans, by zapobiec zbrodni, jednak postanowili ją udokumentować i pokazać światu prawdziwe oblicze komunistycznego reżimu.

Zadanie sfotografowania okrutnego spektaklu zlecono Józefowi Stecowi „Jodowi", sanitariuszowi ugrupowań akowskich podczas wojny, a później szefowi wywiadu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Zdjęcie zostało wykonane z budynku dawnego „Rolnika", w którym mieści się dziś siedziba Podkarpackiego Banku Spółdzielczego. Z mieszkania rodziny Antoszewskch na pierwszym piętrze, bo tam ulokował się Józef Stec razem z lekarzem Stefanem Zdanowskim, szefem dębickiego PCK. Fotografia nie była dobrej jakości, ale wyraźnie pokazywała, jak ludowa władza rozprawia się ze swoimi przeciwnikami.

Kurierzy WiN przenieśli zdjęcie przez zieloną granicę do Londynu. W krótkim czasie zostało opublikowane, a także wykorzystane w raporcie przygotowanym dla ONZ w sprawie komunistycznego terroru w Polsce. Oprócz tego działaczom WiN szybko udało się zlokalizować i oznaczyć miejsce pogrzebania zwłok powieszonych partyzantów. Później rodziny straconych postawiły tam krzyż i nagrobek z napisem „Za woln[ość] i niepodległość. Partyzanci AK".

DORWAĆ FOTOGRAFA

Fotografia dyskredytująca tzw. demokrację ludową wywołała ogromne poruszenie na Zachodzie. Czerwoni dygnitarze byli wściekli, a UB za wszelką cenę chciało wytropić osoby odpowiedzialne za pokazanie egzekucji. Wkrótce udało im się zdekonspirować zarówno Józefa Steca, jak i Stefana Zdanowskiego. U obu podczas rewizji mieszkań znaleziono odbitki zdjęć. W rezultacie zostali poddani ciężkim torturom w czasie śledztwa w PUBP w Dębicy. „Jod" za wykonanie zdjęcia otrzymał wyrok siedmiu lat więzienia, a Zdanowski za posiadanie jego kopii został skazany na sześć lat. Józefa Steca najpierw trzymano w areszcie UB w Dębicy, gdzie podczas śledztwa mocno go bito, potem przez Rzeszów i Przemyśl trafił do więzienia w Rawiczu, następnie do Sieradza, skąd zwolniono go po prawie sześciu latach.

Nagrobek na cmentarzu w Dębicy

Wytropienie autorów zdjęcia nie zmieniło faktu, że cała sprawa okazała się dla komunistów katastrofą. Późniejsze wydarzenia pokazały, że opór polskiego społeczeństwa trwał mimo brutalnych prób złamania go, a na samym Podkarpaciu nadal działały liczne oddziały partyzanckie. Zdjęcie egzekucji, które ukazało się w zachodnich mediach, pokazało prawdziwą naturę Polski Ludowej, a wizerunkowej straty niczym nie dało się zrekompensować. Wywołało tak wielkie oburzenie opinii publicznej, że komunistyczne władze w Polsce zakazały publicznych egzekucji. Dramat trzech młodych ludzi, który rozegrał się na rynku w Dębicy w lipcowy dzień 1946 r., spotkał się z moralnym potępieniem i przyniósł skutek odwrotny od zamierzonego.

Przez wiele lat świadkowie egzekucji nie chcieli opowiadać o tym wydarzeniu, nawet po 1989 r. niechętnie do niego wracali. Tam, gdzie stała szubienica, w 1953 r. ustawiono pomnik wdzięczności Armii Czerwonej. W jego postument wmurowano metalową tabliczkę z napisem: „Ziemia z miejsca straceń ofiar faszyzmu powiatu dębickiego".

Pomnik szczęśliwie zdemontowano w 1990 r. i przeniesiono na dębicki cmentarz żołnierzy radzieckich. Od 2013 r. na rynku w Dębicy stoi monument upamiętniający ofiary zbrodni dokonanej przez komunistów z 1946 r.

Pomnik upamiętniający zbrodnię na dębickim rynku

prasa.pl 3e36963038

Tajemniczy bałtycki archipelag

PIOTR OSTROWSKI

„Słyszałeś o Christiansø i Frederiksø? Swego czasu można było na nie dotrzeć tylko na słoniu, a właściwie na jego pokładzie – starego kutra Elephant" – śmieje się Ulf, który ze mną płynie. Dziś kursuje dużo szybszy statek pasażerski z tłumem podekscytowanych turystów. Na horyzoncie wyłaniają się właśnie zagubione pośród morskich fal wyspy archipelagu Ertholmene

O istnieniu na Bałtyku duńskiego archipelagu odległego o 18 km od Bornholmu i 145 km od polskiego wybrzeża wiedzą pewnie tylko nieliczni turyści, i to zazwyczaj żeglarze. Gdy ćwierć wieku temu odwiedziłem Bornholm po raz pierwszy, przygotowując się do pisania przewodnika turystycznego po wyspie, usłyszałem, że w pobliżu są jeszcze inne wyspy. Myślałem, że spotkany w porcie duński rybak żartuje ze mnie. W telefonach nie było wtedy internetu. Dopiero po powrocie do domu sprawdziłem, że archipelag Ertholmene faktycznie istnieje. W jego skład wchodzi sześć wysepek: Christiansø, Frederiksø, Østerskær, Vesterskær, Græsholm i Tat, ale tylko dwie pierwsze są zamieszkane. Największa wyspa Christiansø ma zaledwie 710 m długości i 430 m szerokości, a cały archipelag – niespełna 40 ha powierzchni.

„Nawet dla nas brzmi to trochę egzotycznie, ale Ertholmene administracyjnie nie należą do Bornholmu ani do żadnego duńskiego województwa, lecz podlegają bezpośrednio Ministerstwu Obrony Danii. To zaś wiąże się z ich historią militarną" – wyjaśnia mi Ulf, duński ekolog, który oprowadza turystów i młodzież szkolną po wyspach. „Można rzec, że to do dziś jednostka wojskowa, w końcu są tam zabytkowe armaty" – śmieje się szyderczo brodaty Duńczyk, który płynie statkiem do domu.

Gdy docieramy do portu, od razu widać, że to dawny bastion. Wszędzie umocnienia, mury i potężna baszta. Główna wyspa archipelagu pierwotnie nosiła nazwę Kirkholm, zaś później Ertholm. Po kolejnej skandynawskiej wojnie Duńczycy dostrzegli, że ma ona spore znaczenie strategiczne. W XVII w. król Christian V nakazał zbudować tu morską twierdzę, która miała strzec interesów duńskiej korony na Bałtyku. Od imienia monarchy wyspie nadano nazwę Christiansø. Większość fortyfikacji – mury i wieże – wzniesiono z granitu, którego na skalistej wyspie zawsze było pod dostatkiem. Cegły do budowy domów pochodzą zaś z rozbiórki słynnego bornholmskiego zamku Hammershus. Częścią potężnej twierdzy stała się także sąsiednia wysepka Frederiksø, którą połączono z Christiansø zwodzonym mostem, zaś w naturalnej cieśninie pomiędzy nimi powstała przystań.

eprasa.pl 3e36963038

Armia uzbroiła twierdzę w działa i obsadziła 100-osobową załogą. Duńczycy zbudowali kolejne stanowisko dla baterii dział na trzeciej wysepce – Græsholm. Wkrótce okazało się, że morska forteca jest nie do zdobycia. Szwedzi, odwieczny wróg Duńczyków, nawet nie próbowali jej forsować. Na odwagę zdobyli się dopiero Brytyjczycy w czasie wojen napoleońskich. Przez jeden dzień sześć angielskich okrętów bombardowało twierdzę, lecz bez powodzenia.

Po raz ostatni armia rozbudowała fortyfikacje w 1825 r. i jednocześnie otworzyła tu więzienie, jednak już ćwierć wieku później twierdza Christiansø zaczęła tracić na znaczeniu. Na wyspie wybuchła epidemia cholery. Wojsko uciekło wówczas na Bornholm, pozostawiając chorych, więźniów i strażników, z których większość zmarła.

DUŃSKIE LOFOTY

Przez lata Ertholmene były niezamieszkane, dopiero pod koniec XIX w. zaczęli się tu powoli osiedlać rybacy z pobliskiego Bornholmu oraz rodziny byłych żołnierzy tej twierdzy. Z czasem rybołówstwo stało się głównym zajęciem na Christiansø, gdzie stacjonowała mała flota. Wreszcie na początku XX w. wyspę odkryli także artyści. Pierwszym był znany wówczas malarz marynista i poeta Holger Drachmann. Kolejnymi, którzy przypłynęli na wyspę, byli uczniowie Artists Studio School Kristiana Zahrtmanna z Kopenhagi.

„Na Christiansø znaleźli niemal śródziemnomorską atmosferę ze słońcem, skalistymi klifami i błękitnym morzem. Dzięki nim Ertholmene były równie często malowane jak słynne norweskie Lofoty" – śmieje się przewodniczka, która oprowadza po wyspie grupę niemieckich turystów.

Potem na Christiansø lawinowo pojawiali się kolejni duńscy i szwedzcy artyści. Niektórzy zamieszkali na stałe, inni regularnie wynajmowali domy letniskowe. Dziś większość tutejszych dzieł znanych malarzy można zobaczyć w Bornholms Kunstmuseum w Gudhjem i Państwowym Muzeum Sztuki w Kopenhadze.

Christiansø podobno nadal odwiedza wielu artystów, „zwłaszcza latem można ich spotkać siedzących przy sztalugach, próbujących uchwycić wyjątkową urodę archipelagu Ertholmene" – czytam w duńskim folderze, który rozdała przewodniczka. Dziś nie ma ani jednego. Może dlatego, że kropi deszcz, a może to tylko marketing? Wyspy są malutkie i trzeba sporo determinacji lub fantazji, by zostać tu na dłużej. Nawet Niemcy, którzy w 1940 r. jako jedyni w historii podbili je, pozostawili na Christiansø zaledwie... dwóch żołnierzy – okupantów.

JAK TU ŻYĆ?

Dziś na Christiansø i Frederiksø mieszka już tylko 90 osób, zaś pozostałe wyspy ze względu na siedliska dzikiego ptactwa są objęte ścisłą ochroną przyrody. Miniarchipelag odwiedza rocznie 80 tys. turystów i żeglarzy, jednak zazwyczaj są to wizyty kilkugodzinne. Mały port jachtowy pomieści 70 jednostek. Nieliczni mają możliwość pozostać tu na dłużej.

„Na głównej wyspie jest tylko jeden mały hotel z karczmą, który dysponuje 6 pokojami dwuosobowymi oraz miniaturowe pole biwakowe dla 30–35 namiotów. Część mieszkańców wynajmuje też pokoje – w czterech domach łącznie 14 miejsc. To niewiele, dlatego noclegi trzeba rezerwować z dużym wyprzedzeniem" – mówi Luise z lokalnej organizacji turystycznej.

Konserwator zabytków zabronił tu budowania czegokolwiek i nawet mieszkańcy nie mogą wznosić nowych domów. Uciążliwością jest także brak wody pitnej, toteż deszczówka, którą gromadzi się tu w wielkich zbiornikach, jest na wagę złota.

Ćwierć wieku temu na dobry pomysł wpadł karczmarz z Christiansø, który na używanych w jego lokalu serwetkach wydrukował odpowiedzi na pytania, które bezustannie i do znudzenia stawiają przybywający tutaj wścibscy turyści:

1. Na wyspie żyje 115 osób w 50 gospodarstwach (2000 r.).
2. Nie, nie można tu wynająć żadnego domu.
3. Tak, mamy szkołę, w której 4 nauczycieli uczy 18 dzieci.
4. Nie, nie mamy własnego pastora, ale w co drugą niedzielę przybywa do nas duchowny z Bornholmu i odprawia mszę.
5. Tak, mamy lekarza, który przyjmuje codziennie przed południem przez godzinę.
6. Jako karetka pływa kuter Elephant, czyli Słoń, należący do rządu duńskiego, zaś gdy trzeba, przybywa do nas szpitalny śmigłowiec z Kopenhagi.
7. Tak, możemy hodować drób, ptaki i króliki, ale żadnych psów i kotów, by nie zanieczyścić wody pitnej.
8. Tak, mamy telewizję, ale anteny są ukryte pod dachami ze względu na ochronę środowiska.
9. Co robimy zimą? To samo co ludzie na kontynencie: czytamy książki z własnej biblioteki, mamy chór i przede wszystkim aż 115 przyjaciół i znajomych do odwiedzenia. Nie jesteśmy więc samotni.

Fot. Shutterstock, archiwum prywatne

10. Problem tylko w tym, że nasza młodzież w wieku 13 lat musi opuścić wyspę i kontynuować naukę, mieszkając w internacie w innej części Danii.

WYSPY NIEWIELKIE, ALE JEST CO ZWIEDZIĆ

Na Bornholm od wielu lat można było dotrzeć statkiem wycieczkowym lub promem m.in. z Kołobrzegu i Ustki. Niestety wakacyjne katamarany PŻB przestały ostatnio kursować z portów polskiego wybrzeża. Pozostaje zatem połączenie ze Świnoujścia lub z niemieckiego Sassnitz z przesiadką w szwedzkim Ystad. Z kolei w sezonie na archipelag kursuje codziennie z portu Gudhjem na Bornholmie mały prom Ertholm, rejs trwa niespełna godzinę.

„Pierwszy poranny statek odpływa o 10.00 i kursuje cztery razy – ostatni powrót o 18.15. Jest zatem czas na zwiedzanie. Poza sezonem od poniedziałku do piątku kursuje statek pocztowy Peter i też zabiera pasażerów, ale tylko raz dziennie" – wyjaśnia Luise.

Cała zabudowa obu wysp jest zabytkowa – oficjalnie już od 1922 r. Na Christiansø tuż przy porcie znajduje się dom administratora, w którym namiestnik duńskiego Ministerstwa Obrony urzęduje także dziś (jest jednocześnie latarnikiem). Budynek obok, w którym mieści się hotel i sklep, był niegdyś siedzibą wojskowego komendanta. Za nimi stoi potężna wieża Store Tårn, która pełni funkcję latarni morskiej. Nieco dalej znajduje się mały kościół urządzony w dawnej kuźni. W środku wysepki jest usytuowany „królewski ogród", a za nim szkoła. Za budynkiem szkoły znajduje się zbiornik wodny, zaś obok pole namiotowe. Z kolei na południowym cyplu wyspy warto obejrzeć kwatery żołnierskie, które mieściły się w kamiennych domkach, oraz wysunięty bastion, z którego rozpościera się wspaniały widok na całą okolicę.

Na sąsiedniej Frederiksø (jest most) trzeba zwiedzić basztę Lille Tårn i mieszczące się w niej muzeum. Na przeciwległym końcu wysepki znajdziemy areszt, w którym trzymano więźniów politycznych przeciwnych monarchii.

FOCZY I PTASI RAJ

Jak już wiemy, na wyspach nie ma kotów ani psów. Ani żadnych wolnożyjących ssaków, bo wyspy są małe i odizolowane – zapewniają mieszkańcy. Na miejscu okazuje się, że ukrywają małą kolonię jeży i taką samą świnek morskich, które zostały wypuszczone na wyspach pół wieku temu i nadal mają się dobrze. Są także płazy: żaby błotne, traszki oraz ropuchy zielone i szare. Najwięcej jest oczywiście ptaków, które znajdują tu miejsca odpoczynku, a także stałe siedliska. Mniej więcej tędy przebiega granica między lęgowiskami naszych rodzimych i północnych gatunków, więc żyją tu ptaki u nas mało lub w ogóle niespotykane. Można obserwować wydrzyki, alki, edredony, nurzyki i oczywiście mewy. Turyści najczęściej pytają jednak o foki, które po latach nieobecności znowu pojawiły się na wyspach archipelagu. Naukowcy naliczyli ostatnio prawie 500 fok szarych. Teraz Ertholmene jest jednym z największych na Bałtyku miejsc żerowania i odpoczynku tych zwierząt.

Właśnie dzięki łowiskom pełnym ryb Ertholmene nadal odgrywa kluczową rolę w rybołówstwie na Morzu Bałtyckim. Wprawdzie flota rybacka wyniosła się na Bornholm, jednak wokół wysp spotkamy sporo kutrów. Można tu złowić śledzie, flądry, turboty i dorsze, a także belony, węgorze i łososie. Na Frederiksø istnieje nawet niewielki zakład przetwórstwa śledzi Ruths Kryddersild, który od 1967 r. produkuje pyszne śledzie w pomidorach z dodatkiem curry. W karczmie popijamy Bornholmer Bitter, czyli piekielnie gorzką miejscową żołądkówkę, i zajadamy tutejsze sildefileter – filety śledziowe.

KRAINA WINA I MIODU?

„Cóż, na północy nie uprawia się wina, a ja opisuję tylko winne podróże" – mówię do nowo poznanych w karczmie kompanów. „Ależ uprawiamy! Kilku z nas nawet pracuje w winnicy przy zbiorach" – odpowiada rozbawiony Rikke, a koledzy mu przytakują. „Gdzie? Na Bałtyku?" – dopytuję przekonany, że mnie wkręcają. „Tak! Na Bornholmie, 18 km stąd, koło Aakirkeby. Jutro możesz zwiedzić winnicę Vingården Lille Gadegråd". „Tego nikt by się nie spodziewał!" – mówię, a oni nadal się śmieją i stawiają butelkę miejscowego wina.

Tak oto dowiedzieliśmy się, że na bałtyckiej wyspie od 2003 r. istnieje 8-ha winnica, w której duński winiarz Jasper Paulsen uprawia popularne u nas odmiany rondo, fruehburgunder i solaris. A wyspiarski mikroklimat sprawia, że rosną tu także morele. Ale to nie wszystko!

Kto by pomyślał, że gdzieś pośrodku Bałtyku na niewielkim skrawku skalistej ziemi może powstać coś tak słodkiego i wyjątkowego jak miód? Okazuje się, że Ertholmene to obecnie siedlisko i rezerwat nordyckiej niekrzyżowanej pszczoły miodnej. Jest to stary gatunek, który w Danii żyje tylko na czterech małych wyspach.

„Pszczoła nordycka rozwija się w niższych temperaturach niż jej krewniaczki. Oznacza to, że nie potrzebuje tak dużo zimowego pokarmu i lepiej znosi niskie temperatury. Ze względu na zachowanie i rozmnażanie unikatowej populacji nordyckiej pszczoły na wyspie jest ona chroniona przed innymi gatunkami swych krewniaków. Christiansø służy więc jako stacja badawcza" – wyjaśnia dumny z ekologicznego projektu Ulf.

Mieszkańcy wyspy pokochali swoje pszczoły. Mówią, że od czasu, gdy pojawiły się u nich pasieki, zbierają znacznie więcej owoców, w tym truskawek i jabłek.

Wydaje się więc, że nowy karczmarz będzie musiał na swych serwetkach dopisać jeszcze sporo odpowiedzi na pytania turystów, którzy dotrą na ten niezwykły bałtycki archipelag.

Fot. visitbornholm.com

eprasa.pl 3e36963038

Gwiazdy na planecie Pandora

To mogło wydarzyć się tylko w gorący wakacyjny czas. Kinowa premiera zaprowadziła widzów na komiksową planetę Pandora. Do świata gry wideo „Borderlands", w którym pojawiły się aktorskie ikony: Cate Blanchett i Jamie Lee Curtis. Warto zobaczyć, co z tego wynikło

Fot. Monolith Films

eprasa.pl 3e36963038

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Gra wideo „Borderlands" jest znana fanom od 2009 r. Do jej kinowej adaptacji producentom udało się wciągnąć Cate Blanchett, zdobywczynię m.in.: dwóch Oscarów i czterech Złotych Globów, oraz Jamie Lee Curtis, która pierwszą statuetkę Złotego Rycerza odebrała co prawda dopiero w 2023 r. (za drugoplanową rolę we „Wszystko wszędzie naraz"), jednak podobnie jak Blanchett uchodzi za aktorkę nie tylko charyzmatyczną, lecz także wszechstronną.

Jak poradziły sobie obie kobiety zarówno z komiksowym uniwersum, jak i młodzieńczością wpisaną w ich postacie? Producenci postawili na ich duże doświadczenie aktorskie, talent i temperament, a także komputerową obróbkę materiału. Wielbicielom obu aktorek powinno to wystarczyć, a fanom gry? Ci, delikatnie mówiąc, nie kryli zaskoczenia: „Ponad 50-letnia Cate w roli 20-letniej Lilith? I Jamie Lee jako Patricia? [...] To jakiś zlot emerytów?".

GWIAZDA Z ANTYPODÓW

Mówi się, że nie ma roli, w którą Blanchett nie potrafiłaby się wcielić. Po królowej Elżbiecie I, księżniczce elfów Galadrieli czy Katharine Hepburn zdecydowała się zagrać Lilith – banitkę i łowczynię nagród usiłującą przetrwać na fantastycznej planecie, nie bez powodu noszącej nazwę Pandora.

Urodzona na przedmieściach Melbourne (w 1969 r.) Blanchett od wczesnych lat nie bała się wyzwań. W ramach nagrody za świetne wyniki w nauce zaraz po maturze wyjechała do Egiptu. Po powrocie do Australii rozpoczęła studia aktorskie, a potem przez Wielką Brytanię ruszyła na podbój Hollywood.

Jej kariera rozkręciła się dzięki filmowi „Elizabeth" (1998). Została wtedy nagrodzona Złotym Globem i nominacją do Oscara. W 2005 r. zdobyła statuetkę Złotego Rycerza za drugoplanową rolę w „Aviatorze" Martina Scorsese. Rok później – ponowna oscarowa nominacja (za główną rolę w „Notatkach o skandalu"). Na kolejną statuetkę musiała jednak poczekać do 2014 r. (nagrodzono ją za pierwszy plan w „Blue Jasmine" Woody'ego Allena).

POZA SZUMEM MEDIÓW

W jednym z wywiadów stwierdziła: „Kiedy gram, czuję, że żyję. Gdybym mogła wybierać, chciałabym umrzeć w sali prób". Jednocześnie potrafiła znaleźć swoje miejsce poza kinem i światem mody, którego jest ikoną.

W 1997 r. wyszła za mąż za poznanego na filmowym planie Andrew Uptona. Dziś uchodzą za jedną z najbardziej zgranych hollywoodzkich par. Prowadzą firmę producencką, wychowują trzech biologicznych synów: Dashiela (23), Romana (20), Ignatusa Martina (16) oraz 10-letnią (adoptowaną w niemowlęctwie) córkę Edith.

Ponoć żadne z dzieci Blanchett nie myśli o ekranowej czy scenicznej karierze. Z perspektywy aktorki to chyba najlepsza sytuacja. Kiedyś stwierdziła: „Sława jest niewierną kochanką, męczącą konsekwencją aktorskiego talentu".

ZWARIOWANE SYTUACJE

Jamie Lee Curtis (rocznik 1958) podkreśla, że rola autystycznej archeolożki Patricii Tannis, którą zagrała w „Borderlands", nie była łatwa, ale przecież nie z takimi wyzwaniami dawała sobie radę.

Na początku kariery okrzyknięta „królową horrorów" uciekła z tej „szuflady". W „Nieoczekiwanej zmianie miejsc" (1984) pokazała talent komediowy, który przeprowadził ją m.in. przez takie filmy, jak „Rybka zwana Wandą" czy „Prawdziwe kłamstwa" (Złoty Glob w 1995 r.). Dwa lata temu odnalazła się w chaosie światów filmu „Wszystko wszędzie naraz".

Zdradza, że na planie „Borderlands" nie brakowało zwariowanych sytuacji, a ich wydźwięk był tym mocniejszy, że zdjęcia realizowano w czasie pandemii.

NIEBEZPIECZNE ZAKRĘTY

Lee Curtis jest córką znanej aktorskiej pary: Janet Leigh („Psychoza") i Tony'ego Curtisa („Pół żartem, pół serio"). Rodzice rozstali się, gdy miała cztery lata. W wywiadach często podkreślała, że ojca nigdy nie było, gdy go potrzebowała. Owszem, wspierał ją finansowo, ale nie angażował się w wychowanie, a na koniec ją wydziedziczył.

Inaczej niż jej rodzice aktorka od czterech dekad jest związana z tym samym partnerem – brytyjsko-amerykańskim aktorem i reżyserem Christopherem Guestem. Mają dwie adoptowane córki: Annie oraz Ruby.

Nie ukrywa, że w jej życiu było sporo niebezpiecznych zawirowań. Głównie z powodu nałogów. „Gdybym w porę nie wytrzeźwiała, pewnie już bym nie żyła. Najpierw były operacje plastyczne, potem uzależniłam się od leków przeciwbólowych i od opiatów [...]. Mam niewiarygodne szczęście, że udało mi się skończyć z tak zabójczymi i silnymi substancjami" – wyznała kilka lat temu.

Lee Curtis, także autorka kilku książek dla dzieci, w ub.r. wydała graficzną powieść dla dorosłych, w której młoda aktywistka klimatyczna prowadzi kampanię przeciwko naftowemu gigantowi. Rolę w „Borderlands" przyjęła, bo „kocha produkcje, które cieszą młodych widzów i uwielbia ratować świat". W końcu jako dziecko chciała być policjantką...

Fot. Monolith Films

eprasa.pl 3e36963038

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Visconti o samotności – „Portret rodzinny we wnętrzu”

Od czasu, kiedy w 1979 r. kolega z licealnej ławki zabrał mnie na film „Amarcord”, moim filmowym bogiem był Federico Fellini. Luchino Visconti, inna wielkość włoskiego kina, pozostawał na dalszym planie. W PRL budził nawet moją nieufność jako arystokrata-komunista (naprawdę!). „Zmierzch bogów” wydał mi się pretensjonalny w swojej ahistorycznej operowości. „Lampart” podobał mi się już w czasach studenckich. Pewnie także z powodu powieści Giuseppego Lampedusy, którą czytałem w pustym pociągu ze łzami w oczach. Za to „Portret rodzinny we wnętrzu”, przedostatni film Viscontiego z 1974 r., nie zrobił na mnie wrażenia. Byłem zbyt niedojrzały?

Odkryłem go dużo później. Teraz zobaczyłem go znów dzięki nowemu kanałowi filmowemu ViDoc TV i nie mogę się uwolnić. Maestria „Lamparta” to nieśpieszne smakowanie szczegółów – scena balu trwa tam bodaj 40 min. Ale opowieść o logice burżuazyjnej włoskiej rewolucji, z którą musi się pogodzić sycylijski arystokrata, jawi się jako skomplikowana. Strona wizualna jest pełna rozmachu. A „Portret” dzieje się w jednym apartamencie, pośród obrazów i półek z książkami. Dialogi bywają zdawkowe (choć przeraźliwie celne), akcji prawie nie ma, poza bolesnym finałem. Jednak mało widziałem w życiu tak głębokich zapisów międzyludzkich relacji.

Był to pierwszy od lat film Viscontiego osadzony we włoskiej współczesności. Profesor grany przez Burta Lancastera w następstwie presji zgadza się na wynajęcie piętra swojego mieszkania ekscentrycznej markizie Biance Brumonti (Silvana Mangano). Zostaje osaczony przez jej sprawy i otoczenie. Jej córka Lietta, narzeczony córki Stefano i kochanek markizy Konrad nieustannie wdzierają się w jego życie. Bogatego wdowca i samotnika zrazu to drażni. Na końcu odkrywa ze zdumieniem, że wszyscy oni zaczynają być mu potrzebni. On im w jakimś stopniu też. Ta krucha relacja zostaje jednak zniszczona.

To film o obcości i bliskości w obcości. Są z tej samej sfery, gdy chodzi o dochody, tyle że pozbawiona taktu rodzinka uczestniczy w różnych aspektach życia, z których on się wycofał. Może najbardziej istotne są różnice generacyjne. Nawet markiza, żona prawicowego polityka, jest o pokolenie młodsza od Profesora, jej córka, przyszły zięć i jej utrzymanek Konrad są wobec starca na antypodach wiekowych. To czas rewolucji obyczajowej, we Włoszech wcześniejszy niż w Polsce. Więc jego, dawnego amerykańskiego żołnierza, razi ich niedyskrecja granicząca z wulgarnością, po bliższym poznaniu także brak seksualnych reguł.

Visconti opowiada o tym zderzeniu, nie potępiając żadnej ze stron. Może Profesor jest mu bliższy? Równocześnie pokazuje, że jakąś odpowiedzią może być więź. Co jednak poradzić, kiedy logika zdarzeń potrafi ją unicestwić, a na ludzkie odruchy ostatecznie jest za późno? A może zawsze byłyby one daremne?

To zdumiewające, jak niewiele jest w tym dziele marksisty lewicowej dydaktyki – poza paroma niejasnymi odniesieniami do włoskiej polityki. Zastępuje ją życiowa mądrość. Jedno mi w nim może nie tyle przeszkadza, ile komplikuje mój odbiór. Profesor zdobywa się na odruchy życzliwości wobec Konrada jak starszy wobec młodszego, jak bezdzietny samotnik wobec potencjalnego syna. Nie podejrzewamy go o inne motywacje, w scenach retrospekcji jego zmarłą żonę gra Claudia Cardinale. A zarazem Helmut Berger, pięknie oddający pełnego sprzeczności Konrada, był podobno partnerem seksualnym starego już Viscontiego. To dodaje tej filmowej relacji jakiejś dodatkowej dwuznaczności. Ile wiedziano o tym kontekście w 1974 r.? Na pewno nie w Polsce.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Racjonalizm ciemnogrodu

ROBERT TEKIELI

„Bransoletka 7 Czakr została stworzona z myślą o równowadze i witalności Twojego wnętrza. Każdy kamień został starannie wybrany z uwzględnieniem jego właściwości i związku z poszczególnymi czakrami, aby stworzyć harmonijną kompozycję, która wzmacnia i oczyszcza energię Twojego ciała. Nosząc naszą bransoletkę, otwierasz się na przepływ energii życiowej i osiągasz harmonię wewnętrzną na wszystkich poziomach". Dostałem właśnie wypowiedzenie w trybie natychmiastowym z Polskiego Radia. Na nadgarstku ręki uśmiechniętej zmiany wręczającej mi dokument zauważyłem taką właśnie magiczną bransoletę oraz czerwoną nić. Ponad jedna czwarta Polaków wierzy, że kawałki metalu, kamienie czy sznurki mają przemożny wpływ na ich życie. Wielu z nich myśli o sobie jako o intelektualnej elicie.

Do wiary w zabobony, której częścią jest wiara w działanie amuletów, mogą prowadzić przesądy wywiezione z rodzinnej wioski. Odpukiwanie w niemalowane drewno, strach przed czarnym kotem, rozsypaną solą, rozbitym lustrem, niewitanie się przez próg, niestawianie torebki na ziemi, bo uciekną pieniądze, wiązanie czerwonych wstążek na wózku dziecka, branie ślubu w miesiącu, w którego nazwie jest jakaś litera lub jej nie ma, nieprzechodzenie pod drabiną – działania, które nie mają żadnego wpływu na nasz los. Ktoś powie, że przesądy to ta sama kategoria irracjonalizmu jak wyznawane przez lewicę ideologizmy – weganka ekolożka zagłodziła psa, karmiąc go tylko marchwią i ryżem, inny postępowy dietetyk zmarł, bo zatruł się zbyt wielką ilością soku marchwiowego. Jednak tak nie jest.

Współczesny człowiek zupełnie nie rozumie istoty zagrożenia związanego z talizmanami, amuletami czy fetyszami. Oczekując zdrowia czy szczęścia od kawałków metalu, odrzuca jednocześnie możliwość jakiegokolwiek duchowego oddziaływania związanego z przedmiotami.

Młody człowiek trafił do egzorcysty. Miał problemy duchowe i cierpiał na depresję, której lekarze nie potrafili wyleczyć. Po modlitwie objawy ustąpiły, by powrócić po trzech tygodniach. I tak powtarzało się pięć czy sześć razy. Całkowicie zdezorientowany egzorcysta poprosił o konsultację doświadczonego kapłana. Ten polecił zapytać penitenta, czy w jego domu nie ma jakichś dziwnych przedmiotów. Okazało się, że miał kolekcję afrykańskich masek. Po ich spaleniu pierwsza modlitwa egzorcyzmów zakończyła siedmioletnią depresję chłopaka, której nie dało się wyleczyć farmakologicznie.

Mechanizm tego przypadku był taki, że młody człowiek wychodził z modlitwy uwolniony i wracał w przestrzeń zdominowaną przez symbole obcego kultu. Kultyczne maski afrykańskie są bowiem przedstawieniami demonów, którym składa się ofiary, by je przebłagać.

Św. Tomasz z Akwinu napisał, że amulety są symbolami przynależności. Zakładając na siebie pentagram, kabalistyczny czerwony sznurek czy pierścień Atlantów zgłasza się akces do świata demonicznego. To tak, jakby założyć sobie na szyję tabliczkę z napisem: „Demonie, zapraszam cię do swojego wnętrza".

Kilka lat temu pisarka Maria Nurowska poinformowała na Facebooku, że zrobiła laleczkę voodoo posła Piotrowicza i wbija w nią szpilki. Agnieszka Holland twierdzi, że uśmierciła dwie osoby, wbijając drobne metalowe przedmioty w kawałki materiału. Na chodniku pod sejmem protestujący wyrysowali pentagram, opisali go nazwiskiem wyżej wymienionego znienawidzonego posła połączonym z liczbą 666 i zapalili świece.

Nurowska: „Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratora Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone...". Agnieszka Holland odpowiada: „Marysiu, ja zrobiłam to w młodości 2 razy, za każdym razem ze skutkiem śmiertelnym. Obiecałam sobie i mojej córce, że nigdy już żadnego voodoo nie wykonam. Jestem przeciwna karze śmierci". „Ja jestem za laleczką voodoo, nie musi od razu zabijać – wystarczy mały wylew i paraliż" – odpisała jej Nurowska.

Polska warstwa społeczna żyjąca z pracy umysłu – a precyzyjniej: ta jej część, która była bliższa materializmowi – budowała swą tożsamość m.in. na wykpiwaniu zabobonów „ciemnego ludu". Polska inteligencja kpiła z ludowych przesądów, ośmieszała czary jako dziecinne wymysły. Minęło z górą 100 lat. Historia zatoczyła koło. I oto dziś inteligenci sławią zabobon, noszą czerwone nitki, wykonują rytualne zabiegi i oczekują ich skuteczności w świecie rzeczywistym.

Racjonalny ciemnogród trzyma się religii sprawdzonej w ciągu 2 tys. lat. Postępowa elita, zatraciwszy się w nienawiści do katolicyzmu, wypełnia dziś swą duchową pustkę okultyzmem. Bawią się laleczkami voodoo, a Kościół nazywają zabobonem.

Bój o przyszłość naszego kraju rozstrzygnie się w duchowej walce. Bez duchowego odrodzenia nie będzie Polski. Bez nowych, żywych wspólnot, gorących, aktywnych parafii, bez świadków i męczenników – zginiemy. Rozpłyniemy się w nudzie i głupocie Zachodu.

eprasa.pl 3e36963038

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Ostatnio mam szczęście do dobrych powieści. Takimi właśnie są ***„Tyrania wiary"*** i ***„Procesy imperium"*** Richarda Swana, brytyjskiego pisarza fantasy. Domknięcie trylogii o losach Imperium Wilka jest opowiedziane z perspektywy sędziego Vonwalta i jego młodej asystentki Heleny Sedanki. O pierwszym tomie „Sprawiedliwości królów" pisałem kilkanaście miesięcy temu, oba nowe są równie zajmujące. Pierwsza powieść była kryminałem fantasy, teraz klimaty są dużo bardziej epickie.

Wielką zaletą tych powieści jest zerowa obecność tematyki woke. I takie przedstawienie potworności, np. nekromancji, które nie odstręcza również wrażliwego czytelnika.

Zanurzamy się więc w powieściową rzeczywistość, którą w naszym świecie nazywalibyśmy średniowieczem, magia jest używana przez bohaterów z powściągliwością, choć zmagania toczą się nie tylko na polach bitewnych, lecz także w planie astralnym. Imperium wnoszące uniwersalizm w świat partykularnych zmagań państw, ras oraz instytucji powoli traci płynącą z niego legitymizację i staje na krawędzi rozpadu, nie potrafiąc utrzymać stabilizacji i pokoju w swoich granicach – uniwersum Swana nie grzeszy oryginalnością. Jego silną broń stanowi natomiast umiejętność budowania skomplikowanych i podlegających ewolucji osobowości głównych bohaterów. Relacja między nimi jest nieoczywista i ulega przemianie, pojawia się nawet nieśmiały wątek romantyczny, a sprawy osobiste komplikują i tak zawiły przebieg intrygi. Cała galeria krwistych postaci drugoplanowych ożywia krajobraz psychologiczny opowieści, a powolne odkrywanie przez autora reguł rządzących światem bogów i demonów oraz ich relacji ze światem śmiertelnych pozwala kumulować napięcie tak, by eksplodowało w finałowej konfrontacji.

Dwa grube tomy połknąłem w trzy wieczoronoce. Wydarzenia płyną wartkim nurtem, scenografia zmagań miga nam przed oczami. Fabularne zwroty akcji nie pozwalają się nudzić. Narasta chaos, zderzają się ambicje aktorów opowieści dysponujących materialnymi i eterycznymi ciałami, fanatyzm i cynizm odgrywają swoje zwykłe role. A także idealizm: „Myślę, że stałem się... zmęczony tym, że źli ludzie odnoszą sukcesy. Nie dlatego, że mają rację, ale dlatego, że są uparci. Bezczelni". Pozytywnym bohaterom coraz trudniej zachowywać się przyzwoicie, przegrywając, zadają sobie pytania, czy z czystym złem można walczyć jedynie prawymi metodami.

Autor stawia pytania o naturę zła oraz prawa. „Wyobraź sobie czyjś portret. Czy jesteś w stanie uchwycić każdy szczegół danej osoby? Każdy pieg, każdy włos, każdą niedoskonałość? Wzruszyłam ramionami. – Nie. – Ale widzisz wszystko. – Tak. – Pomyśl o modelu jak o prawie naturalnym, a o prawie powszechnym jak o obrazie. To drugie to ogólne wrażenie, filtr, zwyczajne narzędzie. Nigdy nie będzie doskonałe".

Oprócz zapewnienia czytelnikowi dobrej zabawy Swan zaprasza go do bardzo poważnych rozważań. Czy los ludzkości jest papierowym teatrzykiem, a ludzie marionetkami w rękach nieśmiertelnych? Czy istnieje jakiś nadprzyrodzony porządek i sprawiedliwość? „Heleno, wiesz czego najbardziej się boję? Że zaświaty nie są miejscem z jakimiś... moralnymi rozdrożami, gdzie dobrzy ludzi wznoszą się do nieba, a źli spadają do piekielnych sal. Że są po prostu... przypadkowe. Miejscem, w którym panuje chaos, do którego ludzie idą nie z jakiegoś powodu, ale z jego braku. Miejscem, które nie jest odbiciem tego, kim byliśmy za życia, ale takim, które jest końcem samym w sobie. Myślę, że zupełna nicość byłaby lepsza".

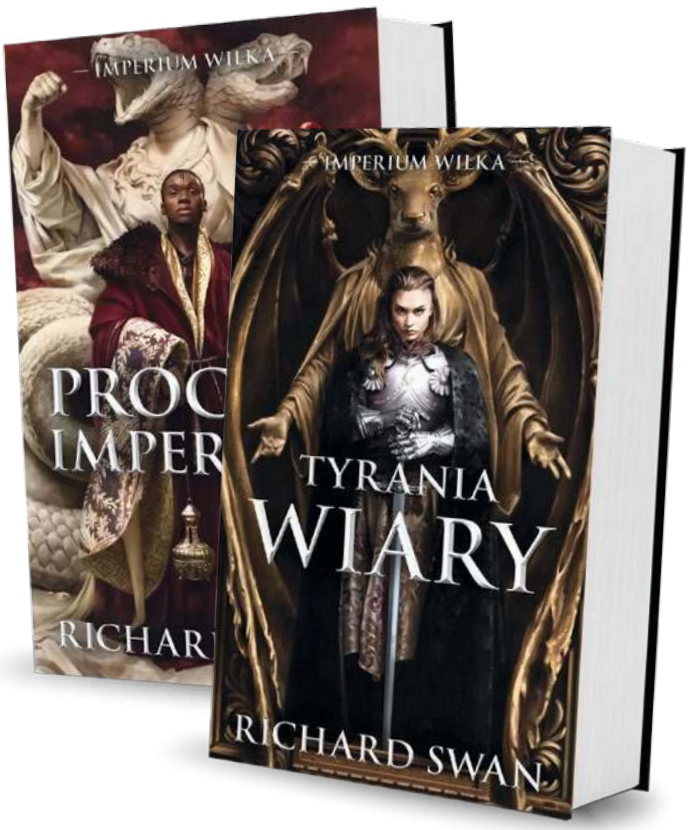

Te rozważania, oddające punkt dojścia myśli przedchrześcijańskiej, mogą być bliskie wielu współczesnym ludziom. A wierzący powinni choć raz w życiu wczuć się w tę atmosferę fatum. By cieszyć się absolutnym cudem, kiedy dzięki Bożej opatrzności i wszechmocy wszystko, co jest w naszym życiu absolutnie przypadkowe, może się stać źródłem sensu, jeśli podążamy za Bożym planem. Dzięki Bożej wszechmocy świat jest jednocześnie całkowicie przypadkowy i całkowicie sensowny. Człowiek wierzący uczestniczy w cierpieniu identycznie jak niewierzący. Lecz jak ze śmierci na krzyżu Bóg wyprowadził życie, tak nie zostawia nas na pastwę przypadku. Jesteśmy w jego ręku, choćbyśmy tego nie byli w stanie dostrzec. Człowiek ufający Bogu jest całkowicie bezpieczny w świecie chaosu.

Robert Tekieli,
Polskie Radio

eprasa.pl 3e36963038

Maciej Walaszczyk

Kontrkultura po benedyktyńsku

Choć te bardzo piękne rozważania uzupełnia kilka opowieści, nie one są tutaj kluczowe, bo liczy się całość. Autor zaciąga hamulec w pędzącym na oślep życiu i odzyskuje nad nim kontrolę. Nieustannemu przyspieszeniu, któremu jesteśmy poddani, przeciwstawia naturalny rytm pór roku. W każdych czasach bowiem łączył się on z życiem człowieka. 12-miesięczny kalendarz porządkuje uprawę ziemi, warzywnika czy ogrodu, a każdy dzień to osiem godzin Świętego Oficjum. Teksty te są zarówno z ducha benedyktyńskie, jak i kontrkulturowe. Dzisiaj życie organizują nam sprawdzane rano i wieczorem smartfony, cotygodniowe zakupy w marketach, eskapady do centrów handlowych, planowane męczące urlopy, ligowe rozgrywki, wieczorna adoracja telewizji. Na luksus zerwania się z tej smyczy mają szansę wszyscy, choć to dopiero początek trudnej sztuki życia na własnych warunkach. „Gdy fizyczny wysiłek znajdował swój odpowiednik w filozofii, w podobnym rytmie uprawiana była i ziemia, i dusza" – pisze Jan Maciejewski.

Praca w ziemi wprowadza nas w rodzaj trzeźwego i pogodnego transu. Daje odpoczynek i pożywienie, uwalnia nas od niewoli zarabiania, przynosi niezależność. Gdy tracimy z nią kontakt, grunt usuwa się nam spod stóp. Wiosną odurza nas jej wilgotny zapach. Na przednówku musimy wzruszyć ją szpadlem, wpuścić powietrze, przygotować grunt dla przyszłych zdarzeń. Potem siejemy, sadzimy, pielęgnujemy, czekając na lipcowe żniwa. W końcu zbiory, dożynki – przedsionek śmierci, bo natura przyjmuje boski, a nie ludzki punkt widzenia. We wrześniu życie wchodzi bowiem w fazę chłodu. Winobranie, wilgotny i orzeźwiający powiew jesieni, Dionizos niosący ekstazę. Autor nie kryje, że wybór między nim a Chrystusem to jak rozdzielanie cienia od postaci. Chrystus to też dzikość i niebezpieczeństwo, które przesłonięto sprowadzeniem go do przewidywalnej i nudnej świętości. Rok prze ku końcowi, wino fermentuje w butlach, ludzie wznoszą modlitwy za dusze zmarłych, przed zimą organizują świniobicia. Grudzień to czas Wielkiego Mroku – dzień św. Łucji, a potem Boże Narodzenie. To książka i „homerycka", i „dawidowa", zwarta dodatkowo pewną klamrą objaśniającą sedno małżeńskiego: „I nie opuszczę cię aż do śmierci". To pogaństwo ochrzczone, bo dobrym chrześcijaninem może być wyłącznie dobry poganin.

Jan Maciejewski, „Już pora. Miesiące i godziny", Teologia Polityczna 2024

Pieśni zapomnianych Amerykanów

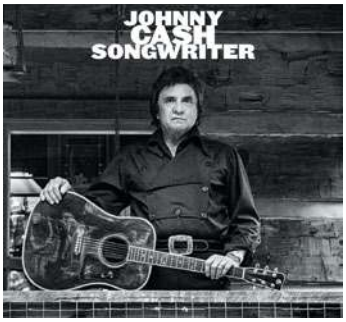

Na początku lat 90. taka muzyka nie była popularna nawet w jej mateczniku – Ameryce. Syntetyczne brzmienia, kicz lub agresja z pomocą MTV wypierały wszystko, co ją wcześniej definiowało – prawdę i naturalność. Zanim więc Johnny Cash powrócił do masowej świadomości, co miało nastąpić dopiero rok później dzięki współpracy ze słynnym Rickiem Rubinem, został niemal całkowicie odrzucony przez przemysł muzyczny. W 1993 r., wchodząc do studia LSI w Nashville, Cash z wielką determinacją powrócił więc do tego, co robił najlepiej. Trzy dekady później nagrania te docierają do słuchaczy, tworząc jego piąty pośmiertny album. Odłożone wówczas na półkę, zostały ponownie odkryte przez jego syna Johna Cartera. Charakterystyczny chropowaty baryton i gitarę akustyczną wzbogacono o akompaniament byłych członków zespołu, m.in. gitarzysty Marty'ego Stuarta i basisty Dave'a Roe'a oraz kilku innych znanych artystów folkowej sceny z Nashville. Dzięki temu ten znakomity śpiew i piosenki, niektóre znane już wcześniej, zyskały aranżacje i brzmienia sięgające korzeni tej muzyki łączącej country, bluesa i najbardziej pierwotnego rock'n'rolla. Taka muzyka połączona z łatwością, z jaką Cash opowiada różne historie, raz poruszając wątki miłosne, innym razem religijne, dotykające spraw rodziny czy ludzkich udręk niesionych przez życie, uderzają wprost do serc słuchaczy. W tych opowieściach ujawnia swoje poczucie humoru i wrażliwość, a także ludzką naturę. Bo czy z dyskretnym uśmiechem nie wysłuchamy opowiedzianej z ironią historii przelotnej znajomości z kobietą spotkaną w pralni samoobsługowej („Well Alright")? Czy nie wzruszy nas romantyczny walentynkowy list do żony („I Love You Tonite")? „Like a Soldier" to znów intymne spojrzenie na jego uzależnienie, a przejmujący „Drive On" opowiada o kierowcy ciężarówki wciąż uczącym się żyć ze skutkami wybuchu pocisku moździerzowego w wietnamskiej dżungli. „W końcu dowiedziałem się, kim jestem – jestem chodzącym, mówiącym cudem z Wietnamu". Ale już przy „Have You Ever Been To Little Rock?" (melodia identyczna „Games People Play"!) nie ma wątpliwości, że Donald Trump musi jesienią zostać prezydentem USA. Bo o jakiej Ameryce śpiewa Cash? Na pewno nie tej Bidena, Harris czy Obamy. Cash zawsze upominał się o „zapomnianych Amerykanów".

Johnny Cash, „Songwriter", Universal Music Group 2024

eprasa.pl 3e36963038

Poeta zdrowego rozsądku

Nie sprowadzajmy polityki do poziomu technokracji, człowieka – jak chce marksizm – do roli czynnika produkcji czy – jak chcą liberałowie – konsumenta

Z fotografii umieszczonej na okładce spogląda na nas szelmowsko, ale serdecznie uśmiechnięty starszy pan w berecie, zaciągający się końcówką dopalanego papierosa. Na co dzień Thibon zajmował się prowadzeniem gospodarstwa w Owernii, gdzie wytwarzał też wino, a w czasie wojny ukrywał Simone Weil. To realistyczny filozof, który ukończył edukację na poziomie gimnazjum, autor znakomitych tekstów rozpowszechnianych np. przez Maritaina i Marcela, rozpoznających w nim „chrześcijańskiego Nietzschego" czy „chłopskiego Pascala". A jednocześnie praktyk życia, patrzący na sprawy świata przez pryzmat uprawianej ziemi.

Nie są to oczywiście pouczenia chłopka-roztropka, ale pisane z elegancją i osadzone w metafizycznym rusztowaniu medytacje, w których zdrowy rozsądek jest rozumiany jako osąd rozumu kontrolowanego przez doświadczenie, a słowa mają swoje pierwotne znaczenie. Czynił to bez retorycznych sztuczek i z pełną intelektualną uczciwością. Np. wprowadzenie edukacji seksualnej do francuskich szkół (podobnie jak później w Polsce) forsowała tzw. opinia publiczna, tworzona przez lewicowych aktywistów, państwo i media. Wywoływała ona milczące przyzwolenie lub beznadziejny – choć zasadny – opór rodziców. Jak twierdził, edukacja urzędowa, zuniformizowana, niedyskretna i niedostosowana do wrażliwości jest przecież tak samo fatalna jak całkowita ignorancja. Thibon zauważa jednak, że dawną obyczajowość cechowała niestety hipokryzja piętnująca erotyzm i wypierająca się go. Była ona pokłosiem radykalizmu jansenizmu i purytanizmu, kontynuowana później przez zupełnie laicką moralność. Reakcją na nią była właśnie rewolucja seksualna, niszcząca moralność w ogóle, prowadząc od „seksofobii" do „seksokracji" zabijającej zmysłowość, erotyzm i skutkującej wyschnięciem „żywych źródeł miłości", czego przecież – jak słusznie wieszczył – jesteśmy dziś świadkami. Zdobywające wówczas popularność narkotyki uznawał nie tyle za skutek dobrobytu, ile nieumiejętności korzystania z niego i wolności. Przestrzegał, że zostanie ona – jak stało się później – odebrana ludziom przez zewnętrzną tyranię będącą nieuchronnym następstwem tej swawoli.

Thibon opiewa harmonijne trwanie i współpracę, przeciwstawiając je bezgranicznej rywalizacji i walce toczonej w państwie zarządzanym przez technokratów, którzy zastąpili w nim dawne elity. Szczególnie że podsycają ją współczesne ideologie, np. marksizm. Egalitaryzm rozumiał właśnie jako wynik uznania za niepodważalny fakt konfliktu wyniesionego do roli głównego prawa społecznego dążącego do zrównywania ludzi z założenia niepołączonych ze sobą żadnymi więziami. Tłumaczył, że tak doszło do zerwania pierwotnej harmonii zakładającej uznanie, a tym samym przekroczenie społecznych nierówności. Dopiero wtedy możliwe jest osiągnięcie wspólnotowego celu. Reagował też na spory wewnątrz Kościoła powodowane chęcią dostosowania się do świata i *vox populi*. „Jak w tym harmidrze odróżnić te głosy, które są zgodne z bożym przesłaniem?" – pytał, relacjonując rozmowę z młodym księdzem rozpoznającym w komunistycznej wrzawie objawioną prawdę tylko dlatego, że podbijał on w tym czasie połowę świata. Rozróżniajmy więc między tym, co Bóg chce, a tym, co dopuszcza, duchowni zaś nich będą pasterzami, a nie baranami – radził filozof.

Pisał też o modlitwie, która jest możliwa tylko w skupieniu, a któremu pomagają cisza i odosobnienie. Współczesny świat utrudnia to nam, dlatego krytycznie oceniał wprowadzone w Kościele zmiany liturgiczne ulegające hałasowi i przypadkowości. Thibone rozprawia się też z kultem aktywizmu, „czempionów skuteczności", dynamizmu i „idolatrią działania" przeciwstawianej życiu wewnętrznemu. Co się stanie, gdy aktywizm życia przerwą starość i choroby, sprawiając, że stanie się ono bezbarwne i nieznośne? Tak jak mnisi łączmy życie kontemplacyjne z pracą fizyczną – radził. Zgodnie z jego radami odbudowujmy więc wokół siebie ów żywy porządek, bo inaczej poddamy się śmiercionośnej sile „mroków nowoczesności", która narzuca nam martwy i bezduszny porządek. Właśnie to, co rozpoznajemy wokół nas.

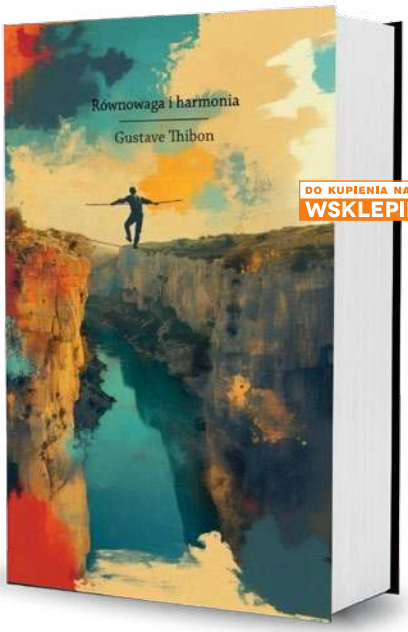

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Gustave Thibon, „Równowaga i harmonia", Dębogóra 2024

eprasa.pl 3e36963038

MAŁGORZATA SOCHA AKTORKA

Z rodziną nad Bałtykiem

Lato trwa w najlepsze, ale już pierwsza telewizyjna stacja przedstawiła jesienną ramówkę. Niemal prosto z rodzinnych wakacji w nadmorskich Chałupach przyjechała na nią Małgorzata Socha, od początku związana z wieloodcinkowymi „Przyjaciółkami".

Serial, emitowany w Polsacie regularnie od 12 lat, doczekał się już 24. sezonu. Aktorka godnie reprezentowała produkcję na ściance, chociaż nie do końca udało się jej odciągnąć uwagę od najgorętszych informacji. A te są związane z nowymi telewizyjnymi projektami, wśród których najwięcej emocji budzi nadciągająca, konkurencyjna „śniadaniówka".

Weekendowy magazyn „Halo tu Polsat" wystartuje przedostatniego dnia sierpnia. Będzie go można oglądać od piątku do niedzieli od 8.00 do 11.00, co oznacza rywalizację z dwójkowym „Pytaniem na śniadanie" i porannym magazynem „Dzień dobry TVN".

Nowością polsatowskiego formatu ma być obecność w telewizyjnym studiu niewielkiej publiczności. Atmosferę podgrzewa także to, że w zespole pojawiła się trójka prezenterów zwolniona kilka miesięcy temu z „PnŚ": Aleksander Sikora oraz duet prowadzących – Katarzyna Cichopek i Maciej Kurzajewski.

Wracając do Małgorzaty Sochy: aktorka z wdziękiem i świetnie ocenianym stylem od kilkunastu lat maksymalnie wykorzystuje swój dobry zawodowy czas. Gra w produkcjach telewizyjnych i kinowych. Udziela się również w świecie reklamy oraz promocji i z tego powodu jest aktywna także w mediach społecznościowych. Od czasu do czasu dzieli się w nich prywatnymi informacjami. Dzięki temu wiemy, jak wyglądały jej tegoroczne wakacyjne szlaki.

I tak już w pracowitym czerwcu – w którym radosnym wydarzeniem była m.in. polska premiera najbardziej kasowej animacji ostatnich lat, czyli „W głowie się nie mieści 2" (aktorka użyczyła w niej głosu spersonalizowanej emocji – radości) – udało się jej (w towarzystwie koleżanki z planu, Agnieszki Sienkiewicz) wybrać do Łodzi, by „pośpiewać na koncercie Stinga". Po zakończeniu nagrań do nowego serialu pt. „Powrót do życia", a także między zdjęciami do nowego sezonu „Przyjaciółek", aktorka wygospodarowała czas na wakacyjne wyjazdy.

W lipcu – czym podzieliła się na Instagramie – trafiła na wyspę Siros, gdzie podziwiała „niezwykle urokliwe miasto Ermupoli. [...] Piękne zarówno w ciągu dnia, jak i wieczorem. [...] Załapaliśmy się nawet na kino pod chmurką" – relacjonowała. W drodze powrotnej do Polski odwiedziła też Ateny.

A potem rodzinnie udała się nad Bałtyk, na półwysep Helski, do ukochanych, jak podkreśla, Chałup. W mediach społecznościowych opublikowała fotografię, na której pozuje z trójką swoich dzieci: Zosią, Basią i Staszkiem.

Zdjęcie opatrzyła komentarzem: „Jak ja kocham te nasze wakacyjne weekendy! Rodzinka, znajomi, rowery, bieganie, oj nie nudzimy się tu wcale. A potem zachody słońca i długie wieczory i wtedy jest miejsce na odrobinę słodkiego lenistwa (żeby nie było, że się w ogóle nie zatrzymujemy, chill też nam dobrze wychodzi!)".

Jolanta Gajda-Zadworna

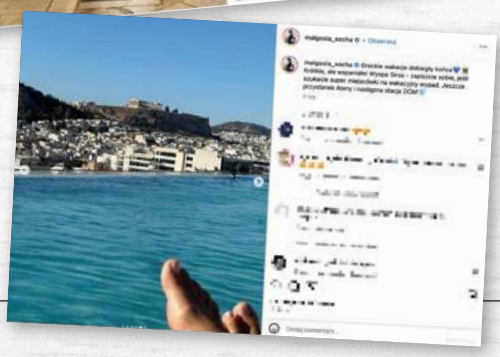

Fot. Jacek Kurnikowski/Akpa, malgosia_socha/instagram

eprasa.pl 3e36963038

SŁODKO-SŁONY

Kąpiel w majonezie

ANNA MONICKA

Majonez jest dobry na wszystko. Nie tylko do sałatki jarzynowej – to wie każdy. Ja zastępuję nim masło i wtedy lepiej wchodzi każda kanapka, chociaż smaruję cienko, z umiarem. W rozsądnych ilościach dodaję do purée ziemniaczanego, tartego żółtego sera, posiekanych jajek, wędzonych ryb – takie smarowidła do pieczywa znikają w oka mgnieniu. Moja koleżanka piecze babkę cytrynową z majonezem – wychodzi delikatna i gładka jak muślin.

Ostatnim odkryciem jest dla mnie majonezowa marynata do mięsa. Wkrótce jesień (bociany i gęsi ruszyły w podróż znacznie wcześniej niż zwykle, co dowodzi, że i ona nadejdzie sporo przed terminem), a gdy się zaczną chłody, nie każdemu wystarczą do szczęścia same warzywa i owoce, warto więc poznać ciekawy kulinarny trick, który podkręci smak gulaszu czy kotleta i sprawi, że mięso zawsze będzie miękkie.

Oczywiście najlepszy jest domowy sos jajeczny – przynajmniej wiemy, co w nim siedzi. A powinny to być dobre żółtko świeżego jaja i szklanka oleju rzepakowego lub słonecznikowego tłoczonego na zimno. Do tego łyżeczka soli, szczypta świeżo zmielonego pieprzu, rozgnieciony ząbek czosnku, sok z jednej cytryny albo ocet winny. Wszystkie składniki powinny mieć temperaturę pokojową.

Jajko solimy i zaczynamy miksowanie. Olej lejemy cieniutką strużką, żeby żółtko się nie zwarzyło. Potem, wciąż miksując, doprawiamy. Gdy zrobi się kremowy, jest gotowy. Teraz najlepsze – dodajemy łyżkę musztardy i zalewamy marynatą pokrojone mięso na gulasz czy stroganow (albo rozbite kotlety), najlepiej na dwie, trzy godziny, ale można na całą noc. Potem smażymy na rozgrzanym oleju, doprawiamy czosnkiem, solą, pieprzem, papryką, dodajemy warzywa, a na koniec możemy wzbogacić sos śmietaną.

Taki domowy majonez, z prawdziwych jajek i dobrego oleju, jest także genialną odżywką na zniszczone końcówki włosów, przesuszone pięty czy dłonie (posmaruj i zostaw na kilka minut, a potem zmyj delikatnym mydłem lub szamponem dla dzieci). W końcu jego główne składniki to cenne żółtko i dobry tłuszcz z odrobiną soku cytrynowego.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Co dzieje się z wronami?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Od kilkunastu dni w Warszawie znajdowane są martwe wrony siwe oraz inne ptaki krukowate – kilkadziesiąt dziennie. Gdy piszę ten tekst, przyczyna nie jest znana.

Wrona siwa zamieszkuje Europę na wschód od Odry i Łaby, na zachód od tej granicy występuje wrona czarna. Zależnie od podejścia uważane są one za osobne, blisko spokrewnione gatunki albo za podgatunki.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wrona siwa była w naszym kraju rzadka. W miastach, o ile w ogóle była obecna, jej gniazda można było policzyć na palcach jednej ręki. Większe szanse na jej spotkanie miało się w dolinach dużych rzek, z którymi gatunek ten był pierwotnie związany.

Jakiś czas temu liczebność wrony siwej nagle wystrzeliła, przede wszystkim w miastach. Zamiast rzadko spotykanych pojedynczych ptaków pojawiły się całe stada. Co było przyczyną? Czasem wystarczy zmiana jednego czynnika – np. zaprzestanie odstrzału i trucia krukowatych, błędnie uważanych za szkodniki (pełnią one rolę sanitarną, a także chronią uprawy rolne przed nadmiernym rozwojem owadów i gryzoni). A może przełamanie strachu przed człowiekiem, pozwalające na zajęcie miast. Nowa, pusta, atrakcyjna nisza ekologiczna – to mogło być to. Prawie pusta, bo nieco wcześniej w podobnie skokowy sposób w miastach pojawiły się inne krukowate – sroki, które szybko stały się tak liczne, że zaczęły zagrażać drobnym ptakom. Dla wron konkurencja nie była jednak przeszkodą. Są większe od srok, więc zaczęły plądrować srocze gniazda, stając się naturalnym czynnikiem regulującym ich liczebność. Rozwój populacji wron jest więc pozytywny – im bardziej ekosystem kompleksowy, tym bardziej odporny. I ciekawy.

Co obecnie dzieje się z wronami? Pamiętam masowe zgony gołębi na rynku w Krakowie. Miało to miejsce w czasie epidemii ptasiej grypy. Przyczyną okazał się jednak nie wirus, lecz remont płyty, podczas którego nikt nie sypał ziarna i nie poił, a karmione od pokoleń ptaki zatraciły samodzielność.

A może gdzieś jest jedno lokalne źródło skażenia? Nie wykluczajmy żadnej hipotezy, nawet najbardziej nieprawdopodobnej. I miejmy wrony na oku. Przyroda przekazuje nam różne informacje, trzeba ją tylko obserwować.

eprasa.pl 3e36963038

OGNIEM NA WPROST

Tryzuby w Kacapii

Andrzej Rafał Potocki

Nie jest najlepiej na kierunku Oczeretnego (ok. 25 km od Doniecka). Pisaliśmy kiedyś, że jeśli stamtąd Moskale pójdą na zachód, to mogą ominąć pozycje ukraińskie na rzece Wowcza i wyjść im na tyły. I to właśnie po kilku miesiącach zrobili. Nagły atak skrzydłami, wzięcie w kocioł całej brygady, pęknięcie frontu w tym miejscu i cała robota na pozostałych odcinkach na nic. Sypnęła się 68. Brygada Strzelecka (na południu koło Nowoseliwki Perszej), która po prostu uciekła, odsłaniając flankę 47. Brygady. Jej żołnierze, próbując ratować sytuację, widocznie osłabili własne północne skrzydło, które nie wytrzymało uderzenia (być może przeprowadzonego na styku odcinków) i w efekcie 31. Brygada znalazła się w okrążeniu. W nocy części jej żołnierzy udało się wyrwać z kotła, ale ogólnie jednostki nie ma. Wowcza przekroczona, a Moskale mają wreszcie przełamanie frontu. W dodatku topografia jest tu po stronie atakujących. Zachodni brzeg rzeki to równina bez jakichś obiektów, na których można oprzeć obronę. Zastanawia przebieg całej operacji, bo sugeruje bardzo dobre rozpoznanie ze strony kacapskiej. Moskale nie macali ukraińskich pozycji, tylko uderzyli w najsłabsze punkty. Kluczowy obecnie jest odcinek Wowczy. Jeśli Tryzubom uda się wyrzucić Moskali za rzekę, mają szansę ustabilizować front. Jeśli nie, pozostaje mieć nadzieję, że siły Kremla nie są wystarczające, żeby wykorzystać ten sukces operacyjny. Inaczej będzie źle. Oj, źle!

Pora na lepsze wiadomości. Federacja Moskiewska oficjalnie oskarżyła Ukrainę o... naruszenie ruskiej granicy! Bo jak Iwan narusza, to „haraszo", ale jak Iwanowi naruszają, to „nielzja". No i faktycznie Siły Zbrojne Ukrainy wtargnęły do Matuszki Rosiji i nie jest to tylko rajd dywersyjny sił HUR (wywiad wojskowy Kijowa), Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego (RKO) oraz Legionu Wolność Rosji. To potężne uderzenie wszystkim, co jest pod ręką. Szpica złożona z 400 żołnierzy wali naprzód, a w rezerwie przy granicy czeka na wejście do akcji bezpośredniej ok. 2 tys. Ukrów. Na kacapskim niebie szaleją suki (samoloty Su) z tryzubem na kadłubie. W akcji biorą udział ukraińskie czołgi. Zauważono też sprowadzone z USA strykery (kołowe wozy bojowe o bardzo mocnym pancerzu). Zaskoczenie Rosjan kompletne. Niejako po drodze w łapy atakujących wpadło kilka ruskich czołgów na lawetach i jak do tej pory wzięto ponad 40 jeńców. O co chodzi? Kyryło Budanow (szef HUR) i rzecznik Andrij Jusow kilkakrotnie już ostrzegali, że Moskale szykują kolejny atak od północy, tym razem na Sumy. Podejrzewamy, że ukraińskie uderzenie ma charakter wyprzedzający i jest wymierzone w ruskie jednostki szykujące się właśnie do ataku na to miasto. Dlatego nie bawiono się w finezję i walnięto wszystkim, co było dostępne. Nie chodzi o zajęcie terytorium, tylko o zniszczenie sił przeznaczonych do ataku na Sumy. Zaryzykowano wiele (choćby samoloty), ale *per saldo* się opłaci, szczególnie że straty materialne na swoim terenie ponosi przeciwnik. Ukraińcy użyli równowartości jednej brygady, atakując nie główne siły rosyjskie, a skrzydło, obsadzone przez niewyszkolonych mobików (świeżo zmobilizowanych) i czeczeńską TikTok Army Kadyrowa. Kadyrowcy na odgłos pierwszych strzałów rzucili się do ucieczki, po czym nagrali filmik, jak dzielnie walczą z podkładami kolejowymi... Jakiś brodacz, klęcząc na torowisku, wściekle wali z karabinka szturmowego, nie wiadomo po co i do kogo.

Zostatniej chwili. Jeszcze nie do końca potwierdzone. Kacapscy blogerzy wojskowi informują, że siły ukraińskie zdobyły Sudżę w obwodzie kurskim. Jeśli ta informacja okaże się prawdą, będzie to oznaczać koniec tłoczenia rosyjskiego gazu do Europy. Sudża to niewielkie miasteczko w pobliżu granicy liczące kilka tysięcy mieszkańców. Jest jednak strategicznie ważne z punktu widzenia interesów Moskwy, znajduje się tam bowiem stacja pomiarowa i przepompownia gazu Gazpromu. Obecnie jedyna, którym gaz jest tłoczony z Rosji do Europy, m.in. na Słowację, Węgry, do Austrii i Mołdawii. Ukraina już wcześniej zapowiedziała, że umowa na przepływ gazu przez jej terytorium skończy się w grudniu 2024 r. Wszystko wskazuje jednak na to, że do państw europejskich to paliwo przestanie docierać wcześniej. Reasumując: złapał Kozak Moskwicina (Sudża), a Moskwicin za łeb trzyma (Wowcza).

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3e36963038

Michał Korsun prezentuje:
Stoi na stacji... der Cargo

Wycinki z przeszłości

W te wakacje minęły już 145. rocznica urodzin i 82. rocznica śmierci Janusza Korczaka (Henryka Goldszmita). Na znaczkach pocztowych wydanych w 1962 r. z okazji Roku Korczakowskiego jako datę śmierci podano 5 sierpnia 1942 r. W tym dniu wraz z 200 podopiecznymi – żydowskimi dziećmi został skierowany przez niemieckich oprawców na Umschlagpatz, a stamtąd wszystkich wywieziono do Treblinki. Obecnie badacze przyjmują, że „Stary doktor", który uczył świat, iż dziecko ma prawo do szacunku, został zagazowany przez Niemców wraz z dziećmi 7 sierpnia. Ks. Jan Twardowski wspominał go w 1971 r. takimi słowami: „Do końca trzymał dzieci za ręce, zginął razem z nimi. Odszedł w wytartym mundurze polskiego lekarza wojskowego, który włożył w pierwszym dniu wejścia Niemców do Warszawy i nosił ostentacyjnie aż do śmierci".

(mk)

Z WOLEJA

Olimpijskie skandale (sędziowskie)

Podczas igrzysk w Paryżu polskie pięściarki dostarczyły nam wiele radości. Super, bo raczej nie będzie już okazji: boks ma zniknąć z programu następnych IO w Los Angeles. Nie jestem tym zdziwiony. Jako kibic wychowany na nieistniejącym już miesięczniku „Boks" żałuję, ale rozumiem. Liczba przekrętów w tej dyscyplinie znacznie przekracza to, co wyrabiają sędziowie w innych konkurencjach. Tak, arbitrzy skrzywdzili rumuńską ekipę gimnastyczną, Brytyjczyków w strzelectwie (do rzutków), Argentyńczyków i Niemców w siatkówce mężczyzn (akurat w obu meczach sędziował niestety Polak), jednak to właśnie sędziowskie cyrki są nierozłączne ze sztuką pięściarską. Bynajmniej nie chodzi tylko – i nawet nie przede wszystkim – o igrzyska w stolicy Francji. Żadne IO nie przebiją tych w Seulu z 1988 r. i kabaretu, który odstawili tam Koreańczycy. Co prawda ściany zawsze pomagają gospodarzom, ale na koreańskich igrzyskach to nie było „gospodarskie" sędziowanie, tylko sportowa korupcja na rympał.

Oczywiście już wcześniej bywały skandaliczne werdykty, jak choćby ten chyba najbardziej legendarny w historii polskiego boksu, gdy na igrzyskach w Rzymie w finale wagi średniej sędziowie okradli Tadeusza Walaska, chłopaka spod Łomży, z jego ewidentnej wygranej z Amerykaninem Jamesem Crookiem. To wówczas włoscy kibice gremialnie wygwizdali hymn USA, a nastroje wściekłego tłumu musiał studzić sam Walasek, który zresztą cztery lata później w Tokio zdobył jeszcze jeden olimpijski medal – brązowy.

Tak było w XX w., ale i w XXI w. na igrzyskach też działa się w boksie sędziowska Sodoma i Gomora. Według raportu zamówionego przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski w Tokio ustawiono 77(!) pojedynków pięściarskich. Nie wiem, czy powstanie nowy raport MKOl, ale w Paryżu Polacy mają swoje ewidentne pięściarskie krzywdy. Sędzia ringowy pozbawił wygranej Dariusza Durkacza dwoma ostrzeżeniami, czyli zabraniem dwóch punktów, a sędziowie punktowi ukradli zwycięstwo w ćwierćfinale Elżbiecie Wójcik.

W programie igrzysk ledwo, ledwo utrzymało się podnoszenie ciężarów, a to na skutek afer dopingowych. Jednak mocno zredukowano liczbę kategorii w tej dyscyplinie. W sprawie boksu działania MKOl będą bardziej restrykcyjne, bo na amerykańskich igrzyskach A.D. 2028 już go – mogę się założyć – nie będzie. Zatem nasza bojowa, walcząca z opuszczoną gardą Julia Szeremeta nie będzie już miała okazji obronić swojego tytułu. Może taki wstrząs jest jednak potrzebny, aby wyeliminować/ograniczyć „drukowanie" w tej dyscyplinie sportu – zresztą jednej z dwóch najbardziej medalodajnych dla Polski (44 krążki łącznie z tym paryskim Szeremety).

Ryszard Czarnecki

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 3e36963038

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zrujnowana oczywistość

Niedawno uczestnicząc w pewnej rozmowie zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, usłyszeliśmy takie słowa: „Przecież dziś już oczywiste jest łamanie prawa przez rządzących w Polsce, jak i instrumentalny stosunek do praworządności władz Unii Europejskiej".

Kluczowe jest tu słowo „oczywiste". Kluczowe i w tym kontekście kompletnie błędne, jeśliby uznać, że owa wypowiedź domyślnie odnosi się do wszystkich zainteresowanych stron. Owa oczywistość jest w najlepszym razie lokalna. Odnosi się do przeciwników obecnie rządzącej koalicji i drobnej części europarlamentarzystów. To, co dla jednych jawi się jako oczywiste, dla drugich jest bzdurą nie do przyjęcia.

MANOWCE „OCZYWISTOŚCI"

Mówiący słowa przywołane na początku, skądinąd socjolog, jakby zapomniał, że pod wpływem mediów społecznościowych pomieszkujemy już rozliczne, pooddzielane od siebie bańki informacyjne. To, co dla jednych jest niekwestionowane, dla drugich może być albo absurdalne, albo w ogóle niedostrzegane. Media społecznościowe, w istocie antyspołeczne, wcale nie sprzyjają rzeczowej debacie, ustalaniu wspólnego stanowiska. Zrujnowały ją do tego stopnia, że sprawy oczywiste przestały takimi być. Wystarczy trochę pobuszować po internecie, odwiedzając miejsca „spotkań" różnych, skonfliktowanych ze sobą środowisk.

Słowo „oczywiste" wywodzi się zapewne od słów „oczy widzą" – a jak coś już bezpośrednio widzimy, to wiemy, jak się sprawy mają. Gdy jednak mamy na myśli jakieś złożone, rozciągnięte w czasie procesy społeczne, to oczywistość jest wtedy tylko przenośnią. Tak jak gdy np. powiemy, że przecież to wszystko, co dotąd napisaliśmy, powinno być oczywiste dla każdego uważniejszego obserwatora dzisiejszego życia zbiorowego.

Padli oni ofiarą nie Stanowskiego, tylko własnych emocji, które tak bardzo przysłaniają im rzeczywistość, że widzą jedynie to, co dla nich jest oczywiste

Jednak tak nie jest. Ludzie są tak mocno, gęsto zanurzeni w wyobrażeniach typowych dla swoich środowisk politycznych, że nie zauważają, jak bardzo ich odczucia potrafią być odległe od postrzegania świata przez inne grupy ludzi. Bez wątpienia właśnie to było jedną (może jedną z główniejszych) przyczyn porażki dobrej zmiany w wyborach parlamentarnych 2023 r. Można nawet powiedzieć, że ktoś padł tu ofiarą własnej propagandy.

EKSPERYMENT STANOWSKIEGO

A jak łatwo zostać taką ofiarą, wykazał eksperyment, który Krzysztof Stanowski z Kanału Zero przeprowadził na, ujmijmy to tak: żywej tkance ludzkiej umysłowości. Nie chodzi o obywatela Zbigniewa Stonogę, ale o niektóre dziennikarskie umysły, o obrońców praworządności à la Tusk, którzy pomylili zaklinanie rzeczywistości z faktami.

Padli oni ofiarą nie Stanowskiego, tylko swoich własnych emocji, które tak bardzo przysłaniają im rzeczywistość, że widzą jedynie to, co dla nich jest oczywiste.

Warto tu przywołać pojęcie z zakresu psychologii poznawczej, po angielsku tzw. confirmation bias, a po polsku: błąd potwierdzenia. Ofiarą takiego błędu szczególnie łatwo padają osoby poważnie dotknięte tzw. syndromem antypisu. Nawet największa bzdura pasująca do ich wizji jest natychmiast, automatycznie akceptowana, a o żadnych uchybieniach ukochanej, „uśmiechniętej" Polski Donalda Tuska nie może być mowy.

Liczne, pełne psychologicznych zaprzeczeń i zakłamań reakcje na wynik eksperymentu Stanowskiego, gdy już przedstawił on warsztat swojego testu, jeszcze lepiej potwierdzają emocjonalną bańkowość i intelektualną mizerię sporej części środowiska dziennikarzy głęboko skażonych przez syndrom antypisu.

PRZYJĄĆ DO WIADOMOŚCI

To, czy obsesyjni antypisowcy z „Wyborczej" czy TVN przyjmą to kiedyś do wiadomości, nie jest najważniejsze. Apelujemy za to do wszystkich, którym losy Polski leżą na sercu, by nie folgowali miłym swojemu sercu oczywistościom. Dobrze wiemy, że kontakt z rzeczywistością potrafi być nader bolesny, czasem przyjmuje postać brutalnej konfrontacji. Ale jego brak legł u podstaw klęski wyborczej z ub.r.

Zatem gdy już przestaniemy radować się z wpadki, która przydarzyła się mądralom z tamtej strony, to prosimy o potraktowanie eksperymentu Stanowskiego jako przestrogę także dla nas samych.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 3e36963038

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

W KAŻDY PIĄTEK O 17:00

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat) NA POZYCJI 196

NETIA NA POZYCJI 192

orange NA POZYCJI 32

vectra NA POZYCJI 825

PLAY (dawniej UPC) NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 3e36963038

Mnóstwo do czytania na wakacje!

4 e-booki GRATIS!

WAKACYJNE

HISTORYCZNE

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
nietypowe lekcje historii | 121 stron

Pupile historii. Opowieści o słynnych psach
dla wielbicieli historii i… psów | 128 stron

Smaczne Wakacje. 60 przepisów na całe lato
pyszne dania nie tylko z grilla | 92 strony

Wakacje z przyrodą. Wędrówki blisko natury
pomysły na wakacyjne wyprawy | 112 stron

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA WAKACJE?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 3e36963038